

8602

Dr. WŁADYSŁAW GUMPLOWICZ

DZIEJE ZAŁOŻENIA STANÓW ZJEDNOCZONYCH PÓŁNOCNEJ AMERYKI

Z 3 MAPKAMI

M-121263

Lw. 1324



SEMINARIUM SOCJOLOGICZNE
Uniwersytetu Warszawskiego

SPÓŁKA NAKŁADOWA „KSIĄŻKA”, KRAKÓW.

SKŁADY GŁÓWNE: WARSZAWA, G. CENTNERSZWER I Ska; LWÓW,
H. ALTENBERG; NEW-YORK, THE POLISH BOOK IMPORTING Co.
CZCIONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ W KRAKOWIE, UL. FILIPA 11.

~~Lu 80~~
~~32~~



8602

Wszelkie prawa autora i nakładców zastrzeżone.

SPIS RZECZY.

Str.

Od Autora VII

I. Wschodnia część Ameryki północnej.

Skutki odkrycia Ameryki: zawojowanie Ameryki środkowej i południowej przez Hiszpanów oraz Portugalczyków. — Wschodnia część Ameryki północnej. Opis wybrzeża. Góry Alleghany. Kraj między górami a morzem: rozmiary jego, gleba, klimat, roślinność, zwierzęta. Porty. — Pierwotni mieszkańcy 1

II. Początki osadnictwa (od 1584 do 1664 r.).

Francuzi w Kanadzie. — Anglik Raleigh próbuje kolonizować Wirginję. „Towarzystwo londyńskie“ wznawia jego dzieło. — Holendrzy kolonizują Nowe Niderlandy. — Kolonizacja Nowej Anglii przez kalwinów angielskich. „Ojcowie Pielgrzymi“. Kolonja Massachusetts i inne. — Katolicka kolonja Maryland. — Nowa Szwecja. — Rewolucja w Anglii i wpływ jej na Amerykę. — Ustawy, krępujące handel amerykański. — Zdobywanie Nowych Niderlandów przez Anglię 9

III. Dalsze postępy osadnictwa (od 1664 do 1701 r.).

Kolonja New Jersey. — Rządy księcia Jakóba w Nowym Jorku. — Pensylwanja. — Karolina północna i południowa. — Król Karol II. gnębi mieszkańców Nowej Anglii. — Tyrańskie rządy króla Jakóba II. i upadek jego. — Ograniczenia swobód amerykańskich za króla Wilhelma III. — Monarchizm Amerykanów 29

IV. Późniejszy rozwój kolonji (od 1701 do 1753 r.).

Kolonja Delaware. — Wojna z Francją; Anglicy zdobywają kresy Kanady. — Wewnętrzny rozwój kolonji; wzrost nauki i tolerancji. — Niewolnictwo murzynów na południu. — Zwierzchnicy kolonji tracą przywileje swoje na rzecz króla. — Gnębienie przemysłu amerykańskiego. — Walki między sejmami a namiestnikami. — Georgia. — Szybki wzrost ludności. — Wynalazca Franklin 40

V. Wielka wojna kanadyjska (1753—1763).

Przeciwieństwo między osadnictwem angielskim a francuskim. — Pierwsze utarczki; Jerzy Washington. — Angielski generał Braddock sam sobie porażkę gotuje. — Wojna siedmioletnia w Europie. Nadesłany do Ameryki angielski generał Loudon okazuje się niedołągą. Dalsze klęski Anglików na pograniczu Kanady. — Porażka generała Abercrombie pod Tikonderogą. — Zwycięska wyprawa milicji amerykańskiej nad jezioro Ontario. — Flota angielska zdobywa Louisbourg. Francuzi wycofują się z nad Ohio. — Zdobywanie Kanady przez Anglików

50

VI. Zatarg z Anglią (1763—1775).

Jak się król Jerzy III. odwdzięczał Amerykanom za lojalność. — Zakaz dowozu cukru z Martyniki. — Ustawa o stemplach i walka przeciwko niej; rozruchy, kongres wszechamerykański, bojkot przemysłu angielskiego. Franklin przed parlamentem angielskim. Cofnięcie ustawy o stemplach. — Nowe ustawy przeciwko Ameryce. „Listy rolnika“ Amerykanki Dickinsona, przetłumaczone na język francuski. — Protest sejmu kolonii Massachusetts. Spalenie łodzi celnej w Bostonie. — Boston, zalany wojskiem. — Nielegalne sejmy. Ponojny bojkot angielskich towarów. — „Rzeź bostońska“: wojsko wycofuje się z miasta. — Częściowe cofnięcie ustaw przeciwko Ameryce; zachowanie cła na herbatę. Amerykanie w dalszym ciągu bojkotują herbatę angielską. — Spalenie królewskiego okrętu celnego w Rhode Island. — Franklin wykrywa tajne intrygi rządowe — Rząd próbuje przełamać bojkot herbaty. Zatopienie herbaty w porcie bostońskim. — Nowe ustawy wyjątkowe przeciwko Bostonowi, Massachusetts i Ameryce. — Sejm kolonii Massachusetts przeobraża się w zgromadzenie rewolucyjne. Milicja. Komitety zawiadamiające. — Przybycie floty angielskiej. Kłopoty komendanta Bostonu. — Mowa Washingtona na sejmie wirgińskim. — Drugi kongres wszechamerykański zaleca zbrojenie się, zerwanie wszelkich stosunków handlowych z Anglią, oraz zaniechanie handlu niewolnikami; deklaracja praw, odezwa do Anglików. — Przygotowania do zbrojnej walki. — Bitwa pod Lexington

65

VII. Pierwszy okres powstania (18 kwietnia 1775 — 4 lipca 1776 r.).

Odgłosy bitwy pod Lexington w Nowym Jorku, Maryland, Karolinie. — Milicja Nowej Anglii skupia się pod Bostonem. — Bitwa na wzgórzu Bunkera. Śmiałe czyny rybaków. — Kongres mianuje Washingtona wodzem. — Ostatnia próba ugody: Ryszard Penn wysłany do króla. — Washington w obozie pod Bostonem. — Król nie przyjmuje Penna; proklamacja przeciwko buntownikom amerykańskim. — Dwie wyprawy na Kanadę. Zajęcie Montreal. Oblężenie Quebec. Odwrót wśród ciężkich strat. — Co się tymczasem w kraju zmieniło? Dwa miasta nadmorskie zburzone. Kongres wysyła pełnomocnika do Francji. „Zdrowy rozsądek“. Washington zdobywa Boston. Skąd się bierze amunicję? — Kongres obraduje nad sprawą ogłoszenia niepodległości. Widoki na pomoc francuską. Opór delegatów pensylwańskich złamany przez rewolucję w ich kraju. — Deklaracja niepodległości

91

VIII. Drugi okres powstania (4 lipca 1776 — 4 maja 1778 r.).

Broń z francuskich arsenałów. — Klęska na Długiej Wyspie; Nowy Jork zajęty przez Anglików. — Przybycie Kościuszki. — Washington cofa się aż poza rzekę Delaware. — Wojsko angielskie w kwaterach zimowych; wybryki i zbrodnie żołnierzy. — Washington dyktatorem; zwycięstwa pod Trenton i Princeton. Anglicy cofają się nad morze. — Franklin w Paryżu; Francuz Beaumarchais, czynny przyjaciel Ameryki. — Partyzantka morska. — Popularność sprawy amerykańskiej we Francji; Lafayette. — Przybycie Pułaskiego. — Anglicy wylądowują w Maryland; klęska nad Brandywine; Filadelfja w rękach Anglików. — Bitwa pod Germantown. — Walki na północy. Odrzucony projekt Kościuszki; utrata Tikonderogi. Jak Anglikom uprzyjemniono marsz przez puszcę? Zwycięstwo partyzantów pod Bennington. Zwycięskie walki pod Saratogą; angielska armja północna wzięta do niewoli. — Radość w Paryżu; sojusz Francji z Ameryką. Anglicy zmuszeni wycofać się z Filadelfji. „Niech żyje król Francji!“

110

IX. Trzeci okres powstania (4 maja 1778 — 23 września 1783 r.).

Anglicy cofają się napowrót do Nowego Jorku. — Flota francuska koło Newport. — Anglicy przenoszą wojnę na południe; zdobycie Savannah. Śmierć Pułaskiego. — Hiszpanja i Holandja przystępują do sojuszu Francji z Ameryką. —

Anglicy opuszczają Newport; zato zdobywają Charleston. — Francja przysła armję lądową. — Klęska Gatesa. Zdrada Arnolda. — Zwycięstwo partyzantów na Królewskiej Górze. — Greene i Kościuszko na południu. Bitwa koło folwarku Guildford; Anglicy znowu cofają się nad morze. — Walki w Wirginji. Francja po raz drugi przysła flotę. Podstęp Washingtona; walki pod Yorktown; angielska armja południowa wzięta do niewoli. Przesilenie polityczne w Anglji; zawieszenie broni. — Pokój. — Konstytucja amerykańska . . . 134

OD AUTORA.

Niniejsza książeczka pierwotnie ukazać się miała jako zeszyt warszawskiej „Biblioteki społecznej“; jest więc przeznaczona dla szerokiego ogółu. Fachowemu historykowi nic nowego nie powie, a czytelnika o uniwersyteckim wykształceniu może miejscami razić i nużyć popularnością wykładu i tłumaczeniem szczegółów, jemu już znanych.

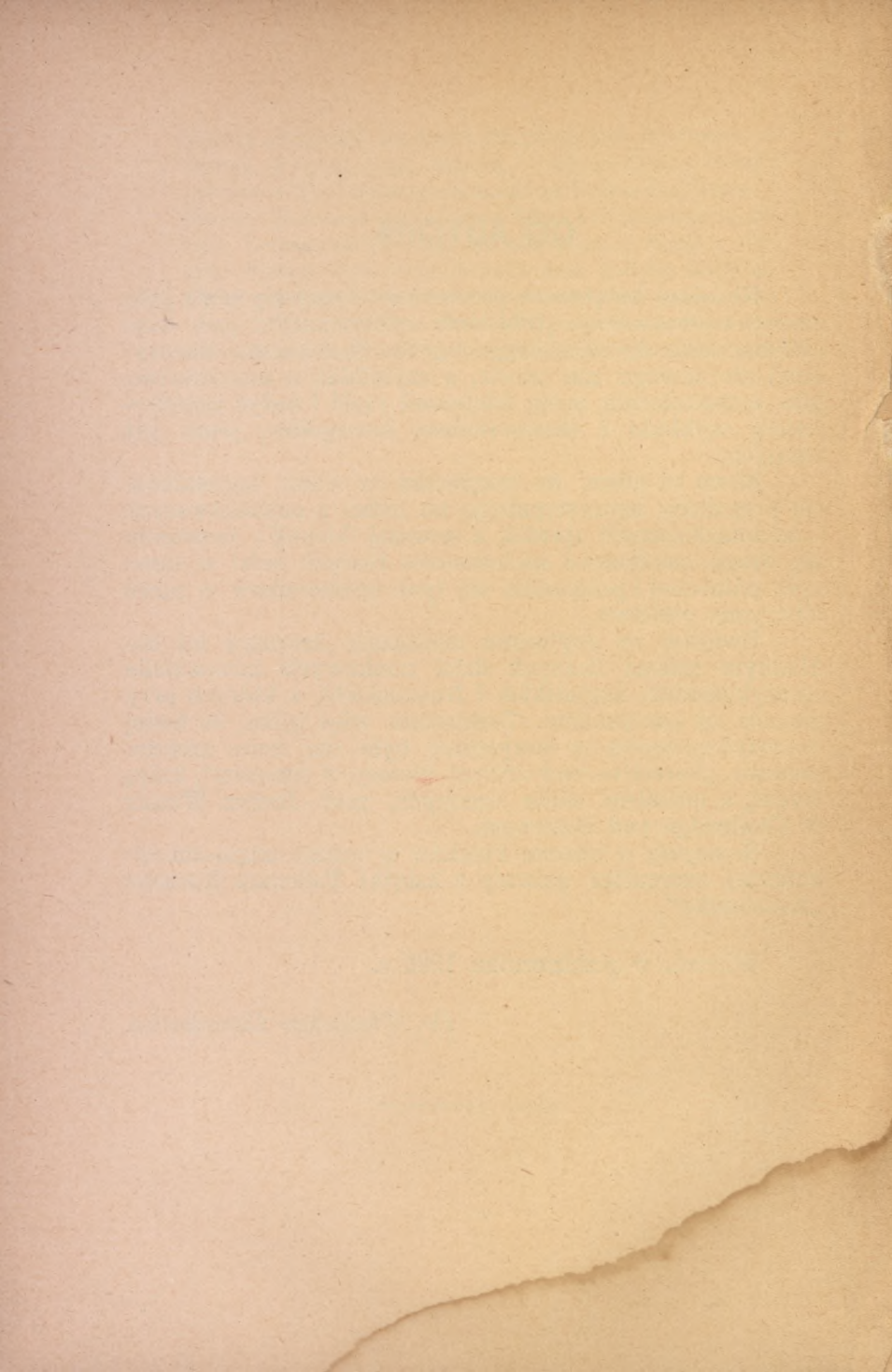
Mimo to ufam, że książeczka ta wielu czytelnikom się przysłuży, uprzystępniając im jedno z najciekawszych i najdonioślejszych zjawisk z nowszej historii: tworzenie się drogą osadnictwa społeczeństw białych ludzi w Ameryce północnej i połączenie się tych społeczeństw w nowe olbrzymie państwo.

Uważam za zbyt ciężkie obciążanie broszury tej dokładnym spisem licznych dzieł naukowych (przeważnie amerykańskich, angielskich i francuskich), z których przy pisaniu jej korzystałem. Zaznaczam więc tylko, że bodaj najpożyteczniejszą ze wszystkich była dla mnie sześciotomowa „Narrative and Critical History of America“, którą wydał, z udziałem wielu uczonych, prof. Justyn Winsor w Cambridge pod Bostonem.

Szczegóły o udziale Polaków w wojnie anglo-amerykańskiej czerpałem głównie z książki Tadeusza Korzona „Kościuszko“.

Wiedeń, w październiku 1909 r.

Dr. Władysław Gumpłowicz.



ROZDZIAŁ I.

Od czasu pierwszej podróży Krzysztofa Kolumba do Ameryki, istnienie rozległych ziem po tamtej stronie morza Atlantyckiego stało się powszechnie znanym w Europie. A ponieważ mieszkańcy świeżo odkrytych krajów byli poganami, więc, zgodnie z pojęciami owych czasów, chrześcijańskie narody Europy zachodniej uważały się za uprawnione do ujarznienia ich i bogacenia się ich kosztem. To też w ciągu kilkudziesięciu lat wszystkie niemal wybrzeża Ameryki środkowej i południowej zajęli zdobywcy europejscy, głównie Hiszpanie i Portugalczycy. W szczególności Hiszpanie zawojowali cywilizowane państwa, które wówczas kwitły na stałym lądzie Ameryki środkowej oraz w górskiej części Ameryki południowej: Meksyk, Peru i inne. Popełnili niebywałe okrucieństwa, zagrabili skarby bez miary, a tych z pośród krajowców, których pozostawili przy życiu, przemocą ochrztili, ale nie zrobili z nich swoich braci i współobywateli równouprawnionych, tylko niewolników, albo w najlepszym razie chłopów pańszczyźnianych. Gorzej jeszcze działo się na wyspach środkowo-amerykańskich; tam krajowcy, przyzwyczajeni tylko do myśliwstwa, a nie do uprawy roli, zepchnięci w niewolę i zmuszeni do nieustannej ciężkiej pracy, wyginęli do szczętu. Zastąpiono ich murzynami z Afryki, których kupowano albo też uprowadzano przemocą, przewożono przez morze na wyspy amerykańskie i tam trzymano jako nie-

wolników. Ci murzyni nałożoną na nich ciężką pracę znacznie lepiej znosili; byli bardzo nieszczęśliwi, ale nie wymierali. To też sprowadzano ich coraz więcej. Wszystko to odbywało się pod koniec 15. i w pierwszej połowie 16. wieku, to znaczy w czasie, kiedy w Polsce kolejno rządzą trzej synowie króla Kazimierza Jagiellończyka: król Jan Olbracht, król Aleksander i król Zygmunt Stary.

Zdobywszy tak ogromne i tak bogate kraje na południu, Hiszpanie nie czuli potrzeby zapuszczać się dalej na północ; to też z dzisiejszych Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej niewielką tylko część zajęli. Szczególnie na wschodniej, ku Europie zwróconej stronie lądu Ameryki północnej Hiszpanie zajęli tylko bagnisty półwysep, zwany przez nich Florydą; dalej na północ właśnie to wschodnie wybrzeże, dzisiaj tak gęsto zaludnione przez ludzi europejskiego pochodzenia, długo jeszcze pozostało w posiadaniu dzikich krajowców, przewzanych Indianami.

Dla naszego opowiadania właśnie to wschodnie wybrzeże Ameryki północnej jest najważniejszą częścią Nowego Świata; tam bowiem powstały owe kolonje, które dały początek dzisiejszym Stanom Zjednoczonym. Przyjrzyjmy się więc temu krajowi, który się miał stać widownią tak wielkich zdarzeń.

Jeśli ptak przeleci od Jerozolimy prościutko na zachód, przez Morze Śródziemne i Afrykę północną, a potem w tym samym kierunku poprzez cały ogromny ocean Atlantycki, to natrafi na stały ląd amerykański nieco na północ od owych okolic, gdzie się w 16. wieku kończyła władza hiszpańska. Od tych stron począwszy, ku północy ląd się rozszerza, wybrzeże ciągnie się więc od południowego zachodu ku północnemu wschodowi; kierunek ten zachowuje wybrzeże przez mniej więcej sześćset wiorst, po czym się zwraca prosto ku północy i ciągnie tak, poprze-

rzynane ujściami licznych a głębokich rzek, przez prawie czterysta wiorst. Potym wybrzeże nagle zawraca; na jakie dwieście kilkadziesiąt wiorst ciągnie się na południe duży półwysep, tak wielki, jak trzecia część Krymu. Nazywa się Chesapeake (czytaj Czesapik), i tę samą nazwę nosi także zatoka morska, dzieląca zachodni brzeg jego od lądu. Po wschodniej stronie półwyspu znajduje się daleko krótsza zatoka, zwana Delaware (czytaj Delewer); za nią wybrzeże znów się ciągnie ku północy, aż do miejsca, gdzie do głębokiej przystani, rozczłonkowanej przez duże i małe wyspy na mnóstwo cieśnin, wpada rzeka Hudson (czytaj Hadsyn), mniej więcej tak szeroka, jak Wisła pod Gdańskiem. W tym to miejscu leży dzisiaj największe miasto Ameryki, Nowy Jork. Jesteśmy tu już w strefie znacznie mniej ciepłej; ptak ze Starego Świata, któryby chciał natrafić na Nowy Jork, lecąc prosto na zachód, musiałby za punkt wyjścia podróży swojej obrać już nie Jerozolimę, tylko Konstantynopol. Innemi słowy, Nowy Jork leży prawie pod tą samą szerokością geograficzną, co Konstantynopol. Tuż za Nowym Jorkiem wybrzeże znowu zmienia kierunek i ciągnie się, wieńczone wyspami różnej wielkości, przeszło trzysta wiorst prosto na wschód; potym, tworząc daleko w morze sterczący piaszczysty przylądek, zwany „Cape Cod“ (czytaj Kep Kod)¹⁾, zwraca się ponownie ku północy, a o dwieście wiorst dalej skręca ku północo-wschodowi, jednocześnie zaś staje się bardzo stromym i otacza się rojem skalistych wysepek, zasłaniających wejście do licznych wązkich zatok. Idąc wzdłuż tego wybrzeża, na odległości nieco większej od dwustu wiorst, napotykamy ujście rzeki Świętego Krzyża, która dzisiaj

1) To znaczy „przylądek kabeljana“, bo postać wydłużona tego przylądka przypomina rybę, kabeljanem zwaną.

stanowi granicę polityczną między Stanami Zjednoczonymi Ameryki północnej a Kanadą; rzeka ta wpada do Oceanu Atlantyckiego pod tą samą szerokością geograficzną, pod którą Dunaj wpada do Morza Czarnego.

Jeśli teraz, nie śledząc dalej za zakrętami wybrzeża, puścimy się wzdłuż rzeki Świętego Krzyża w głąb kraju, to u źródeł jej znajdziemy się naprzeciw gór, które, jakkolwiek nie tworzą regularnego pasma, jednak na ogół ciągną ku południo-zachodowi, a zatym mniej więcej równolegle z wybrzeżem, przeciętnie w oddaleniu stu kilkudziesięciu wiorst. Są to góry o łagodnie zaokrąglonych szczytach, zdaleka do wielkich grzybów podobne, a do dziś dnia pokryte gęstą, zieloną puszcza, w której się kryją setki głębokich, modrych jezior. Górą tym, które wysokością mniej więcej dorównują Beskidom galicyjskim, nadano zbiorową nazwę Alleghany (czytaj Alegeny). Przerewa je owa głęboka dolina, przez którą ku południowi płynie rzeka Hudson, podczas, gdy północną część tejże samej doliny zajmuje jezioro Champlain'a (czytaj Szamplen'a), duże, bardzo piękne jezioro o przeszło stu wiorstach długości, wody którego spływają ku północy, do Kanady. Na zachód od Hudsonu wypływa z gór Alleghany ku południowi rzeka Delaware, wpadająca do zatoki tejże nazwy; nad tą rzeką leży dzisiaj olbrzymie miasto Filadelfja, ludniejsze od Petersburga. W pobliżu rzeki Delaware góry Alleghany zmieniają charakter: przekształcają się na regularny rząd kilkunastu pasm górskich, ciągnących równolegle obok siebie ku południo-zachodowi, a zatym mniej więcej równolegle z ogólnym kierunkiem wybrzeża. Jednakże oddalenie ich od morza jest na południu znacznie większe, niż na północy; naprzeciw ujścia zatoki Chesapeake odstęp ten wynosi już około dwustu, dalej na południu około trzechset wiorst. Nie należy sobie zresztą owych

kilkunastu równoległych pasm wyobrażać jako malownicze góry o stromych, dumnych szczytach i siodłach głęboko wciętych, jak Alpy lub Tatry; są to raczej długie grzbiety o jednostajnej wysokości, wyglądające zdala, jak jedna siwa kreska na widnokregu, prawie pozioma, nieskończenie długa i na pozór nieprzerwana. Trzeba podejść blisko, aby się przekonać, że każdy grzbiet taki miejscami przeryniają urwiste rowy, wązkie ale głębokie, na dnie których albo płynie rzeka, albo kiedyś płynęła. W takiej postaci góry Alleghany, gęsto zalesione, ciągną się, począwszy od rzeki Delaware, jeszcze jakie tysiąc dwieście wiorst, aż wreszcie stają się coraz niższe i w sąsiedztwie dawnych posiadłości hiszpańskich toną w równinie.

Kraj między górami Alleghany a oceanem Atlantyckim, kraj, którego długość równa się oddaleniu z Warszawy do Archangielska, podczas gdy największa szerokość zaledwie dorównuje oddaleniu z Warszawy do Lwowa — ten długi a wązki pas ziemi między górami a morzem był kolebką dziś tak potężnych Stanów Zjednoczonych Ameryki. Przed najściem Europejczyków cały ten kraj od końca do końca pokryty był puszcza; poza tym jednak nie był i nie jest jednolitym. Na południu między górami a morzem leży równina, zwilżona mnogimi rzekami, niekiedy bagnista, na ogół jednak nader urodzajna. Ku północy nietylko kraj się zwęża, ale i gleba się pogarsza; w krainie na wschód i północo-wschód od rzeki Hudson nierówny, mało wydajny grunt skalisty, często granitowy, sięga aż po samo morze. Nadto i pod względem klimatu zachodzą bardzo wielkie różnice. W nizinach południa klimat jest wilgotno-gorący, lato jest upalne, natomiast zimy właściwie wcale niema, jest tylko pora deszczowa bez śniegu. To też rosną palmy, kwitną i dojrzewają pomarańcze, drzewa magnoljowe pokrywają się co

wiosnę ogromnemi białemi kwiatami, koło pnia każdego niemal drzewa leśnego wiją się bujne latorośle winne, bez liku kwitną w lesie nieznane u nas, wspaniałe gatunki róż, a wśród gałęzi uwijają się zielono-żółte papugi o mądrych oczach i maleńkie zwinne kolibry o piersiach błyszczących, jak rubiny. Dalej na północ wprawdzie lato nie przestaje być upalnym, ale zima się zaostrza. Na zatoce Chesapeake już się czasem zjawia lód. Rzeka Delaware co zimę kry nosi, a nieraz zamarza. Nowy Jork ma mniej więcej klimat Odessy. Na północ od Nowego Jorku zaś z każdą milą zima staje się i dłuższą i surowszą, a ogółem klimat staje się kolejno podobnym do klimatu Podola, Wołynia, wreszcie Litwy. Odpowiednio i roślinność staje się coraz mniej bujną; miejsce kwiecistych drzew południa zajmują świerki i brzozy, a w górach koło kanadyjskiej granicy pasą się łośie, a nawet renifery, jak na Sybirze. Że się w kierunku ku północy klimat tak gwałtownie pogarsza, temu głównie winien zimny prąd morski, który od strony bieguna północnego spływa wzdłuż amerykańskiego wybrzeża ku południowi, niby olbrzymia rzeka zielona, mętna i mroźna wśród oceanu, i studzi całą północną i środkową część kraju aż po zatokę Chesapeake. Naodwrot zaś wzdłuż południowej części wybrzeża ciepły prąd morski, wypływający z wód środkowo-amerykańskich, toczy modre swe fale i ogrzewa ziemię; ten prąd jednak w pobliżu zatoki Chesapeake zwraca się ku wschodowi i stopniowo traci wpływ na wybrzeże.

Wszelako uboga przyroda północnej strefy ma jedną zaletę nader cenną: że pośród skalistych jej wybrzeży otwierają się liczne przystanie głębokie a spokojne, gdzie nawet duże okręty bezpiecznie mogą zarzucać kotwice. Taką dobrą przystanią jest przedewszystkiem zatoka Massachusetts (czytaj Masaczuzec), nad którą dzisiaj leży mias-

to Boston, stolica całej północy. Nie brak także dobrych portów w środkowej części kraju, koło ujścia Hudsonu, koło zatok Delaware i Chesapeake. Natomiast dalej ku południowi brzeg morza staje się piaszczystym i niskim. Z wyjątkiem niektórych tylko miejsc niema tam wyraźnej, ostrej granicy między lądem a morzem, jest raczej szeroki pas przejściowy, gdzie się w bezładzie przeplatają bagna, piachy, sitowia, bajory, kępy zalesione i płytkie stawy; to też dla okrętów, szczególnie większych, dostęp do lądu jest mocno utrudniony.

Otóż jeszcze pod koniec 16. wieku, kiedy u nas w Polsce rządził król Stefan Batory, jedynymi mieszkańcami całej owej rozległej krainy zamorskiej byli Indianie, których od gór do morza było najwyżej dwieście tysięcy. Zdumiewająco mała ta liczba tłumaczy się niskim stopniem kultury Indian. W przeciwieństwie do cywilizowanych Meksykan, Indianie żyli głównie z myśliwstwa oraz rybactwa: hodowli zwierząt nie znali wcale, a rolnictwo znajdowało się u nich w bardzo niedoskonałym stanie. Zajmowały się nim wyłącznie kobiety, w bardzo pierwotny sposób uprawiając w pobliżu chat czy namiotów nieco kukurydzy na pokarm, oraz nieco dyni i arbuzów na gaszenie pragnienia w lecie; mężczyźni zaś gardzili uprawą ziemi, za jedyne godne siebie zajęcia uważając myśliwstwo i wojnę. Aby jednak móc żyć z myśliwstwa, trzeba mieć ogromnie dużo ziemi. Rolnik może z rodziną wyżyć na dziesięciu morgach; myśliwcowi, jeśli głównym jego pokarmem ma być mięso upolowanej zwierzyny, trzeba parę tysięcy morgów. To też, jeśli szczerp indiański, liczący ogółem jakie dziesięć tysięcy dusz, posiadał obszar tak wielki, jak gubernja warszawska, to już im było ciasno, już się wstrzymać nie mogli od wkraczania do obcych lasów, które sąsiednie plemiona indiańskie za wyłącznie swój zwierzyniec uważały. Wy-

buchała tedy wojna, po jednej i drugiej stronie zabijano sporo ludzi — i znowu na jakiś czas było miejsce dla wszystkich. Takie wojny między plemionami powtarzały się ustawicznie.

Nie znaczy to bynajmniej, żeby Indianie na wieczne czasy do niczego lepszego nie byli zdolni, jak do trwania w stanie dzikości. Przeciwnie, wszak byli to ludzie tej samej rasy, co cywilizowane narody na stałym lądzie Ameryki środkowej, Meksykanie i inni, którzy mieli wspaniałe zagospodarowane pola i ogrody, budowali miasta, pałace i świątynie z kamienia zdobne rzeźbami, umieli czytać i pisać, byli doskonałymi złotnikami, podróżowali po morzu na dużych okrętach. Prawdopodobnie więc i Indianie Ameryki północnej, gdyby ich zostawiono w spokoju, byliby z czasem rozwinęli własną kulturę, chociażby na wzór meksykańskiej. A w takim razie i liczba ich byłaby się szybko zaczęła mnożyć. Stało się jednak inaczej.

ROZDZIAŁ II.

Pod koniec XVI. wieku obok Hiszpanów i Portugalczyków także i inne nadmorskie narody europejskie: Francuzi, Anglicy, później i Holendrzy zapragnęli w trwały sposób korzystać z bogactw nowo odkrytej części świata, tworząc tam stałe osady. O ile jednak nie chcieli od razu spotkać się z orężną przemocą pierwszych zdobywców, musieli się osiedlić w strefach przez tamtych wzgardzonych lub zaniedbanych, a więc dalej na północ.

Istotnie Francuzi, po kilku niepomyślnych próbach, w 1608 r. założyli na najdalszej północy, w dzisiejszej Kanadzie, kolonję, którą nazwali Nową Francją. Osadnicy francuscy byli nieliczni i niewiele zajęli ziemi, żyli nietyle z rolnictwa, ile z tego, że od indjańskich myśliwców kupowali futra zwierząt leśnych i wysyłali je do Europy. Tych Indian osadnicy francuscy uważali za braci, zawarli z nimi wieczny sojusz i gorliwie starali się ich cywilizować i nawracać na katolicyzm. Niemniej jednak liczba Indian w Kanadzie malała, bo wzamian za futra Francuzi obok innych towarów europejskich sprzedawali im wódkę, który to napój, przedtym całkiem nieznanym Indianom, niszczył ich w straszliwy sposób; nadto w obcowaniu z ludźmi białymi, Indianie zarażali się chorobą przedtym również u nich nieznaną — ospą, która okropnie wśród nich czyniła spustoszenia. Na domiar złego Francuzi, zawarszy sojusz z temi Indianami, na których najpierw natrafili,

odrazu dali się uwikłać w wojnę z wrogami swoich sojuszników, a temi wrogami byli Irokezi, najbardziej wojowniczy, a zarazem najlepiej zorganizowany i najpotężniejszy naród indiański na całej północy. Odtąd wojny między Francuzami a Irokezami często się powtarzały, tamując rozwój kolonji francuskiej i trapiąc i osłabiając sprzymierzonych z Francuzami Indian, i tak już przetrzebionych ospą i wódką.

Inaczej się wzięli do rzeczy Anglicy, i odmienne były ich losy. Pochop do wypraw ku amerykańskim wybrzeżom dał im przedewszystkim wrogi stosunek do Hiszpanji, jaki się u nich wyrobił na tle powstania holenderskiego. Onemi czasy bowiem Anglja stała się pomagającą wyzwalającym się z pod jarzma hiszpańskiego holenderskim powstańcom. Zato Hiszpanja, najpotężniejsze wówczas państwo w Europie, prześladowała Anglików swym gniewem, Anglicy zaś, nienawidząc państwa hiszpańskiego, jako twierdzy krzywdy i tyranji zaborczej, płatali Hiszpanom figle i psikusy, gdzie tylko mogli. Z tych to walk wyrosło w Anglji całe pokolenie awanturniczych żeglarzy, nawpół patryjotów, nawpół rozbójników morskich, którzy nie bacząc, czy urzędowo była wojna czy nie, na własną rękę wałęsali się po oceanie, polując na hiszpańskie okręty handlowe i łupiąc je, a czasem także zniemacka zdobywając i łupiąc jakąś osadę hiszpańską w Ameryce, czy gdzieindziej. Mimo, że czyny ich mocno zakrawały na zbrodnie, śmiali ci żeglarze pod niejednym względem wysoce się zasłużyli wobec narodu swojego, a czasem nawet i wobec ludzkości. I tak jeden z nich, Franciszek Drake (czytaj Drejk) przywiózł do Anglji roślinę amerykańską, która dzisiaj żywi miliony ludzi — krzew ziemniaczany. Inny znów, Walter Raleigh (czytaj Rali) przez długie lata wytrwale pracował nad utworzeniem angielskiej kolonji w Ameryce. W 1584 r. wylądował

około stu wiorst na południe od zatoki Chesapeake i zostawił tam gromadę osadników, poczym wrócił do Anglii, gdzie od królowej Elżbiety otrzymał wyłączny przywilej kolonizowania kraju, przezeń zwiedzonego. Kraj ten nazwano Wirginją, to znaczy krajem dziewicy, na cześć królowej Elżbiety, która była niezamężną, więc urzędowo za dziewicę uchodziła.

Ze swym przedsięwzięciem kolonialnym nie miał atoli Raleigh szczęścia. Owa pierwsza gromada osadników wyginęła z głodu. Daleko liczniejsza kolonja, osadzona w rok później, nie umiała utrzymać pokoju z Indjanami i po kilkuletnim istnieniu została przez nich wyrżniętą. Raleigh nie tracił nadziei: jeszcze w 1602 r. wysłał wyprawę do Wirginji, piątą z rzędu. Wtym umarła królowa; tron odziedziczył bardzo daleki jej krewny, Jakób, król szkocki. Jednym z pierwszych jego czynów było, że wtrącił Waltera Raleigh do więzienia, gdzie go trzymał przez kilkanaście lat, a wkońcu wypuścił go poto tylko, żeby mu niedługo później głowę ściąć. Ale łatwiej zgubić człowieka, niż jego dzieło. Podczas gdy Raleigh gnął w więzieniu, wielu z najwybitniejszych Anglików nalegało na króla Jakóba I, żeby zezwolił na nową wyprawę do Ameryki północnej i na tworzenie osad angielskich w tym kraju. Król niebawem raczył uwzględnić życzenia swoich poddanych. W 1606 r. dwoma jednocześnie wydanemi przywilejami uprawnił byt dwóch towarzystw kolonizacyjnych; jednemu, które siedzibę miało w Londynie, przeznaczył Wirginję, określając ją geograficznie jako część Ameryki między 34. a 38 stopniem szerokości północnej. Drugiemu towarzystwu, siedzibą którego było miasto portowe Plymouth (czytaj Plimys), król nadał prawo zakładania kolonji dalej na północy, w części Ameryki, położonej między 41. a 45. stopniem szerokości północnej — innemi słowy, w krainie między

rzeką Hudson a rzeką Świętego Krzyża. Tę to krainę podówczas zaczęto nazywać Nową Anglią. Ponieważ jednak Wirginja słusznie uchodziła za kraj bogatszy, cieplejszy i urodzajniejszy od Nowej Anglii, więc się możni i bogaci Anglicy przedewszystkim garnęli do towarzystwa londyńskiego; to też to towarzystwo najpierw rozporządzało kapitałami potrzebnymi do skutecznej kolonizacji. Wysłano odrazu 150 osadników, którzy w maju 1607 r. wylądowali na południowo-zachodnim wybrzeżu zatoki Chesapeake, gdzie się zabudowali na wysepce koło ujścia szerokiej rzeki; tę rzekę nazwali „rzeką Jakóba“, a osadę Jamestown (czytaj Dżemztaun), to znaczy Jakóbówką — na cześć króla, chociaż mu się żadna cześć nie należała. W następnym roku przybyło jeszcze siedemdziesięciu osadników, między nimi niektórzy rzemieślnicy niemieccy i polscy, których zaciągnięto w zamiarze rozwijania przemysłu w nowym kraju. Wkrótce potym zawarto pierwsze małżeństwo w nowej osadzie; panną młodą była pewna służąca z Anglii. W trzecim roku nasłano aż pięciuset osadników obojga płci. Ale losy kolonji były początkowo bardzo ciężkie. Trzeba było czasu, aby koloniści zrozumieli, że na znalezienie brył złota pod krzakami puszczy, ani na żadne przypadkowo znalezione skarby liczyć nie mogą, że aby się zabezpieczyć od głodu, muszą regularnie uprawiać ziemię; a kiedy to zrozumieli, znowu trzeba było czasu, aby się nauczyli uprawiać ziemię w klimacie tak całkiem różnym od ojczystego. Zanim osadnicy zrobili wszystkie te doświadczenia, setkami marli z głodu. Nadto okazało się, że błogosławiony klimat wirgiński ma dla Europejczyków także ujemne strony. W nadmorskich nizinach Wirginji jest bowiem tak gorąco, a zarazem powietrze jest tak wilgotne i duszne, że biali ludzie się tam do pracy na roli wogóle niebardzo nadają, bo zbyt szybko ich ogarnia zmęczenie.

Nadto w moczarach nadmorskich lęgnie się febra, której się najłatwiej nabawić można przy pracy w polu. Z tym wszystkim jednak, chociaż wielu osadników wracało do Europy, kolonja już nie przestała istnieć. W 1612 r. osadnik Jan Rolfe zaprowadził uprawę tytoniu, która się świetnie powiodła i stała się źródłem powszechnego dobrobytu. W 1614 r. stosunki z Indjanami, przedtym niejednokrotnie wrogie, poprawiły się dzięki temu, że Rolfe ożenił się z córką indjańskiego kniazia. W następnym roku Towarzystwo Londyńskie uregulowało własność ziemską w Wirginji, nadając każdemu samodzielnemu osadnikowi 50 akrów, czyli 35 morgów polskich na własność; w 1619 r. zaś Towarzystwo nadało osadnikom konstytucję z sejmem wybieralnym. W tymże roku przybyło z Anglii przeszło 1200 dorosłych osadników obojga płci; z niemi wysłano sporo chłopców i dziewcząt, a nadto 110 skazańców wypuszczonych z katorgi, których oddano rolnikom za służących. W 1620 r., kiedy osadniczą ludność Wirginji obliczano już na cztery tysiące głów, osadnicy wobec szybko rosnącego zapotrzebowania sił roboczych do tak intratnej uprawy tytoniu po pierwszy raz chwycili się środka, który w późniejszych czasach miał się stać przekleństwem kraju: kupili dwudziestu murzynów-niewolników, przywiezionych z Afryki. Oczywiście, pokazało się odrazu, że murzyni pracę w wilgotnym gorącu lepiej znoszą od białych; nadto nie chorują na febrę. Mimo tego, na razie liczba murzynów pozostała nieznaczną, podczas gdy tłumnie przybywali biali osadnicy.

Podczas gdy tedy Londyńskie Towarzystwo kolonizacyjne bądź co bądź krzepko naprzód posuwało swoje dzieło, uboższe Towarzystwo w Plymouth pozostało bezczynnym. Nie zdołało nawet zapobiec zajęciu bardzo ważnej części przyznanego mu obszaru przez osadników innego narodu.

A mianowicie, począwszy od 1613 r., Holendrzy zaczęli się osiedlać nad rzeką Hudson. Im jednak chodziło nietylko o osadnictwo, co o handel. Dlatego też, zamiast tkwić u wybrzeża i karczować mógł po morgu, Holendrzy odrazu posunęli się blisko o 200 wiorst prosto na północ i tam, gdzie rzeka Hudson przestaje być splawną, założyli fortecę, czyli raczej ufortyfikowany magazyn handlowy. Miejsce było dobrze obrane; nieco powyżej bowiem wpada do Hudsonu płynąca od zachodu rzeka Mohawk (czytaj Mohak), a nad górnym biegiem tej rzeki zaczynały się siedziby Irokezów. Od tych właśnie dzielnych myśliwców przedewszystkim pragnęli Holendrzy kupować futra bobrowe i inne. To też stosunek ich do Irokezów odrazu stał się przyjaznym i takim pozostał. Duże zyski handlowe zachęciły Holendrów do rozszerzenia kolonji, która otrzymała nazwę „Nowych Niderlandów“; w 1623 r. zajęli zatokę Delaware. W trzy lata później za dwadzieścia cztery talary srebrne kupili od Indjan niewielką wyspę u ujścia Hudsonu i założyli tam drobną osadę, imię której było Nowy Amsterdam. Sami chyba zgoła nie przewidywali, że ten drobniutki Nowy Amsterdam stanie się kiedyś zarodkiem potężnego miasta, największego dzisiaj po Londynie miasta na świecie, liczącego obecnie już przeszło cztery miliony mieszkańców — zarodkiem Nowego Jorku.

Tymczasem, zanim jeszcze Nowy Amsterdam założono, los tak zrządził, że długo odłogiem leżący przywilej Towarzystwa w Plymouth jednak się jeszcze komuś przydał. Aby jednak zrozumieć, jak się to stało, musimy się nieco zastanowić nad wewnętrzną historją Anglii.

A mianowicie: ówczesną ludność Anglii szarpała zawzięta niezgoda religijna. Od trzech pokoleń już ogromna większość Anglików nie uznawała papieża rzymskiego, urzędową religją Anglii był umiarkowany protestantyzm,

zachowujący wiele obrządków katolickich, ale za widomą głowę kościoła uznający każdorazowego króla Anglii. To też król mianował biskupów. Ten rządowy kościół angielski nazywał się anglikańskim. Wyznawcami jego byli między innymi także osadnicy wirgińscy. Tymczasem pośród ludu angielskiego było bardzo wielu, których anglikanizm nie zadawałał, chociażby dlatego, że rządowi księża chwalili królewskie porządki, które się ludowi angielskiemu coraz mniej podobały. Wszak nie było tajemnicą, że król Jakób I. dążył do władzy nieograniczonej i starał się parlament jak najrzadziej zwoływać, a jeśli zwołał, to po to tylko, aby jak najwięcej pieniędzy wyciągnąć na swoje cele; poza tym zaś król Jakób prawa parlamentu obcinał jak mógł. A przecież parlament angielski istniał wówczas od czterechset lat; mimo braków jego, lud był doń przywiązany i upatrywał w nim rękojmię swoich własnych swobód. To też właśnie zatargi króla Jakóba z parlamentem wzmacniały u ludu mniemanie, że chyba musi być gdzieś jakaś inna, lepsza prawda, niż ta, którą głosili duchowni anglikańscy, przez króla na tłustych prebendach osadzeni i wielbiący go za to. A ponieważ właśnie wówczas przełożono całą biblię, Stary i Nowy Testament, na język angielski i przekład ten rozpowszechniono drukiem, więc w całym kraju włościanie i rzemieślnicy gorliwie czytali tę księgę; a tłumacząc sobie słowa biblii, każdy po swojemu, zaczęli dochodzić do przekonania, że chyba jeszcze wiele, wiele zmienić trzeba w kościele i państwie, aby żyć w zgodzie z przykazaniem bożym. Innymi słowy, wśród ludu angielskiego rozkrzewił się ruch sekciarski. Najlicniejszą sektą byli początkowo tak zwani purytanie, czyli kalwini angielscy. Ponieważ ci purytanie nie uznawali władzy biskupiej, a nadto byli zwolennikami rządów ściśle parlamentarnych, więc król Jakób

przez swoich urzędników i sędziów prześladował ich i trapił, gdzie mógł. To też, jeżeli w gminie jakiegś purytanie chcieli się zejść razem, aby czytać biblię lub odbyć nabożeństwo po swojemu, czynili to ukradkiem, w ciągłej trwodze przed szpiegami królewskimi. Łatwo zrozumieć, że w przykrym tym położeniu niejednemu z nich nasuwała się myśl opuszczenia kraju. Między innemi w 1606 i 1608 r. dwie niewielkie gromady purytanów angielskich, głównie wieśniaków, pokryjomu uszły do Holandji. Tam znaleźli zarobek, jako tkacze; a prześladowania religijnego nie mieli się poco obawiać, bo Holendrzy sami byli kalwinami. Natomiast obyczaje Holendrów były im obce i niemiłe, a nadto z czasem zaczęła ich trapić troska, że dzieci ich się wynarodowią, a zatym cały ich odrębny dorobek umysłowy, tak ciężko zdobyty, przepadnie bez śladu. Zaczęli tedy marzyć o jakiegś krainie, którąby mogli zająć wyłącznie dla siebie, aby potomkom i wiarę swoją i narodowość przekazać w nieskażonej czystości. Oczywiście zaś tylko w Ameryce mogli znaleźć taką krainę. „Ojcowie Pielgrzymi“ (tak bowiem w późniejszych czasach nazwano tę ubogą gromadę wychodźców) wysłali tedy dwóch ze swego grona do Anglji na zwiady; a wytargowawszy od Towarzystwa kolonizacyjnego skromną koncesyjkę, oraz pożyczwszy od kilku kupców londyńskich pieniądze na podróż, postanowili wyjechać. Na razie podróżnych było 102, mężczyzn, kobiet i dzieci. Wyjechali w sierpniu 1620 r. z Plymouth. Okręt był lichy, podróż długa i uciążliwa. Wicher zagnał ich nieco dalej na północ, niż chcieli, a mianowicie aż poza Przylądek Kabeljana. Na zachód od tego przylądka opuścili okręt, obrali stosowne miejsce na osadę i odrazu poczęli budować chaty, karczować puszcę i uprawiać zboże. W ciągu następnego roku przybyła z Holandji reszta gromady, 135 osób. Tak powstała kolonja New

Plymouth (czytaj Niu Plimys), pierwsza kolonja purytańska w Nowej Anglii.

Zgodnie z zasadami swojemi, „Ojcowie Pielgrzymi“ wszelkie sprawy publiczne rozstrzygali na powszechnym wiecu większością głosów, przyczym każdy dorosły mężczyzna miał jeden głos. Faktycznie jednak całą gromadą kierował kaznodzieja kalwiński. Z Indjanami początkowo żyli dobrze, dzięki temu, że jeden z nich wyleczył kniazia indjańskiego z ciężkiej choroby. Wdzięczni Indjanie nauczyli ich uprawiać kukurydzę, nieznaną w Anglii. Wogóle zaś osadnicy tak skrzętnie i umiejętnie uprawiali rolę, że już po pięciu latach mieli więcej zboża, niż im potrzeba było, wobec czego nadwyżkę sprzedali Indjanom.

Tej pracowitej, poważnej i pobożnej gromadzie brakło jednak jednej cnoty: tolerancji. Aż nadto skorzy byli do potępienia swoich własnych towarzyszków za niedostateczną pobożność czy prawowierność. To też już po kilku latach niektórzy osadnicy, zrażeni kłótnością sąsiadów, zaczęli się usuwać od gromady i budować pustelnicze chaty w puszczy lub na wyspach. Takim był ów Blaxton, który, jak mówił, „nie chciał być podwładnym ani biskupom, ani braciom purytanom“.

Ale ci samotnicy niedługo pozostali sami.

Niezadowolenie w Anglii nie ustało, owszem ogarniało coraz szersze koła. Śmierć króla Jakóba w 1625 r. nic nie zmieniła na lepsze, przeciwnie, syn i następca jego Karol I. jeszcze o wiele bezwzględniej od ojca dążył do zniesienia wszelkich ograniczeń władzy królewskiej; rozwiązywał jeden parlament po drugim, dowolnie nakładał podatki, dowolnie, bez nakazu sędziowskiego, wtrącał swoich przeciwników do więzienia. W 1628 r., będąc w kłopotach pieniężnych, uroczyście przyrzekł poprawę; ale było do przewidzenia, że to niedługo potrwa. A im samo-

wolniej rządził król, tym szybciej rosły szeregi purytanów, do których zaczęli się przyłączać ludzie ze wszystkich klas społecznych. Na razie jednak purytanie jeszcze nie czuli się na siłach do podjęcia walki stanowczej w samej Anglii; tymbardziej rosły u nich chęci kolonizatorskie. Chodziło tym razem już nietylko o znalezienie przytułku dla gromady biedaków, znękanych prześladowaniem, ale o stworzenie za morzem silnego, kwitnącego społeczeństwa purytańskiego, któreby przykładem swoim i wpływem przyczyniło się do zreformowania samej Anglii. W takich zamiarach grono zamożnych purytan nabyło w 1629 r. od towarzystwa kolonizacyjnego koncesję na kraj nad zatoką Massachusetts, na północ od istniejącej już kolonii „Ojców Pielgrzymów“; zaraz potym zresztą postarano się o królewski przywilej, uniezależniający nowych kolonizatorów całkowicie od towarzystwa w Plymouth. Odrazu też wysłano 350 osadników. W kilka miesięcy później sam zarząd nowego towarzystwa, zamiast z Londynu poprzez ocean rozkazy posyłać osadnikom, osobiście przeniósł się do Ameryki; w ten sposób ten zarząd z rady zawiadowczej kupiecko-bankierskiego towarzystwa zamienił się w rząd krajowy nowej kolonii. Wraz z tym rządem przeszło tysiąc osadników na jedenastu okrętach przeniosło się nad zatokę Massachusetts. Na czele stanął jako namiestnik uczony szlachcic Jan Winthrop, człowiek zarazem stanowczy i łagodny. Miejsce, gdzie stała samotna chata Blaxtona, Winthrop obrał na założenie stolicy nowego kraju — miasta Boston.

Odtąd wzdłuż całego wybrzeża Nowej Anglii, od rzeki Świętego Krzyża aż po dolinę Hudsonu, krzewiło się osadnictwo purytańskie, o demokratycznych formach współżycia, niestrudzone w pracy, pełne zapału i żarliwości. W Anglii tymczasem działo się coraz gorzej; król,

po trzeci raz rozpędziwszy parlament, przez jedenaście lat już go wcale nie zwoływał, tylko rządził na własną rękę i coraz samowolniej, niepomny uroczystych przyrzeczeń. To też przez ten czas do samej tylko kolonii Massachusetts przybyło dwadzieścia tysięcy nowych osadników. Nie dziw, że znaczna część nowych przybyszów rozeszła się w różne strony, aby poza obrębem kolonii Massachusetts i New Plymouth karczować puszcze i zakładać nowe społeczeństwa osadnicze. Ci z nich, którzy poszli na południowy zachód, istotnie utworzyli dwie samodzielne kolonie: Connecticut (czytaj Konektikut) i New Haven (czytaj Niu Hawyn). Natomiast wzdłuż morza ku północy, na skalistym wybrzeżu, ubogim w ziemię orną, a smaganym zimnemi wichrami, powstały rozrzucone osady, zbyt samotne i słabe, aby się rządzić samodzielnie; to też wszystkie te osady północne z biegiem czasu przyłączyły się do Massachusetts. Ogółem zaś w całej Nowej Anglii panował jeden i ten sam duch, z niewielkimi tylko odchyleniami. Wszędzie władzę prawodawczą piastowało pierwotnie, przy współudziale wybieralnego namiestnika i rządu, zgromadzenie wszystkich osiadłych mężczyzn, prowadzących samodzielnie gospodarstwo; wszędzie później, gdy ludność nieco wzrosła, zgromadzenie to zastąpiono sejmem wybranym przez ogół gospodarzy. Ale też wszędzie można było być pozbawionym prawa wyborczego za nieprawowierność w sprawach religji; tylko w kolonii Connecticut nie było tego ograniczenia prawa wyborczego, ale i tam purytanizm był religją urzędową. Wogóle wszędzie w Nowej Anglii kaznodzieje kalwińscy wywierali ogromny wpływ i bardzo skorzy byli do wypędzania ludzi o odmiennych poglądach religijnych precz od swojej trzody. Wyróżniała się pod tym względem tylko mała kolonia Rhode Island (czytaj Rod Ajlend), leżąca na południu między New Plymouth a Connecticut;

tę bowiem kolonję utworzyli właśnie ludzie, wygnani z Massachusetts jako innowiercy. Na czele tych wygnańców stał również kaznodzieja, młody, ognisty Roger Williams, potępiony przez swoich purytańskich kolegów za skłonności republikańskie, dalej za ujmowanie się za Indjanami, wreszcie za twierdzenie, że religja jest sprawą sumienia każdego człowieka z osobna, że więc świecka władza nie powinna się wtrącać do spraw religijnych. To też kolonja Rhode Island, układając swoją konstytucję, wpisała do niej zupełne równouprawnienie dla wszystkich wyznań. Ta mała kolonja stała się tedy przytułkiem dla ludzi zewsząd wygnanych; odznaczała się także dobrotliwym postępowaniem wobec Indjan, podczas gdy purytanie z Bostonu, upatrując w Indjanach synów piekła, skazanych na wieczne potępienie, aż nadto skłonni byli do wysyłania przeciw nim ekspedycji karnych i do wyrzynania całych plemion.

W tymże czasie dalej na południu powstała inna kolonja odmiennego rodzaju. Wspomniałem już o tym, że król Jakób, jak z jednej strony prześladował purytan i inne sekty protestanckie, tak z drugiej strony prześladował i katolików. Było ich w Anglji niewielu, głównie wśród szlachty, lud angielski bardzo krzywo na nich patrzył, podejrzewał ich bowiem, jakoby to oni właśnie podjudzali króla przeciw parlamentowi i swobodom ludowym. Do tej garści katolików, mimo zamożności żyjących w ustawicznym niepokoju i trwodze, przyłączył się świeżo nawrócony anglikanin, bogaty właściciel dóbr, którego król przedtem otaczał był szczególną łaską, robiąc go lordem, to znaczy dziedzicznym członkiem Izby wyższej parlamentu, oraz ministrem swoim. Stawszy się katolikiem, Jerzy lord Baltimore (takie było jego nazwisko) złożył urząd i, nie chcąc walczyć z gniewem ludowym, prosił króla o pozwolenie, aby wyjechać do Ameryki i tam stworzyć przytułek

dla nowych swoich współwyznawców. Otrzymał przywilej na założenie kolonji na najdalszej północy, na wielkiej wyspie Nowej Fundlandji, naprzeciwko Kanady; osiadł tam, ale już pierwsza zima okazała się tak strasznie mroźną, że zaniechał zamiaru. Wrócił tedy do Anglji i prosił króla (był nim wówczas już Karol I.), o nadanie mu innego kraju o lepszym klimacie. Król, przychylny prośbie, odłączył od Wirginji nieskolonizowaną jeszcze strefę nad północną częścią zatoki Chesapeake i nadał ją lordowi Baltimore jako dziedziczne księstwo, które na cześć królowej nazwano krajem Marji, czyli po angielsku Maryland (czytaj Merylend). Było to w 1632 r., wkrótce potem Jerzy Baltimore umarł, ale syn jego Cecyljusz odziedziczył jego tytuły i prawa i wykonał jego plan, wysyłając w 1634 r. pierwsze kilkaset osadników do kraju Marji. Znaleźli tam bardzo korzystne warunki; nietylko kraj jest urodzajny a umiarkowanie ciepły, ale nadto obfituje w głębokie rzeki, korytem których przypyływ morski dwa razy na dzień bieży daleko w głąb lądu, podczas gdy w innych godzinach naodwrot odpływ morski wzmacnia chyżość prądu bieżącego w dół ku morzu; więc i przyjazd i odjazd okrętem jest nadzwyczaj ułatwiony. Katolicy ci osadnicy nie poczytywali się jednak za wyłącznych panów kraju; przeciwnie, uważając wszystkich ludzi bez różnicy cery za bliźnich, sądzili, że ziemię nadaną im przez króla powinni raz jeszcze nabyć od pierworodnych jej mieszkańców. To też, upatrzwszy sobie korzystnie położoną wieś indjańską, zaprosili mieszkańców na przyjazną naradę, a przedyskutowawszy z niemi kilka dni i obdarzwszy ich hojnie, zawarli z niemi umowę, według której Indjanie, wzamian za otrzymane dary, mieli połowę wioski opróżnić odrazu, a drugą połowę po żniwie. W ten sposób przybysze, zamiast wśród niezmiernych trudów karczować las i budo-

wać chaty, zajęli wieś już zagospodarowaną, chociaż po indjańsku tylko; a z Indjanami żyli w serdecznej przyjaźni. Indjanki uczyły białe kobiety piec chleb z mąki kukurydzowej, a Indjanie szli z nowemi sąsiadami na polowanie do puszczy. W następnym roku odbył się pierwszy sejm, wybrany przez powszechne głosowanie: ogłoszono zupełne równouprawnienie wszystkich wyznań chrześcijańskich.

Mimo tego sielankowego początku, dalsze dzieje Marylandu wcale nie były sielankowe. Rezydujący w Anglii lord Cecyljusz, jako zwolennik silnej władzy monarchicznej, niemiłosiernie odrzucał ustawy, uchwalone przez jego zamorskich poddanych; sejm marylandzki naodwrot odrzucał ustawy polecane mu do przyjęcia przez lorda Baltimore. Były więc ciągle zatargi, prawie tak samo jak w Anglii między królem a parlamentem, tylko na małą skalę. Niemniej kolonja szybko rosła w ludność i dobrobyt, dzięki uprawie tytoniu, który świetnie dojrzewał, a sprzedaż którego do Europy dawała duże zyski. Tylko że wbrew zamiarom założycieli liczba katolików pozostała nieznaczną; natomiast z obwieszczonej tolerancji dla wszystkich chrześcijan obficie korzystali purytanie i inni sekciarze protestancy.

Niedługo po założeniu Marylandu w pół drogi między tą kolonją a Nowemi Niderlandami powstała znów inna kolonja, ani angielska, ani holenderska, tylko szwedzka. Onemi czasy Szwecja była jednym z pierwszych mocarstw w Europie; nie dziw, że i królowi szwedzkiemu zachciało się zagarnąć jakąś część Ameryki dla siebie. Ale była to tylko mrzonka króla oraz niektórych możnowładców i bogaczy; ludowi szwedzkiemu żadnych kolonji nie trzeba było, bo we własnym kraju, rozległym a słabo zaludnionym, miał jeszcze dosyć puszczy do karczowania. Chwymano się więc sztucznych środków, aby wytworzyć emigrację;

werbowano osadników z pośród żołnierzy, przymusowo wysyłano do Ameryki ludzi aresztowanych za włóczęgostwo i inne lekkie przestępstwa. W ten sposób, począwszy od 1638 r., osiedlono kilkuset Szwedów i Finnów (Finlandja bowiem wówczas należała do Szwecji) w krainie nad zachodnim brzegiem rzeki Delaware, którą to krainę przeważano Nową Szwecją. Rządy w tej kolonii były wojskowe; osadników regularnie powoływano do ćwiczeń żołnierskich.

Tak więc w owym czasie wzdłuż wschodniego wybrzeża Ameryki północnej aż pięć narodów europejskich miało swoje kolonie. Na najdalszej północy, nad rzeką świętego Wawrzyńca, leżała Nowa Francja; oddzielona od niej górami i puszcza, wzdłuż morza ciągnęła się Nowa Anglja; nad Hudsonem leżały Nowe Niderlandy; nad zatoką Delaware Nowa Szwecja; dalej na zachód i południe, w Maryland i Wirginji mieszkali znowu Anglicy; na najdalszym południu wreszcie Floryda była w rękach Hiszpanów. Były to jednak dopiero skromniutkie początki. We wszystkich kolonjach razem nie było jeszcze całych stu tysięcy osadników; nie było też ani jednego miasta, liczącego więcej, niż parę tysięcy dusz.

Najludniejszemi były zresztą już wtenczas angielskie kolonie. A dla nich zbliżał się okres straszliwych wstrząśnień, które szły na nie z Anglji. Doigrał się tam wreszcie butny król Karol. Ojczyzna jego rodu, Szkocja, zbuntowała się przeciwko niemu. Nie mając środków do stłumienia buntu, w 1640 r. zwołał parlament i prosił o pieniądze na wojsko; ale parlament nic nie dał, tylko domagał się naprawy rządu. Wtedy najwierniejsi zwolennicy króla dali ostatni grosz na zaciągnięcie wojska; starczyło na niewielki pułk, który Szkoci z łatwością pobili. Upokorzony tą klęską, król ponownie zwołał parlament, i już

się więcej nie sprzeciwiał jego życzeniom. I oto parlament bezwzględnie niszczył całe dzieło życiowe króla: ograniczał władzę królewską, przywracał dawne swobody, dwóch głównych doradców króla skazał na śmierć. Wkońcu król stracił cierpliwość, zjawił się osobiście w parlamencie i kazał aresztować pięciu posłów, wodzów wrogiej mu partji. Nikt nie chciał spełnić rozkazu. Nazajutrz w Londynie wybuchło powstanie; król uciekł ze stolicy. Było to w 1642 roku. Odtąd przez siedem lat wrzała wojna domowa. Parlament zaciągnął własne wojsko i wysłał je przeciw wojsku królewskiemu. Ze Szkotami parlament zawarł pokój i przymierze; pułki ich połączyły się z wojskiem parlamentu angielskiego. Mimo tej pomocy, wojsko parlamentu nie było zwycięskie, póki się składało z najemnych włóczęgów i awanturników. Niebawem jednak tę najemną hołotę zastąpiono pospolitym ruszeniem włościan i mieszczan angielskich, świadomych celu walki i głęboko przekonanych o jej słuszności. To pospolite ruszenie zorganizował Cromwell (czytaj Kromwel), drobny szlachcic wiejski, który przedtym, jako poseł w parlamencie, po to tylko usta otwierał, aby wybełkotać prośbę o subwencję na osuszenie bagien w jego powiecie. Ten nieśmiały, milczący szlagon z głuchej prowincji teraz stanął na czele żołnierzy sprawy ludowej, potężnym słowem stłumił wśród nich wszelkie niewczesne swary o dogmaty religijne, wlał w nich otuchę i zapał i raz po raz prowadził ich do zwycięstwa. W 1647 r. król dostał się do niewoli; w 1648 r. parlament ogłosił, że Karol Stuart (takie było jego nazwisko rodzinne) przestał być królem; w 1649 r. królowi, skazanemu na śmierć za zdradę narodu, kat ściał głowę, a Anglja stała się republiką.

Kiedy wieść o tych zdarzeniach przedostała się do Ameryki, wszędzie w Nowej Anglji pośpiesznie i radośnie

uznano rządy republikańskie. W Maryland nie było jednomyślności; jednakże i tam przeważyło zdanie, że nowy rząd należy uznać. Natomiast Wirginja oświadczyła się przeciw republice; tułającego się gdzieś po obczyźnie królewicza Karola uznano królem, niezliczonych purytan wirgińskich wypędzono, podczas gdy z otwartymi ramionami przyjęto 330 szlachciców z partji królewskiej, którzy uciekli z Anglji. Ale opór ten okazał się wkońcu daremny; w 1652 r. Wirginja zmuszoną była poddać się flocie republiki angielskiej.

Atoli republika ta niedługo trwała. Nazewnątrż wprowadzie rządy Cromwella były pełne blasku i chwały wojennej; w samej Anglji natomiast wnet się pokazało, że wypaczenie dusz przez długą niewolę i po zdjęciu kajdan nie odrazu zanika. Żołnierze Cromwella umieli się bić za wolność, ale sami nie umieli uszanować wolności swoich rodaków. Dozorowali wszystko, wtręcali się do wszystkiego, wszędzie węszyli grzech, nieprawowierność i zdradę, tak, że rządy ich stały się wkrótce bardziej znienawidzone od dawnych rządów królewskich. Nadto nieustanne dyskusje teologiczne tak się rozpanoszyły i w armji i w parlamencie, że przeżarły wkońcu wszelką zdolność do czynu zgodnego i mocnego. To też Cromwell traktował rozdyskutowany parlament niemniej samowolnie, jak przedtym król, a pod koniec życia dzierżył władzę zbliżoną do królewskiej. Po jego śmierci zaś (w 1660 r.) odrazu wszystko się rozpadło; większość świeżo wybranego parlamentu oświadczyła się za przywróceniem monarchji, i królewicz Karol stał się królem Karolem II.

Cały ten okres przewrotowy w Anglji wywołał w kolonjach angielskich w Ameryce szereg doniosłych skutków, i dobrych i złych. Przedewszystkim od chwili zwołania parlamentu w 1640 r. wychodźtvo do Nowej Anglji ustało,

bo niezadowoleni woleli walczyć na miejscu, z początku słowem, później orężem. Z tej samej przyczyny nawet niektórzy purytanie, już osiadli w Ameryce, wrócili do staro- rego kraju. Natomiast zaraz po przywróceniu monarchji wszczęła się nowa fala tłumnego wychodźstwa do Ameryki; emigrowali w pierwszym rządzie starzy żołnierze Cromwella, których nowy król okrutnie prześladował.

Pozatym właśnie republikański parlament angielski wyrządził kolonjom ciężką a trwałą krzywdę. W chwili obalenia monarchji dorwali się do władzy obok włościan- żołnierzy, przedewszystkim zamożni kupcy londyńscy. Ci kupcy natarczywie domagali się od parlamentu ochrony przeciw obcej konkurencji. Tak powstała słynna „ustawa o żegludze“ z 1651 r., mocą której odtąd zagraniczne okręty kupieckie mogły do Anglii przywozić wyłącznie tylko wytwory swojego własnego kraju: holenderski okręt tylko holenderskie towary, francuski okręt tylko francuskie itd., podczas gdy angielskie okręty mogły do Anglii przywozić wytwory wszystkich krajów. Do tej ustawy Cromwell, chcąc ukarać Wirgińczyków za ich uparty monarchizm, przyczepił paragraf, według którego i z angielskich kolonji w Ameryce wolno było przywozić towary do Anglii tylko na angielskich okrętach, nie na amerykańskich. Znaczyło to, że odtąd osadnicy z Wirginji i Marylandu już nie mogli sami wywozić swojego tytoniu do Anglii, ani też mieszkańcy północnych kolonji swojego drzewa, smoły, potażu, ryb solonych itd., tylko jedni i drudzy musieli czekać, aż jakiś kapitan angielski raczył zawitać do ich portu i kupić ich towar za cenę, którą sam naznaczył. Wprawdzie za Cromwella ustawę tę faktycznie stosowano tylko do Wirgińczyków, purytanom zaś z Nowej Anglii Cromwell był przychylny, więc pozwalał im nie przestrzegać ustawy; ale Cromwell zmarł i rządy jego mi-

neły, a krzywdząca ustawa została. Król Karol II., mimo że skądinąd bezwzględnie starał się zniweczyć owoce działalności Cromwella, mimo że prześladował i wieszał nie tylko żywych jego przyjaciół, ale nawet trupa Cromwella kazał wykopać z ziemi, powiesić, rozćwiartować i spalić, a proch rozrzucić na cztery wiatry — ustawę o żegludze zatwierdził, a nawet pogorszył. Za jego rządów bowiem, w 1661 r., pierwotną ustawę o żegludze zaostrożono dodatkami, według którego Amerykanom nie wolno było sprzedawać swoich towarów nikomu innemu, jak tylko Anglikom; nie mogli się więc nawet już ratować sprzedawaniem towaru Holendrom czy Francuzom, jeśli Anglik zbyt niską dawał cenę. Co gorsza, w 1663 r. parlament uchwalił drugi dodatek, mocą którego już nietylko prawo nabywania towarów amerykańskich i wywożenia ich do Europy, ale tak samo i prawo dowożenia do Ameryki europejskich towarów przysługiwało wyłącznie tylko Anglikom. Teraz Amerykanie mieli ręce i nogi związane; byli, prawnie przynajmniej, oddani na łaskę i niełaskę kupcom angielskim, którzy mogli ich wyzyskiwać do krwi. Całym szczęściem dla nich było, że te bezlitosne ustawy nie dały się ściśle przeprowadzić, póki posiadłościom angielskim w Ameryce brakło ciągłości obszaru, tego pierwszego warunku jednolitych rządów. Między krajem Marji a Nową Anglią leżały Nowe Niderlandy, od 1655 r. powiększone zaborem Nowej Szwecji. Wystarczało więc dla Wirgińczyków i Marylandczyków objechać półwysep Chesapeake, a dla mieszkańców Nowej Anglii pojechać do Nowego Amsterdamu — i mogli, bezpieczni od dozoru angielskiego, sprzedawać co i komu chcieli, i kupować co i od kogo chcieli. W tym spadł na nich ostatni cios: flota angielska zdobyła Nowe Niderlandy. Było to w 1664 r. Odtąd Nowy Amsterdam nazywał się Nowym Jorkiem; całe wybrzeże było angiel-

skim — ale to właśnie było dla kolonistów angielskich rozpaczliwą klęską. Mieli już tylko do wyboru, czy chcieli się dać zepchnąć do nędzy, czy też stać się przemysłowcami. Wybrali to ostatnie. Szczególnie rybacy morskcy z Nowej Anglii, budując z odwiecznych pni swoich puszczy północnych niewielkie, ale doskonałe okręty, rychło się nauczyli nie tylko jeździć ku wybrzeżom sąsiedniej Nowej Fundlandji na połów łososi, kabeljanów czy śledzi, ale także śmiało przerywać ocean i torować wytworom swojego kraju drogę do Holandji, do Francji — gdzie bądź, byle nie do Anglii.

ROZDZIAŁ III.

Zdobywszy Nowe Niderlandy, król Karol II. oddał je w lenno, jako dziedziczne księstwo, bratu swojemu Jakóbowi. Ten zaś odrazu część zdobytego kraju, leżącą nad morzem między ujściem Hudsonu a zatoką Delaware, odstąpił dwum faworytom swoim, którzy z tej krainy zrobili osobną kolonję, pod nazwą New Jersey (czytaj Niu Dżersy). Po wykrojeniu tej dzielnicy, pod władzą namiestnika, mianowanego przez księcia Jakóba, pozostała więc na północy dolina Hudsonu, odtąd zwana kolonją nowojorską, na południu zaś dawna Nowa Szwecja.

Księżę Jakób był następcą tronu. Uważając rządy parlamentarne za wymysł djabła, marzył o tym, żeby kiedyś po śmierci brata przywrócić w Anglii nieograniczoną władzę królewską, a zarazem ogniem i mieczem wytępić herezję. Za herezję zaś poczytywał wszelkie wierzenia niekatolickie. Innemi słowy, przyszły król Anglii uważał ogromną większość swoich przyszłych poddanych za potępieńców, których właściwie należało spalić na stosie, ale którym z wielkiej łaski można było darować życie, jeśli na rozkaz królewski gotowi byli się nawrócić. Z góry więc wiedział Jakób, że kiedy się stanie królem, przeleje morze krwi. Tymczasem jednak tygrys chował pazury. Chodziło o to, żeby przedwcześnie nie wzburzyć przeciwko sobie opinii publicznej, bo w takim razie mógł go parlament wykluczyć od następstwa tronu. To też rządy, które Ja-

kób przez namiestnika swojego zaprowadził w swojej rozległej, ale pustej dzielnicy zamorskiej (całe Nowe Niderlandy liczyły w chwili zdobycia zaledwie 7000 mieszkańców, z których 1500 przypadało na stolicę), na razie nie były ani okrutne, ani surowe; były tylko absolutystyczne. Namiestnik tolerował wszelkie wyznania religijne, dbał o interesa handlu, dla wygody kupców urządził giełdę; ale robił to wszystko z łaski. Nie było konstytucji, nie było sejmu. Wszystko zależało od dobrego humoru księcia, który lada chwila mógł listownie nakazać namiestnikowi, żeby wszystko do góry nogami przewrócić. Uchodziło to, póki w kolonji niewielu było mieszkańców oprócz Holendrów, którzy po obcym rządzie najezdniczym i tak nic lepszego się nie spodziewali. Ale skład ludności szybko się zmienił. Zaczęli tłumnie napływać osadnicy angielscy, przywykli do rządów parlamentarnych. Głośno domagano się konstytucji. Bojąc się burzy, Jakób w 1683 r. nadesłał nowego namiestnika, któremu polecił rozpisać wybory do sejmu i odtąd nie inaczej pobierać podatki, jak za zgodą sejmu.

O rok wcześniej powstała w Ameryce nowa kolonja — jedna z najosobliwszych, a niebawem jedna z najludniejszych i najbardziej kwitnących. Mówiłem już kilkakrotnie o sektach w Anglii ówczesnej. Jedną z nich byli purytanie; inną sektą, blisko z purytanami pokrewną, ale radykalniejszą, a w polityce niedwuznacznie republikańską, byli Independenci (to znaczy „Niezawieśli“), do których należał Cromwell; znów inną sektą, nieco bardziej pokojową, byli Baptyści (to znaczy „Chrzcziciele“), którzy stanowili jądro ludności w Rhode Island. Wszystkie te sekty i inne jeszcze toczyły zaciekle walki nie tylko z rządowym kościołem anglikańskim, ale i między sobą. Otóż przeciwko nim wszystkim powstała sekta, która, podobnie jak duchoborecy

i tołstojowcy w Rosji współczesnej, szukała zbawienia nie w walce, tylko w bezwzględnej pokojowości. Zwolennicy tej sekty, których się czepiło szydercze przezwisko „Kwakrów“, to znaczy „drżących“, nie uznawali żadnej władzy świeckiej ani kościelnej, ale też nie zwalczali jej inaczej, jak słowem. Potępiali wszelkie używanie broni, ale też nie lękali się broni, tylko wszędzie i zawsze, nawet wobec obnażonych mieczów, wrogom i katom w oczy powtarzali swoje wyznanie wiary. Każdemu, żebrakowi czy królowi, mówili „ty“; każdego, monarchistę czy republikanina, traktowali jako przyjaciela. Założycielem tej sekty był wyrobnik wiejski, Jerzy Fox; już za czasów Cromwella nauka Foxa znalazła licznych zwolenników wśród prostego ludu, znużonego krwawymi walkami bratobójczymi. Otóż właśnie tych bezbronych miłośników pokoju ze wszystkich stron najgorzej prześladowano. Anglikanie, purytanie i independenci — wszyscy ścigali i szczuli kwakrów, jako bluźnierców i burzycieli porządku. Mimo to do tych zewsząd nękanych prostaków przyłączył się uczony młodzieniec z możnej rodziny, William (t. j. Wilhelm) Penn, syn admirała. Wiara jego okazała się niezachwianą; wrzucony do więzienia, w celi więziennej napisał rozprawę w obronie nauki kwakrów. W drugiej książce bronił zasady swobody religijnej dla wszystkich. Później, w dojrzałym już nieco wieku, Penn postanowił dla swoich współwyznawców stworzyć dogodny przytułek, korzystając w tym celu ze swojego stanowiska u dworu. Król Karol II bowiem wdzięczną pamięć żywił dla walecznego admirała Penna, ojca Williama. Dopuszczał więc Williama Penna do siebie, tymbardziej, że przyjemność mu sprawiało towarzystwo tego pięknego, wykształconego i miłego człowieka; a podwójną przyjemność mu sprawiało, że dopuszczając kwakra do dworu, do wściekłości doprowadzał purytan. Nadto ad-

mirał Penn pożyczyl był niegdyś królowi dużą kwotę, która jeszcze nie była spłaconą; William Penn był więc wierzycielem króla. Otóż Penn pragnął stworzyć taki przytułek dla kwaków, gdzieby nietylko mogli żyć spokojnie, ale zarazem dać światu przykład społeczeństwa, opartego na sprawiedliwych zasadach, rządzącego się równością i braterstwem. Oświadczył więc królowi, że gotów jest wyrzec się spłaty długu, jeśli mu król wzamian odda w lenno pewną dzielnicę w Ameryce. A mianowicie Penn podczas podróży do Ameryki upatrzył sobie kraj na zachód od kolonji New Jersey, po tamtym brzegu rzeki Delaware. Kraj ten należał dawniej do Nowych Niderlandów i wraz z niemi został zdobyty; ale przywilej nadany księciu Jakóbowi nie obejmował tej dzielnicy. Polowali tam Indjanie; blisko ujścia rzeki było parę wiosek szwedzkich i holenderskich; poza tym nikt tam nie mieszkał. A jednak był to żyzny kraj o klimacie ciepłym a zdrowym.

Po dwuletnich staraniach Penn dopiął swego. Król w 1682 r. oddał mu w lenno uproszoną dzielnicę, nakazując mu nazwać ją na pamięć ojca swojego Pennsylvanją, to znaczy leśnym krajem Penna. W dodatku zaraz potym książę Jakób (bo i na tego fanatyka ponurego a skrytego William Penn, dobry i serdeczny dla wszystkich ludzi bez różnicy, wywierał pewien wpływ), ulegając jego namowom, odstąpił mu dawną Nową Szwecję. W tydzień później Penn wsiadł na okręt, który go zawiózł do nadanej mu krainy. Wylądowawszy, odrazu zaczął wybierać miejsce na przyszłą swoją stolicę. Nad rzeką Delaware stał odwieczny wiąz; łąka koło tego drzewa uchodziła u Indjan za neutralny grunt, który do żadnego plemienia nie należał, ale gdzie wysłańcy różnych plemion mogli się spotykać celem odbycia pokojowej narady. Tę łąkę Penn przeznaczył na plac pod przyszłe miasto, które postanowił nazwać Fila-

delfją, co po grecku znaczy „miasto bratniej miłości“. Pomny jednak swoich zasad, nie zaczął budować, zanim nie uzyskał zgody Indjan. Rok prawie strawił na nawiązywaniu przyjacielskich stosunków z nimi, aż wreszcie sprosił ich na naradę pod więz. Tam kupił od nich ziemię i zawarł z nimi wieczyste przymierze. Dotrzymał go, póki żył, a i później jeszcze przez dłuższy czas Pensylwanja odznaczała się pokojowym traktowaniem Indjan.

Zabezpieczywszy w ten sposób pokój, Penn szeroko ogłosił założenie nowej kolonji i demokratyczną konstytucję, którą jej nadał, oraz, że w Pensylwanji chrześcijanie wszelkich wyznań będą nietylko tolerowani, ale równouprawnieni i wybieralni na posłów do sejmu, jakoteż i na wójtów czy inne urzędy. W ciągu dwóch lat napłynęło przeszło sześć tysięcy osadników przeróżnych wyznań i narodowości.

Podczas, gdy to się działo, dalej na południu rozwijały się również dwie nowe kolonje, które powstały już znacznie wcześniej. Już w 1663 r. król Karol II nadał był bowiem pewnemu gronu magnatów i bogaczy przywilej na skolonizowanie kraju, położonego na południe od Wirginji. Na podstawie tego przywileju założono dwie kolonje: Karolinę północną i Karolinę południową. Dla obu kolonji założyciele ogłosili tolerancję dla wszelkich wyznań; ale też obu kolonjom uparcie starali się narzucić cudacką konstytucję, mającą niby pogodzić demokrację z najdziwniejszymi wymysłami średniowiecznej szlachecczyny. Głównie zresztą założycielom chodziło o podatki, które przyszli osadnicy im płacić mieli. Nie poszło to jednak gładko. Osadnicy przybywali, tymbardziej, że płacono im koszta podróży; ale zaraz na miejscu okazywali się bardzo krnąbrnymi. Sejmy obu kolonji ową osobliwą konsty-



tucję raz po raz odrzucały; namiestnicy, nadesłani z Anglii, ciężkie mieli życie.

Ale nie mniej ciężkie czasy, jak na południu namiestnicy obu Karolin, przebywała na północy ludność Nowej Anglii. Wprawdzie, zaraz w początkach rządów swoich król wcielił maleńką kolonję New Haven do Connecticut, to się krzywdą wydawać mogło tylko niektórym szczególnie zaciekłym klerykałom kalwińskim z New Haven, w oczach których sąsiedzi z Connecticut byli jeszcze za mało pobożni. Ale chytry i mściwy Karol II miał dla wrogów swojego rodu (a za takich słusznie uważał mieszkańców Nowej Anglii) gorsze upokorzenia w zanadru. W 1675 roku wysłał nadzwyczajnego komisarza, mającego stwierdzić, czy ustawy, krępujące handel Nowej Anglii, są ściśle przestrzegane, a opornych zmusić do posłuszeństwa. Komisarz ten wysłał do Londynu sprawozdanie, opisujące mieszkańców kolonji Massachusetts jako nałogowych buntowników, żyjących tylko z oszukiwania królewskich urzędów celnych i wogóle kpiących sobie z króla i ustaw jego. Król tedy kazał sędziom swoim zbadać, czy się przypadkiem nie dadzą znaleźć powody prawne do zniesienia swobód nieposłusznej kolonji. W 1684 r. przywilej kolonji Massachusetts został zniesiony; tym samym większość ludności Nowej Anglii pozbawiona została samorządu i praw politycznych.

Była to dopiero przygrywka do przeraźliwej burzy politycznej, która się zerwała w rok później. Umarł Karol II. Spełniło się marzenie księcia Jakóba. Był królem. Zrzucił maskę. Okazał się tym, czym był: tyranem żądnym krwi i zniszczenia. Prześladował i do więzienia wtrącał wszystkich, dla których samowola jego nie była ustawą. Własnego bratanka, który podniósł bunt przeciwko niemu, skazał na śmierć i płał się we krwi jego stronników. Po

trzech latach takich rządów nienawiść do Jakóba II zjednoczyła cały naród angielski, od magnata do wyrobnika. Otóż zięciem Jakóba był prezydent Holandji, Wilhelm, książę Orański. Znano go jako roztropnego człowieka i zwolennika rządów parlamentarnych. Do niego się więc pokryjomu zwrócono z prośbą, aby objął rządy. Wilhelm, zręcznie zmyliwszy czaty teścia, wylądował w małym porcie angielskim, oczywista, pod ochroną zbrojnego oddziału. Odrazu po jego stronie stanęła cała Anglja, i parlament, i wojsko, i mieszczenie, i chłopi. Jakóbowi nie pozostało nic oprócz ucieczki, a królem Anglji stał się Wilhelm III. Tak się w 1688 r. skończyła ostatnia w Anglji próba obalenia władzy parlamentu.

Ale te trzy lata rządów Jakóbowych okrutnie się dały we znaki kolonjom, szczególnie północnym. Jakób odrazu zdeptał ich swobody. Wszystkie cztery kolonje Nowej Anglji: Massachusetts, New Plymouth, Rhode Island i Connecticut, połączono w jedną wielką prowincję, dla której król samowolnie naznaczył namiestnika, nie pytając się sejmów nawet o zgodę. Przeciwnie, nowy namiestnik, Edmund Andros, zaraz po wylądowaniu ogłosił rozkaz królewski, znoszący swobody kolonji nowo-angielskich i kasujący sejmy. Pieczęcie kolonji publicznie połamał, a byłby i pergaminowe przywileje królewskie podarł lub spalił, gdyby ich nie ukryto — w Connecticut naprzykład, w dziupli starego dębu. Co gorsza, prawo osadników do gruntów oddawna posiadanych ogłosił Andros za nieważne, a wszelką ziemię za królewską; na tej podstawie rozkazał mieszkańcom na nowo kupić ziemię, na której niejedni z nich siedział już od dziada lub nawet pradziada. Później do prowincji Androsa król przyłączył także kolonję nowojorską, oraz kolonję New Jersey; w tych dzielnicach Andros również zniósł sejmy, a zato zaprowadził cenzurę.

W podobnie brutalny sposób i kraj Marji pozbawionym został swoich swobód.

To też, jak tylko gruchnęła wieść o rewolucji w Anglii, w jednej chwili lud obalił rządy Jakóbowe na całej przestrzeni od rzeki Świętego Krzyża aż po zatokę Delaware. W Bostonie mieszczaństwo wtrąciło Androsa do więzienia; to samo zrobili mieszczaństwo nowojorscy z zastępcą jego Nicholsonem. Niebawem król Wilhelm III został uznany w całej Ameryce angielskiej; przywrócono dawny samorząd i sejmy wybieralne.

Wszelako Wilhelm III, wznawiając dawne przywileje osadników, uczynił w nich niektóre zmiany. Wprawdzie bez uszczuplenia potwierdził owe wyjątkowo szczodre przywileje, które niegdyś Karol II, naprzekór znienawidzonym purytanom bostońskim, nadał był dwum małym kolonjom Connecticut i Rhode Island, a które, o ile były rzetelnie przestrzegane, pozwalały tym dwum kolonjom poprostu rządzić się, jak dwum małym republikom niezależnym. Ale z wielką kolonją Massachusetts nowy król postąpił inaczej. Złamał potęgę kleru kalwińskiego, zakazując uzależniać prawo wyborcze od wyznania; lecz wzamian ugruntował swoją władzę, zastrzegając sobie prawo mianowania namiestnika, a namiestnikowi dając prawo mianowania wszystkich urzędników, dawniej wybieralnych. Drobnią kolonją New Plymouth, liczącą zaledwie trzy tysiące pięćset dusz, za zgodą mieszkańców wcielił do Massachusetts; ale zato tę ostatnią kolonję, wielką, ludną i spoistą, a przeto każdemu rządowi angielskiemu podejrzaną, osłabił i okaleczył przez to, że z obszaru jej wykroił szeroki pas poprzeczny od gór do morza, oddając go pod nazwą kolonji New Hampshire (czytaj Niu Hemszyr) w dziedziczne lenno pewnemu bogatemu Anglikowi.

Wogóle, chociaż Anglicy w osobie Wilhelma mieli

króla wedle swojego gustu, jednak kolonjom rządy jego nie pod każdym względem na dobre wyszły. Właśnie jako liberalny król musiał się Wilhelm III bardziej niż poprzednicy jego liczyć z żądaniami bogatego mieszczaństwa angielskiego; a to mieszczaństwo przedewszystkim łaknęło ustaw, chroniących je od obcej konkurencji. Wszelką konkurencję zaś, robioną im przez rodaków z kolonji, mieszczanie angielscy, mimo tożsamości języka i pochodzenia, poczytywali za obcą i domagali się zakazania jej przez parlament. A mogli to czynić bezkarnie, bo w parlamencie angielskim nie było przedstawicieli kolonji. Co gorsza, w owym czasie bogaci mieszczanie angielscy już nietylko kupiectwem się trudnili, ale posiadali też i wielkie rękodzielnie. A zatym już nietylko handel kolonji budził ich zazdrość, ale domagali się także od parlamentu i rządu, żeby żadną miarą nie pozwalano kolonjom rozwijać swój własny przemysł. Jeśli włościanie Nowej Anglii korzystali z długiej zimy, aby z własnego lnu czy konopi tkać swoje ubranie, to przemysłowcy angielscy upatrywali w tym karygodne uszczuplenie swoich praw; byli bowiem mocno przekonani, że osadników amerykańskich Bóg wyłącznie poto stworzył, aby kupowali angielskie towary. Tak się stało, że właśnie za postępowego króla Wilhelma III utworzono specjalny „Urząd handlowy i kolonjalny“, mający nieustannie czuwać nad tym, po pierwsze, żeby mieszkańcy kolonji wszystko, co mieli na sprzedaż, sprzedawali tylko Anglikom; po drugie, żeby wszystko, co pragnęli kupić, kupowali wyłącznie od Anglików; po trzecie, żeby do Anglii nie przywozili nic, coby angielskim towarom konkurencję robić mogło; a po czwarte, żeby się nie ośmielali, chociażby dla własnego użytku tylko, fabrykować cośkolwiek, co od Anglików kupić mogli.

Gdyby istotna potęga Urzędu handlowego dorówny-

wała była złośliwości zamiarów jego, wnetby się byli Amerykanie stali kupą głodomorów. Na szczęście dla nich chronił ich ocean, trudniejszy wówczas do przebycia, niż dzisiaj, chroniła ich rozległość ich kraju i nieprzystępność ich osad, coraz dalej w głąb puszczy sięgających. W ten sposób, chociaż pozostali rolniczą ludnością o słabych tylko zaczątkach przemysłu, jednakże wbrew uciskowi zdołali istnieć, a nawet szybko się mnożyć. Ale istnieli i mnożyli się dzięki ustawicznemu przekraczaniu i obchodzeniu ustaw angielskich. Tak się stopniowo zaczęło u nich utrwalać pojęcie, że parlament angielski jest wrogą dla nich instytucją, a działania naprzekór ustawom, przez ten parlament im narzuconym, nie jest żadnym złym uczynkiem.

Ale od tego nałogowego łamania ustaw, krępujących handel i przemysł, na razie jeszcze bardzo daleko było do świadomego zrywania z państwem angielskim, czy też z monarchją. Przeciwnie, w powodzi wstecznictwa, po śmierci Cromwella zalewającej i Anglję i Amerykę, myśl republikańska gdzieś utonęła — zdawało się, że bezprowrotnie. A przynależność do państwa angielskiego cenili Amerykanie jako jedyną podstawę wszystkich swoich praw i swobód. Jeżeli czasem szemrali, że parlament angielski ich krzywdzi, to nie dlatego, że parlament ich krzywdzi jako ludzi, tylko dlatego, że uszczuplał im prawa, należące się im jako „wolnym od urodzenia obywatelom angielskim“. W tym obywatelstwie tkwiła cała ich duma; ono to, obok chrześcijaństwa, wyróżniało ich od dzikich Indjan, których stopniowo coraz dalej wypierano na zachód ku górcom i poza góry, oraz od murzynów afrykańskich, których coraz liczniej używano na polach Wirginji do hodowli tytoniu, a w dusznych moczarach Karoliny południowej do uprawy ryżu. Z tym angielskim patryjotyzmem Amerykanów na razie wcale się nie kłóciło niezadowolenie

z powodu nieprzychylnych dla kolonji ustaw angielskich, bo winę za te ustawy przypisywano parlamentowi, a nie królowi; w królu zaś upatrywano właściwe wcielenie państwowości angielskiej. To też, ile razy wybuchła wojna między Anglią a którymkolwiek innym mocarstwem, liczni ochotnicy amerykańscy z zapalem krew swą przelewali za króla Anglii.

ROZDZIAŁ IV.

Niebawem przybyła nowa kolonja. Szwedzi nad zatoką Delaware, mimo szerokich praw demokratycznych, nadanych im na równi z innemi mieszkańcami Pensylwanji, mocno niezadowoleni byli z tego, że w sejmie pensylwańskim oraz wybranym przezeń rządzie krajowym byli bezsilną mniejszością wobec żywołów obcych im narodowością, wyznaniem i obyczajami. Domagali się więc podziału kolonji na dwie. Dobrotliwy Penn zezwolił na wybór osobnego rządu krajowego dla szwedzkiej dzielnicy, ale obstawał za wspólnym sejmem. Niesnaski jednak nie ustały; wreszcie w 1703 r. Penn zgodził się na zupełne oddzielenie szwedzkiej dzielnicy pod nazwą kolonji Delaware. Odtąd rodzina Pennów dzierżyła zwierzchnictwo nad dwiema kolonjami, wzajemnie od siebie niezależnemi.

O rok wcześniej (w 1702 r.) wybuchła wojna między Anglią a Francją. Przyczyna tej wojny osadników amerykańskich niezbyt wiele obchodziła; szło o to, kto po bezdziejnej śmierci króla hiszpańskiego ma się stać jego następcą. A jednak za tę obcą im sprawę osadnicy angielscy w Ameryce, szczególnie w Nowej Anglii, dużo cierpieć musieli. Sąsiadowali bowiem z francuską kolonją, Kanadą; otóż namiestnik Kanady, obawiając się napaści angielskiej na swój kraj, postanowił uprzedzić wroga. Użył w tym celu swoich sprzymierzeńców, Indjan, nawróconych na katolicyzm i znajdujących się pod wpływem katolickich księży. Ci

Indianie bardzo częściowo tylko przyjęli byli cywilizację europejską, ale zato z całą gorliwością przechrztów nienawidzili Anglików, jako heretyków. Przekradając się tedy poprzez góry i puszcze, znieścacka napadali na osady angielskie, mordowali bezbronnych, palili domy, uprowadzali jeńców i branki. Nie chcąc ginąć marnie, musieli się tedy osadnicy angielscy zaprawić do partyzantki granicznej. Na razie byli szczęśliwsi na morzu, niż na lądzie. Urządzili wyprawę morską na Akadję, tak bowiem wówczas zwał się półwysep, stanowiący wschodni zrąb Kanady; zdobyli główny port, co przy ówczesnym słabym zaludnieniu stanowiło o losie całego półwyspu. Mieli więc Amerykanie swoją zasługę w tym, że przy zawarciu pokoju w 1713 r. Kanada została znacznie obcięta na korzyść Anglii, i to wyłącznie od strony morza. Akadja, pod nazwą Nowej Szkocji, stała się posiadłością korony angielskiej, tak samo Nowa Fundlandja, a na najodleglejszej północy Anglja zajęła wybrzeże zatoki Hudsona,¹⁾ ważne ze względu na drogocenne futra, sprzedawane przez Indian owej mroźnej strefy. Żaden z tych krajów nie stał się zresztą samorządną kolonją o sejmie wybieralnym; nieliczna ich ludność biernie podlegała rozkazom namiestników, z Anglii nasłanych.

Kiedy ten pokój zawarto, samorządne kolonje miały już 450.000 mieszkańców, nie licząc plemion indjańskich. Ale nietylko liczba ludności rosła; widocznym był także postęp życia umysłowego. W Nowej Anglii dawny ograniczony klerykalizm kalwiński stopniowo zanikał pod technieniem swobodniejszych poglądów. Zabobonna wiara w czary, która jeszcze w 1681 r. doprowadziła była w ko-

¹⁾ Zatoka ta ma z rzeką Hudson tyle tylko wspólnego, że i rzekę na południu i zatokę na północy odkrył niegdyś jeden i ten sam śmiały żeglarz, Henryk Hudson, Anglik w służbie holenderskiej.

lonji Massachusetts do powieszenia dwudziestu niewinnych ludzi, jako czarowników i czarownic, znikła doszczętnie; miejsce ustawicznego dłubania liter Starego Testamentu zastępować zaczęły badania naukowe, szczególnie przyrodnicze. W ruchu tym przodowały mieszkańcom Nowej Anglii dwa uniwersytety, jeden w Massachusetts, istniejący już od 1636 r., drugi w Connecticut, w 1701 r. założony. Co zaś do Wirginji, to dla jej rozwoju duchowego punktem zwrotnym była rewolucja angielska 1688 r. Przedtem był to kraj analfabetyzmu; teraz zakładano tam i drukarnie i szkoły, a od 1692 r. i tam istniał uniwersytet. Wynikiem wzrostu oświaty był wzrost tolerancji religijnej. Podczas gdy Nowa Anglja nietylko wskutek nacisku rządu królewskiego, ale także dzięki własnemu rozwojowi duchowemu przestała być niegościnną dla wyznawców kościoła anglikańskiego, naodwrot w Wirginji w 1727 r. ogłoszono tolerancję dla purytan.

Korzystny dla Anglii pokój 1713 r. miał jednak dla kolonji jeden przykry skutek. Anglja zawarowała sobie monopol przywożenia do hiszpańskich kolonji w Ameryce pewnego nader zyskownego towaru: murzynów-niewolników. Monopol ten rząd angielski wykonywał za pośrednictwem uprzywilejowanego towarzystwa handlowego, specjalnie utworzonego w tym celu. Odtąd rząd angielski żywo zainteresowany był w tym, żeby handel murzynami przybrał jak największe rozmiary. Forytował więc przywóz niewolników czarnych już nietylko do hiszpańskich kolonji, ale i do angielskich. Na północy wprowadzie skuteczną zaporę dla tego haniebnego handlu stanowiły ostre zimy i mroźne noce, w takim bowiem klimacie murzyni chorują na gruźlicę. Nie opłacało się więc kupić murzyna za drogie pieniądze poto tylko, aby bodaj już w następnej zimie zaczął kaszlać i umarł. To też w Nowej Anglii ilość mu-

rzynów zawsze pozostała nieznaczną. Natomiast na południu corocznie setki murzynów kupowano. Sejmy południowych kolonji wielokrotnie uchwały zakaz dalszego przywozu niewolników; ale król, dbały o zyski towarzystwa handlowego, wszystkie te uchwały unieważniał. To też nie tylko w Karolinie południowej, gdzie już przedtem murzyni liczniejsi byli od białych, ale także w Karolinie północnej i Wirginji coraz więcej się niewolników mnożyło.

Pod innym względem zaszła zmiana na lepsze. Wiemy już, że niektóre tylko kolonje były bezpośrednio zależne od korony angielskiej; inne zaś miały w Anglji zwierzchników, którym król oddał był kolonję w lenno, pozwalając im mianować namiestników, dyktować ustawy i pobierać podatki. Wiemy także, że w niektórych wypadkach zwierzchnictwo to było dobrodziejstwem dla osadników, jeśli mianowicie zwierzchnik dawał przytułek ludziom prześladowanym za wiarę, jak to czynił lord Baltimore w Maryland, a Penn w Pensylwanji. W innych wypadkach zaś zwierzchnikom od początku głównie o zysk chodziło; osadnicy w takich kolonjach mieli poprostu mniej swobody, niż tam, gdzie kolonja nie uznawała innego zwierzchnika prócz samego króla, a zato mieli więcej podatków do płacenia. Nadto zwierzchnicy, czyli tak zwani „właściciele“ kolonji mogli swoją „własność“, lub też mniejszy lub większy udział w tej „własności“ sprzedawać komu chcieli, niby zwyczajną hipotekę. Osadnicy więc nigdy nie wiedzieli, jaki głupiec czy łotr może się nagle stać ich zwierzchnikiem czy współzwierzchnikiem. Otóż kolonja New Jersey pozbyła się tego ciężaru już w 1702 r., albowiem królowa angielska Anna, przychylając się do skarg osadników, zniosła przywileje „właścicieli“ i wzięła kolonję pod swoją bezpośrednią opiekę. To samo uczynił w 1715 r. następcą Anny, król Jerzy I, dla kolonji New

Hampshire. W Karolinie południowej zaś w 1719 r. wybuchł zbrojny bunt wolnych osadników, który zmusił „właścicieli“ do zrzeczenia się swoich praw na rzecz Jerzego I.; a w 1731 r., za Jerzego II, i Karolina północna stała się kolonią królewską.

Nadmienić warto, że minister Walpole (czytaj Wolpol), który za Jerzego II w jego imieniu rządził Anglią, z politycznych przyczyn na tyle dbał o podtrzymywanie w kolonjach ducha wierności wobec korony, że patrzył przez palce na przemytniczy handel między Ameryką a różnymi obcymi krajami. Było to jednak tylko rozluźnienie kajdanów, nie rozkucie. Nadto gnębienie przemysłu amerykańskiego zgoła nie ustało, nawet nie osłabło; kiedy w 1732 r. kapelusznicy londyńscy skarżyli się przed parlamentem na konkurencję, robioną im przez Amerykanów, fabrykujących kapelusze z bobrowej pilśni, parlament zakazał nie tylko przywozu tych kapeluszy do Anglii, ale nawet ich fabrykacji.

Tym łatwiej zrozumieć można, że Amerykanie, aczkolwiek wciąż jeszcze patryjoci angielscy i wierni królowi, jednakże toczyli nieustanne walki polityczne z namiestnikami tegoż króla. W Massachusetts walka ta przedewszystkim w tym się przejawiała, że sejm nie chciał namiestnikowi przyznać stałej pensji, tylko corocznie uchwalał dla niego jednorazowy „podarunek“ pieniężny, nie przesądzając, czy na przyszły rok namiestnik zasłużył sobie na taki sam podarunek, czy nie. Utrzymując w ten sposób namiestnika w ustawicznej zależności pieniężnej od siebie, mógł sejm tym skuteczniej odpierać wszelkie jego próby uszczuplenia swobód kolonji. Podobnie i w innych kolonjach się działo. W Nowym Jorku zdarzyło się, że namiestnik, świeżo z Anglii nasłany, odbywszy jedno posiedzenie z sejmem i przekonawszy się o jego krnąbrności,

zrozpaczony wykrzyknął: „Poco tu przyjechałem?“ a w kilka dni później się powiesił.

Tak stały sprawy, kiedy do szeregu dwunastu samorządnych kolonji przybyła najmłodsza, trzynasta siostrzyca: Gieorgia. Założycielem jej stał się szlachcic angielski, Jakób Oglethorpe (czytaj Ogletorp), który za młodu służył w wojsku austriackim, później zaś osiadł w rodzinnych dobrach i (co dla obywatela ziemskiego w Anglii ówczesnej nie było zbyt trudnym) postarał się o mandat do parlamentu. Niewątpliwie jednak zdolności trzydziestokilkolletniego posła zwróciły nań uwagę starszych jego kolegów, bo go odrazu obrano przewodniczącym komisji, mającej opracować projekt reformy więzień angielskich. Zwiedzając tedy więzienia i rozmawiając z mieszkańcami ich, poseł Oglethorpe zapoznał się z całą klasą więźniów, którzy wcale zbrodniarzami nie byli. Onemi czasy bowiem we wielu krajach Europy, a także w Anglii, istniał okrutny zwyczaj wtrącania do więzienia dłużników niewypłacalnych i trzymania ich tak długo, aż póki jakiś krewny czy przyjaciel więźnia zapłacił za niego dług; a jeśli się nie znalazł taki dobrodziej, to mógł dłużnik nieszczęśliwy gnąć w więzieniu aż do śmierci. Otóż Oglethorpe powziął myśl wykupienia tych więźniów i użycia ich do założenia nowej kolonji. Pozyskał dla swojego planu szereg zamożnych ludzi i połączył ich w towarzystwo, dla którego wystarał się o przywilej królewski na skolonizowanie krainy, która go jako wojskowego szczególnie interesowała: nie zajętego jeszcze przez białych pogranicza między Karoliną południową a hiszpańską kolonją Florydą. To pogranicze na cześć króla nazwano krajem Jerzego, czyli Gieorgia. Działo się to w 1732 r. Przywilej nie był atoli wystawiony na wieczne czasy, tylko na 21 lat; po upływie tego okresu król miał objąć kolonję.

Otrzymaawszy przywilej, Oglethorpe i jego wspólnicy publicznie ogłosili warunki osadnictwa. Uwięzionym za długi, o ileby się okazali godnemi, obiecano wykupienie, podróż kosztem towarzystwa i 50 akrów ziemi (tyle co 35 morgów polskich) na warunkach czynszu. Zwrócono się także do robotników bez zajęcia, obiecując im również wolną podróż i 50 akrów ziemi. Oprócz tego zapraszano i zamożniejszych ochotników, mogących odbyć podróż własnym kosztem. O wszystkich jednak zasięgnięto ścisłych informacji, zanim ich dopuszczono; starano się dobierać tylko ludzi zdrowych i uczciwego charakteru, tym jednak pozwalano odrazu i rodzinę brać z sobą. Przewidując z góry zbrojne zatargi z Hiszpanami, dorosłym mężczyznom kazano aż do dnia odjazdu odbywać ćwiczenia wojskowe pod kierownictwem sierżanta gwardji królewskiej. 17 listopada 1732 roku Oglethorpe wyjechał w drogę na czele pierwszej gromady osadników, złożonej z 35 rodzin czyli ogółem 130 osób; między mężczyznami byli rolnicy, murarze, cieśle i inni rzemieślnicy. 13 stycznia roku następnego wyładowano w Karolinie południowej, a na wiosnę ruszono do Gieorgji, gdzie przedewszystkim zwołano Indjan miejscowych na przyjazną naradę. Wynikiem tej narady było, że Indjanie, otrzymaawszy odpowiednie podarunki, dobrowolnie odstąpili białym wybrzeże morskie, zachowując dla siebie głąb kraju, przyczym nad każdą rzeką granica miała być tam, gdzie przypływ morski przestawał być widocznym; nadto Indjanie zastrzegli sobie trzy wyspy morskie, potrzebne im do myśliwstwa, rybołówstwa i kąpienia się w morzu. Jednocześnie ustanowiono ceny futer, które Indjanie sprzedawać mieli osadnikom, oraz ceny europejskich wyrobów, które biali mieli sprzedawać krajowcom; postanowiono także, że gdyby biały popełnił zbrodnię na Indja-

ninie lub naodwrot, to strona poszkodowana miała się wstrzymać od samowolnej zemsty, a zbrodnia miała być śledzoną i karaną wedle ustaw angielskich. Umowa ta na długi czas zabezpieczyła pokój z Indianami, tymbardziej, że Oglethorpe surowo zakazał sprzedawać im wódkę, której zresztą wogóle nie pozwalał ani wyrabiać na miejscu, ani sprowadzać. Również zakazany był przywóz murzynów-niewolników. Natomiast Gieorgja stała się przytułkiem dla protestanckich wychodźców z katolickich krajów Europy; były to bowiem czasy największego wpływu Jezuitów, więc wszędzie w Europie, gdzie rządy były katolickie, innowierców niemiłosiernie tropiono i gnębiono. Przybywali tedy tacy wychodźcy z Włoch, z Moraw, z katolickich dzielnic Niemiec. Oprócz tego sprowadzano szkockich górali, szczególnie przydatnych na żołnierzy. Kiedy zaś w 1739 r. wybuchła wojna między Anglią a Hiszpanją, Oglethorpe nie czekał, aż Hiszpanie napadną na jego kolonję, tylko powołał pod broń osadników i Indian-sprzymierzeńców i wyruszył na oblężenie najbliższego warownego miasta hiszpańskiego. Nie zdobył go, ale odstraszył Hiszpanów od ataku; a kiedy po dwóch latach jednak przybyli z armją i flotą, aby zdobyć wojowniczą kolonję, Oglethorpe ze szczupłą swoją milicją odparł ten atak. Niedługo potem jednak założyciel Gieorgji wrócił do Europy, a nadesłany przezeń namiestnik, przyparty do muru przez niezadowolonych kolonistów, w trzech ważnych punktach odstąpić musiał od pierwotnego planu Oglethorpe'a. Czynszowników uwłaszczono; jednocześnie atoli zniesiono i zakaz wódki, a co gorsza, zakaz niewolnictwa również zniesiono. Odrazu zaczęło się sprowadzanie murzynów. Kiedy w 1752 r. wygasł przywilej Oglethorpe'a i jego współników, a Gieorgja stała się kolonją królewską, już tam obok

niespełna 2400 białych przeszło tysiąc murzynów było. W dwa lata później zresztą król zatwierdził konstytucję Gieorgji, o sejmie dwuizbowym z wybieralną Izbą niższą; wyborcą był każdy wolny człowiek, posiadający 50 akrów ziemi, ale posłem mógł być tylko, kto przynajmniej 500 akrów posiadał.

Około tego czasu, a mianowicie w 1755 r., ludność trzynastu kolonji wynosiła blisko półtora miliona dusz. Z tego 300.000 przypadało na murzynów; reszta, pomijawszy bardzo nieliczne osady Indjan nawróconych i cywilizowanych (dzikich Indjan nie liczono), na białych. Wzrost białej ludności był więc nadzwyczaj szybki; potroiła się niemal w ciągu 32 lat. Dużo się do tego przyczyniło świeże wychodźstwo z różnych stron Europy. Istotnie Ameryka angielska była w tym okresie przytułkiem dla wszystkich prześladowanych i z państwa angielskiego i z innych państw. Przybywali górale szkoccy, wygnani z kraju za udział w powstaniu, które na tron Anglii i Szkocji wprowadzić miało wnuka Jakóba II, ale zostało stłumione; przybywali katolicycy włościanie irlandzcy, gnębieni przez lordów angielskich; przybywali niemieccy chłopcy z Palatynatu nadreńskiego, niejednokrotnie w owych czasach pustoszonego przez wojska francuskie. Nadto i miejscowa ludność amerykańska bardzo szybko się mnożyła, bo ziemi niezajętej było pod dostatkiem, więc każdy młodzieniec mógł się odrazu żenić i osiąść na własnym gruncie, o ile tylko umiał wykarczować sobie kawał puszczy.

W tymże czasie po raz pierwszy człowiek urodzony w Ameryce północnej zdobył sławę nie tylko w Ameryce, ale w Europie całej nieśmiertelną zasługą naukową. Był nim Benjamin Franklin, drukarz z zawodu, urodzony

w Bostonie, a zamieszkały w Filadelfji. Drogą niestru-
dzonego samouctwa niezwykle zdolny ten człowiek stał
się znakomitym pisarzem i wybitnym przyrodnikiem,
a ulubionym przedmiotem badań swoich zrobiwszy elek-
tryczność, mało jeszcze wówczas znaną, w 1752 r. wy-
nalazł gromochron.

ROZDZIAŁ V.

Tymczasem w 1753 r. po zachodniej stronie gór Alleghany zaczęły się zbrojne potyczki z Francuzami, a potyczki te zwiastowały długoletnią wojnę. Coprawda, właściwie między Ameryką angielską a Kanadą i przedtym pokoju nie było. I trudno było o pokój, kiedy dwa różne narody rościły sobie prawo do tej samej ziemi, a każdy z nich za zasługę sobie poczytywał wypieranie drugiego. Nadto te dwa społeczeństwa osadnicze na całym różnych podstawach spoczywały. W Ameryce angielskiej, z wyjątkiem niewolnictwa murzynów w nizinach południa, powszechną była wolność osobista; w Kanadzie francuskiej każda wieś należała do jakiegoś szlachcica, który od chłopów żądał posłuszeństwa i czynszów. Ameryka angielska samorządem stała; mieszkańcy każdej gminy co tydzień lub co miesiąc radzili nad miejscowemi sprawami, wybierali radców gminnych czy miejskich, wójta czy burmistrza, a o poborze podatków krajowych, jakoteż o ich użyciu stanowiła w każdej kolonji zosobna wybieralna izba posłów. Ba, niektóre kolonje same wybierały także izbę wyższą, a dwie (Connecticut i Rhode Island) nawet i namiestnika. Natomiast w Kanadzie żadnego samorządu nie było; wszystkim rozporządzali urzędnicy królewscy imieniem króla, który, siedząc na zamku pod Paryżem, czytał ich sprawozdania listowne i dawał im rozkazy co do najmniejszych szczegółów. W Ameryce an-

gielskiej stopniowo coraz powszechniej krzewiła się tolerancja religijna i coraz szerzej ją pojmowano, a wpływ duchowieństwa na świeckie sprawy stawał się coraz mniejszym. Natomiast w Kanadzie jezuici trzęśli i namiestnikiem królewskim i całym krajem; to też, podczas gdy w Ameryce angielskiej nawet żydzi spokojnie mieszkają i pracować mogli, do Kanady protestantów, nawet francuskiej narodowości, zgoła nie wpuszczano. Tolerowano jedynie katolików, a i nad prawowiernością katolików księża wykonywali dozór nader dokuczliwy, konfiskując im naprzykład książki o niedosyć pobożnej treści. Do Ameryki angielskiej wychodźcy z przeróżnych krajów przybywali na własną rękę, do Kanady przyjeżdżali wyłącznie Francuzi, a i ci tylko za specjalnym pozwoleniem króla, nieograniczonego władcy Francji; król zaś tych pozwoleń skąpo udzielał, bo władzę swoją opierał na szlachcie, a szlachta francuska żyła z pańszczyzny chłopskiej, więc się bała utraty rąk roboczych. To też w czasie, kiedy Ameryka angielska liczyła półtora miliona osadniczej ludności, w Ameryce francuskiej nawet jeszcze całych stu tysięcy Francuzów nie było. Ale też cały system gospodarczy był inny. Angielscy osadnicy byli przedewszystkim rolnikami; więc też posuwali się krok za krokiem, powoli, ale systematycznie. Szli ławą, karczowali puszcę na całej linii, planowo przekształcali nowe swoje otoczenie na wzór dawnej ojczyzny. Myśliwstwo i handel z Indjanami stały dla nich na drugim dopiero miejscu. Całkiem inaczej Francuzi. Zwarty pas wsi francuskich istniał tylko po obu brzegach rzeki św. Wawrzyńca. Ale z tych wsi, gdzie ich do ziemi przygniatało potrójne jarzmo szlachty, kleru i urzędników królewskich, co wiosnę bodaj połowa mężczyzn ukradkiem szła do puszczy, aby na własną rękę,

mimo że ktoś inny posiadał monopol tego handlu, nabywać futra od Indjan, wzamian za europejskie wyroby, przedewszystkim za wódkę. Na jesień ukradkiem wracali, udając, że nigdy nie opuścili swoich zagonów; ukradkiem też sprzedawali wspaniałe futra, upolowane przez Indjan w mroźnych puszczech północy. Ci „obieżyłasi“, jak ich nazywano ¹⁾, łódką lub pieszo przebywali niezmiernie przestrzenie; bratając się z Indjanami, dzieląc ich życie, dzicząc z nimi, pojmując za „żonę“ na czas pobytu córę raz tego, raz owego plemienia indjańskiego, docierali do bajecznych krajów, gdzie nigdy przedtym noga białego człowieka nie stanęła. Za temi zaś dziwnymi przemytnikami, czy kłusownikami podążali urzędowi wysłańcy władz kanadyjskich: misjonarze i oficerowie. Pierwsi osiadali wśród Indjan i z wielką cierpliwością, a większym jeszcze sprytem pracowali nad nawracaniem ich. Drudzy, przybywając z bardzo szczupłym oddziałem żołnierzy, ale zasilając się przez obieżyłasów, których ani nie myśleli karać, odbywali uroczyste wiece z kniaziami indjańskimi; obdarzając ich hojnie i pochlebiając ich dumie, bardziej prośbą niż groźbą nakłaniali ich do uznawania zwierzchnictwa króla francuskiego, „wielkiego ojca za morzem, który tak kocha swoje dzieci indjańskie“. Uzyskawszy jednak to uznanie zwierzchnictwa, bynajmniej nie żądano od Indjan, aby przyjęli u siebie francuskich urzędników i poddawali się ich rozkazom, ani też żeby jakąś znaczniejszą część swojej ziemi odstąpili osadnikom francuskim. Stawiano tylko na ich gruncie skromną forteczkę, która właściwie była ufortyfikowanym składem towarów; tutaj odtąd przybywali Francuzi, aby kupować futra, a niewielki oddział żołnierzy strzegł tych futer aż do odwiezienia.

¹⁾ Po francusku „coureurs du bois“ (czytaj kurer dju boa).

A tymczasem żądni przygód Francuzi: obieżyłasy, misjonarze, oficerowie zapuszczali się na nowo w głąb ziem nieznanych. Okręty ich wzdłuż i wszerz płynęły po owych pięciu olbrzymich jeziorach, z których wypływa rzeka św. Wawrzyńca, a z których najmniejsze jest jeszcze większym od całej gubernji warszawskiej. Po tamtej stronie jezior brali łodzie na barki i nieśli je do któregoś z przypiływów wielkiej rzeki Missisipi, „Ojcem Rzek“ przez Indian nazwanej; a fale tej potężnej rzeki unosiły ich wśród coraz kwiecistszych nizin het na gorące południe, aż na słone, pieniące się wody zatoki Meksykańskiej. Do ujścia Missisipi dotarli Francuzi już wtenczas, kiedy William Penn zakładał Filadelfję; założyli tam szereg osad, a cały kraj nad Missisipi i dopływami jego nazwali Luizjaną, czyli „krajem Ludwika“ na cześć sławnego króla swojego Ludwika XIV. Odtąd król Francji miał dwie prowincje w Ameryce: Kanadę i Luizjanę. Z nazwy przynajmniej Ameryka francuska z trzech stron szerokim pierścieniem opasywała angielską Amerykę, a odkąd w Hiszpanji królowali krewniacy francuskich królów, Floryda hiszpańska służyć mogła za dopełniające ogniwo tego pierścienia. Ale w tym ogromnym państwie kolonialnym, którym się Francuzi szczycili, zamało było Francuzów. Dlatego to, mimo świetnych pozorów, panowanie francuskie w Ameryce było nietrwałe, i lada wichur mógł je obalić.

Otóż w 1749 r. namiestnik Kanady uważał chwilę za korzystną do ugruntowania władzy francuskiej nad krajem, położonym na zachód od Pensylwanji i Wirginji, po tamtej stronie gór. Był to piękny, bogaty kraj, ani bagnisty ani zbyt suchy; od wschodu pokrywały go dziewicze lasy liściaste, podczas gdy ku zachodowi widniały coraz szersze pasy soczystych łąk zielonych. Nie brakło

tam ani zwierzyny wszelkiego rodzaju, ani ryb w strumieniach, płynących ku zachodowi i zasilających wielką rzekę Ohio, która wpada do Missisipi. A jedynymi mieszkańcami tego kraju były nieliczne plemiona indjańskie, które dopiero co zaczęły nabywać od białych handlarzy narzędzia żelazne i broń palną. Zwyczajnym tedy sposobem wysłańcy namiestnika francuskiego odbywali wiece z Indjanami i kniaziami ich; uprzejmością, wymową i podarunkami przekonywali dzikich myśliwców, że „ojcem“ ich jest król Francji, a nie król Anglii. Jak zwykle, Indjanie szybko lgnęli do Francuzów. Angielskich handlarzy, przebywających w namiotach Indjan, odrazu wypędzono. Przez cztery lata Francuzi co wiosnę posuwali się dalej na południe, coraz bliżej osad angielskich. W 1753 roku prawie już tylko góry Alleghany dzieliły strefę, objętą wpływami francuskimi, od Wirginji. Wtedy sejm wirgiński, za namową namiestnika tej kolonji, wysłał na zachód niewielki oddział milicji, aby zbudować forteczkę na końcu półwyspu, utworzonego przez dwie rzeki, z połączenia których powstaje Ohio. Oddział ten Francuzi zmusili do odwrotu. Ale w następnym lecie wyruszyło czterystu Wirgińczyków; na czele ich wobec nagłej śmierci pułkownika, stanął 22-letni młodzieniec nazwiskiem Jerzy Washington (czytaj Waszington), ze szlacheckiej rodziny, a geometra z zawodu. Jemu się lepiej powiodło; zaprzyjaźniony książ indjański wskazał mu drogę do wąwozu, gdzie kilkudziesięciu Francuzów leżało ukrytych, czekając posiłków. Natarł na nich; przywódcę i część żołnierzy zabito, resztę wzięto do niewoli. Było to pierwsze zwycięstwo młodego Washingtona; ale też niebawem nastąpiła pierwsza jego klęska. Przeciwno Wirgińczykom wysłano z Kanady wojsko kilkakroć liczniejsze; po całodniowej bitwie zmuszeni

byli prosić o pokój i wrócić do domu. Na upatrzonym zaś przez Wirgińczyków półwyspie nad Ohio nie oni, tylko Francuzi wybudowali forteczkę, którą nazwali Fort Duquesne (czytaj For Djuken).

Urzędowo wciąż jeszcze trwał pokój między Anglią a Francją; faktycznie jednak na wiosnę 1755 r. rząd angielski wysłał dwa pułki do Wirginji, a rząd francuski trzy tysiące żołnierzy do Kanady. Na nieszczęście Anglija wraz z żołnierzami przysłała i wodza prosto z Londynu. Był nim generał Braddock (czytaj Braddock). Uchodził za tęgiego oficera; może i był nim. Ale puszczy dziewiczej nigdy przedtem na oczy nie widział. A był mocno przekonany o nieomyślności swojej i od osadników, którymi gardził, nie się uczyć nie chciał. Najzdolniejsi ludzie z pośród Amerykanów służyli mu z całą gorliwością: Washington wskazał mu drogę przez góry ku Fort Duquesne, a Benjamin Franklin, który lepiej od zbyt pokojowo usposobionych kwaków rozumiał konieczność obrony przeciwko groźnej potędze absolutyzmu francuskiego, wystarał mu się o wozy dla wojska. Wszystko to nie osłabiło jednak pogardy Braddocka dla ludzi miejscowych, ani jego wiary w nieomyślność londyńskiej sztuki wojennej. W nieprzebytach gęstwinach, wśród tysiącoletnich drzew spowitych pnączami chciał maszerować i bić się tak, jak w Anglii podczas manewrów na równym polu. To też ciężko obarczonych żołnierzy marsz przez góry straszliwie wyczerpał; w pół drogi trzeba było trzecią część wojska pozostawić w tyle; z resztą armji Braddock szedł naprzód, aż nagle wśród gęstwin zaczęły kule świstać, a od każdej kuli padał oficer lub żołnierz. Wroga nie było widać; dopiero po dobrej chwili wystraszeni Anglicy dostrzegli tu czarnooką twarz o miedzianej cerze, ukrytą wśród liści,

tam znowu Europejczyka w czarnej oponczy indjańskiej, który wlaźł na drzewo i celował z góry, ukryty w zwojach dzikiego wina. A tymczasem biedni Anglicy w pięknych swoich mundurach czerwonych zewsząd byli widoczni. Stracili głowę. Jedna tylko milicja wirgińska, zrozumiawszy położenie, również wlaźła na drzewa. Ale generał Braddock, zamiast zachęcać żołnierzy, żeby poszli za tym zbawiennym przykładem, do głębi był oburzony tak haniebnym przekroczeniem regulaminu; kazał Wirgińczykom zejść na równą ziemię, i rzeź trwała dalej. Anglików i Wirgińczyków było razem 1460, podczas gdy Indian walczących po francuskiej stronie było tylko sześciuset, Francuzów zaledwie dwustu; pomimo to Anglicy ponieśli wprost niesłychaną porażkę. Mieli 863 zabitych i rannych. Washingtonowi dwa razy konia zastrzelono, mundur jego był podobnym do sita; Braddocka śmiertelnie rannego unieśli żołnierze z sobą wśród dzikiej ucieczki, którą Washington, obejmując komendę i ratując, co się ratować dało, dopiero o osiemdziesiąt wiorst od pola bitwy powstrzymać zdołał. Pogrzebano generała w puszczy, a Indianie francuscy, rozzuchwaleni zwycięstwem, zaczęli napadać na graniczne osady pensylwańskie i wirgińskie, paląc i mordując. Osadnicy tłumnie uciekali na południe, do Karoliny.

Podczas gdy się tak smutnie skończyła wyprawa butnego generała z Londynu, na północy ludzie miejscowi sami wyruszyli przeciw armji francuskiej. Prowadził ich William Johnson (czytaj Dżonzon), osadnik z górskiej puszczy, który żył w ścisłej przyjaźni z Irokiezami i miał Indjanę za żonę. Między rzeką Hudson a jeziorem Champlaina, nad srebrzystym jeziorem Jerzego odparli atak Francuzów i wodza ich wzięli do niewoli.

Teraz dopiero, kiedy już tyle krwi przelano, dyplomaci angielscy i francuscy nareszcie przestali okłamywać

się nawzajem, utrzymując, że pokoju nie zakłócono. Anglja otwarcie wypowiedziała wojnę. Było to hasło do rozpoczęcia owej straszliwej wojny siedmioletniej, w której, stając po stronie bądź to Anglji, bądź to Francji, prawie wszystkie mocarstwa Europy udział brały. Dla Ameryki zaś rządowe wypowiedzenie wojny miało ten skutek, że oba rządy wysłały do kolonji swoich świeże pułki i świeżych wodzów. Niestety, różnica była w tym, że absolutystyczna Francja, do szpiku przeżarta korupcją, upadająca pod ciężarem długów, trwoniąca miljony na kaprysy utrzymanek królewskich, jednakże na ten raz przynajmniej przysłała do Kanady nadzwyczaj dzielnego jenerała w osobie markiza Montcalm (czytaj Małkalm); natomiast konstytucyjny król angielski, chociaż się mniej dobrze bawił od swojego francuskiego kolegi, również obsadzał najwyższe urzędy według protekcji a nie według zasługi — i tak się stało, że na wodza przysłał do Ameryki niedołęgę i tchórza. Pan ten nazywał się jenerał Loudon (czytaj Laudon). Nie znał kraju, w którym miał wojować, i nie starał się go poznać. Zaledwie wysiadłszy na ląd w Nowym Jorku, na nowo wsiadł na okręt i, zostawiając zachodnią granicę bez dostatecznej obrony, całe prawie wojsko z Anglji nadesłane skierował morską drogą na najdalszą północ, aby zdobywać fortecę Louisbourg. Gdyby ją przynajmniej był zdobył! Ale przyjechał o dwa miesiące za późno, a potem ociągał się i guzdrał, aż Francuzi nagromadzili tyle wojska, że stracił wszelką nadzieję. Wrócił tedy z kwitkiem do Nowego Jorku — na wygodne leże zimowe. A tymczasem na zachodzie Montcalm siał postrach. Angielską forteczkę w kraju Irokieszów zabrał za jednym zamachem i zburzył doszczętnie. A co gorsza, forteczkę nad jeziorem Jerzego również zmusił do poddania się. Wprawdzie obroń-

com, osadnikom, którzy mieli żony i dzieci przy sobie, pozwolił odejść w pokoju; ale nie zdołał powstrzymać swoich sprzymierzeńców Indjan, którzy z dziką radością rzucili się na pobitych wrogów i sprawili okropną rzeź. A podczas gdy się to działo, w oddaleniu dwudziestu wiorst zaledwie stał na czele dwu tysięcy ludzi oficer z Anglii nadesłany, który, mimo usilnych próśb, bał się wyruszyć w pomoc.

Nie dziw, że ludność osadnicza kipiała niezadowoleniem. Znikła dawna wiara w niezwyciężoną siłę Anglii; zaczęto się zastanawiać, czyby kolonje o własnej sile nie potrafiły się daleko lepiej bronić. Rozgoryczenie rosło tym bardziej, że oficerowie angielscy zakwaterowani w mieszczkańskich domach zachowywali się grubiańsko i zuchwale, a Loudon nawet płacić za nich nie chciał. Nadto w tych właśnie czasach ciężka łapa centralizmu londyńskiego znowu z całą brutalnością gnębiła gospodarczy rozwój Ameryki. Począwszy od 1754 r., ponownie ściśle stosowano krzywdzące ustawy o żegludze; wobec tych ustaw, prawie każdy Amerykanin mieszkający nad morzem mógł być skazanym za przemytnictwo. Niemniej bezlitośnie prześladowano przemysł amerykański. Od 1750 r. zakazaną była fabrykacja stali oraz wszelkich prawie wyrobów żelaznych. Amerykanie mieli się zadawałać wytapianiem surowego żelaza dla fabryk angielskich. Słowem, między Ameryką a Anglią miał nastać podział pracy — ale taki podział pracy, któryby Anglię zrobił panią, a Amerykę niewolnicą. A ta sama Anglja, która tak uciskała kolonje, nawet bronić ich od zewnętrznego wroga nie umiała. To też przywiązanie Ameryki do Anglii w owych dniach stanowczo słabnąć zaczęło.

Tymczasem w Anglii zaszła nowa zmiana. Pobity w Ameryce i w Europie, na lądzie i na morzu, król Jerzy II.

zdecydował się nareszcie powierzyć ster rządu wodzowi liberalnej opozycji. Był nim sławny mówca William Pitt, człowiek niezwykle zdolny i prawy. To też Pitt odrazu zaczął robić porządek z niedołącznemi faworytami króla. Nie bacząc ani na wiek, ani na arystokratyczne pochodzenie, generałami mianował najdzielniejszych. Loudona odrazu odwołał. Ale wobec protekcyjnej gospodarki na dworze królewskim i Pitt nie był wszechmocnym; dowództwo nad wojskiem, mającym od Hudsonu dążyć na północ wzdłuż jeziora Champlaina, pozostało w rękach dobrze urodzonego osła, generała Abercrombie (czytaj Aberkrombi), ospałego starego tłuściocha bez żadnej samodzielnej myśli. Okrutnie się to zemściło.

Na wezwanie uwielbianego Pitta, sejmy amerykańskie, na wiosnę 1758 r., wystawiły w pole niemniej jak dwadzieścia tysięcy żołnierzy milicyjnych. Niestety, połowa z nich poszła pod komendę generała Abercrombie. Miał on nadto w obozie sześć tysięcy Anglików, razem więc 16.000 ludzi. Jak na owe czasy, była to potężna armja. Ale pokazało się, że i taką armję potrafił przyprawić o klęskę.

Nad jeziorem Champlaina, tam, gdzie doń wpada rzeka wypływająca z jeziora Jerzego, stała wówczas na stromej lesistej górze forteczka francuska Tikonderoga. Tam dowodził waleczny Montcalm, pogrążony w smutku. Miał przy sobie zaledwie trzy tysiące pięćset żołnierzy, armat nie miał, posiłków się nie spodziewał. Wobec więcej niż czterokrotnej przemocy wroga wiedział więc, że jest stracony — chyba, że generał angielski popełni jakieś szalone głupstwo. Postanowił jednak spróbować szczęścia. Wpoprzek wzgórza przed forteczką kazał postawić barykadę z belek, osiem stóp wysoką. Nazewnątrż od tej ba-

rykady, na oddalenie strzału karabinowego, kazał ściąć odwieczne drzewa; potem u każdego drzewa z osobna kazał przyostrzyć końce gałęzi i ułożyć drzewa tak, że te ostre końce na zewnątrz sterczały. I oto, po wesołej przejażdżce wzdłuż prześlicznego jeziora Jerzego na tysiącu łodzi wiosłowych, z muzyką i wiejącymi chorągwiemi, wyładowała armja angielska — bez armat, których Abercrombie przez niedbalstwo nie wziął z sobą, mimo że miał ich poddostatkiem. Lecz i tak jeszcze był panem położenia. Trzeba mu było tylko nieco cierpliwości oraz zdolności przystosowania się do niezwykłych warunków. Mógł chociażby oblegać forteczkę i wygłodzić Francuzów. Ale ten śpioch otyły nie zawiódł przeczucia Montcalma: zrobił głupstwo szalone. Lekceważąc prymitywny wał z drzew leśnych, kazał żołnierzom natychmiast szturmować, jak gdyby tego wału wcale nie było. I on, jak Brad-dock, chciał w puszczy walczyć tak, jak na równym polu. Nieszczęśliwi żołnierze angielscy wdzierali się pomiędzy śpiczaste gałęzie, które ich kłuły i raniły; z trudem nieskończonym, potykając się co chwila, starali się posunąć bliżej ku barykadzie. A tymczasem z wysokości tej barykady Francuzi wciąż strzelali. Cztery godziny trwał szturm, czyli raczej rzeź Anglików i Amerykanów, bezcelowo na śmierć skazanych przez własnego generała. Cofnęli się wreszcie, kiedy padło dwa tysiące ludzi. Wśród powszechnego przygnębienia, armja angielska wróciła do głównego obozu nad Hudsonem, podczas gdy Montcalm już bez pośpiechu zaciągał coraz nowe wojska z Kanady, aż miał w forteczce i koło niej dwanaście tysięcy ludzi; więc już aż do następnej wiosny mógł być spokojnym o los Tikonderogi.

Nie brakło generałowi Abercrombie zarzutów we własnym obozie. Porównywano jego zarozumiałą głupotę

z prostaczą dzielnością myśliwców z puszczy granicznych, na własną rękę prowadzących partyzantkę przeciwko Francuzom, i to z dobrym powodzeniem. Oficerowie domagali się tedy zwołania rady wojennej i zmusili generała do oddania trzech tysięcy Amerykanów pod samodzielną komendę wodza-Amerykanina. Bradstreet (czytaj Bradstrijt), tak się ten wódz nazywał, obrał sobie dalszy i śmielszy cel od angielskiego generała. Po tamtej stronie gór, tam gdzie z wielkiego jeziora Ontario wypływa majestatyczna rzeka św. Wawrzyńca, stała druga forteczka francuska, założona przez najświetniejszego z namiestników Kanady, owego hrabiego Frontenac (czytaj Frątenak), który Indianom w tańcu wojennym przewodził. Fort Frontenac, jak tę forteczkę na pamięć założyciela nazywano, był kluczem do krainy wielkich jezior, strażą na drodze ku rzekom Ohio i Mississippi; tu się gromadziły kosztowne futra, przez awanturnicznych kupców nabyte od Indian dalekiego zachodu; tedy prowadziła droga ku południowi, ku Luizjanie ciepłej i bujnej. Zniszczyć ten posterunek, to znaczyło prawie tyle, co zamknąć Francuzów w zimnej dolinie rzeki św. Wawrzyńca. Otóż Bradstreet przeszedł pomiędzy górami, tam gdzie od wschodu do zachodu przecina je głęboka dolina, wpadającej do Hudsonu, rzeki Mohawk; po przez kraj Irokiezów, przychylnie dla Anglii usposobionych, dotarł do jeziora Ontario, na rybackich łodziach się przeprawił i stanął przed Fort Frontenac. Nie spodziewano się tego najazdu; to też załoga była niewielka, tylko broni było dużo, a jeszcze więcej futer. Wkrótce Francuzi się poddali; zwycięscy Amerykanie zburzyli forteczkę, spalili okręty nieprzyjacielskie na jeziorze i wrócili skąd przyszli, biorąc z sobą jeńców, broń i futra.

Tak więc przeciwieństwo między sprawnością Amerykanów na amerykańskiej ziemi, a niedołęstwem Anglików na tejże ziemi stało się jeszcze bardziej jaskrawym. Tylko na najdalszej północy angielskie wojsko pod angielskim wodzem, przy współdziałaniu floty angielskiej, w tym samym roku odniosło poważne zwycięstwo: zdobyto nareszcie twierdzę nadmorską Louisbourg. Ale ta sztuka Amerykanom nie bardzo imponowała, bo przecież oni sami zdobyli tę samą twierdzę już w 1745 r. prawie bez pomocy ze strony Anglii, a przy zawarciu pokoju w 1748 r. król Jerzy II. odstąpił ją napowrót Francuzom wzamian za ustępstwa w innych częściach świata. Jeśli więc ponowne zdobycie Louisbourgu nie mogło stłumić niezadowolenia Amerykanów, to tym mniej mogło zwrócić ich uwagę na siebie poświęcenie innego generała angielskiego, Forbes'a, który, mimo że był ciężko chory, z wielką roztropnością zorganizował wyprawę poprzez góry pensylwańskie do Fort Duquesne. Kiedy bowiem Forbes, leżący na noszach i blizki już śmierci, dotarł do półwyspu nad Ohio, już tam ani forteczki, ani Francuzów nie było. Zwycięstwo milicji amerykańskiej nad jeziorem Ontario uniemożliwiło dowóz żywności i broni do tego odległego posterunku, więc Francuzi sami się wycofali, zostawiając Anglikom kupę zgliszcza.

Na wiosnę następną przeniesiono wojnę do Kanady właściwej. Tikonderogi Francuzi już nawet nie próbowali bronić. Montcalm wrócił do swojej stolicy Quebec (czytaj Kwebek) nad dolnym biegiem rzeki św. Wawrzyńca; było to wówczas niewielkie miasteczko warowne na wysokiej skale, z dwóch stron otoczonej wodą. Angielska armja, przybywszy od strony morza na okrętach wojennych, długo oblegała miasto; wreszcie oddział angiel-

ski, popłynąwszy z przypływem morskim het pod górę rzeki i przez to zmyliwszy strażę, znieuważając z odpływem zjechał w dół pod miasto i wąską ścieżką wtargnął na skałę. Na czele napastników stał młody generał Wolfe (czytaj Wulf). Na tyłach miasta rozegrała się bitwa. Padli obaj wodzowie: Montcalm i Wolfe, ale miasto zdobyli Anglicy. W rok później ostatnia placówka francuska w Kanadzie, Montreal, poddała się Anglikom, Jeszcze w trzy lata później, w 1763 r., zawarty został pokój między Anglią a Francją oraz Hiszpanją, która w ostatniej chwili próbowała przyjść Francji z pomocą — ku własnej szkodzi. Francja wyrzekła się Kanady i wszystkich krajów na wschód od Mississippi, Hiszpanja musiała Anglikom odstąpić Florydę. Pozostało Francji już tylko bagniste ujście Mississippi oraz pretensja do nieskolonizowanych ziem na zachód od tej wielkiej rzeki zachodu. Nie mając już co począć z temi szczątkami, król francuski odstąpił je swojemu kuzynowi hiszpańskiemu.

Tak się skończyło panowanie francuskie w Ameryce północnej. Znikło prawie bez śladu, mimo że sięgało od krainy wiecznych śniegów do krainy wiecznej zieleni. Los Francuzów kanadyjskich był zresztą stosunkowo łagodnym. Zdobywcy uszanowali religję katolicką, nie narzucali Francuzom swojego języka, ani nawet swojej księgi praw. Ale też z Kanady nie zrobili kolonji samorządnej na wzór Wirginji czy Massachusetts, tylko prowincję królewską, rządzoną z góry przez namiestnika, nadesłanego z Anglii, bez sejmu.

Na miejscu spalonego Fort Duquesne postawiono nową forteczkę, ale tym razem, na cześć angielskiego ministra, nazwano ją Pittsburg. Nazwa ta przetrwała do dziś dnia; ale dzisiaj już jej nie nosi samotna forteczka

wśród puszczy odwiecznych, tylko miasto fabryczne, tak wielkie, jak Łódź.

Na dalekim zaś południu, zdobyta na Hiszpanach, Floryda stała się, podobnie jak Kanada na północy, prowincją królewską bez samorządu.

ROZDZIAŁ VI.

1760 W tym samym roku, kiedy Montreal zdobyto, zmarł król Jerzy II, a tron odziedziczył wnuk jego Jerzy III, syn niemieckiej księżniczki i przez nią wychowany w zasadach absolutystycznych. Nadto miał niebezpieczne szczęście wstąpienia na tron w chwili, kiedy poddani jego zwyciężali na lądzie i na morzu i zdobywali mu nowe prowincje; był więc mocno przeświadczony o wszechpotęgde swojej. To też, całą siłą dążył do tego, aby z konstytucji i z parlamentu zrobić martwe pozory, poza którymi miała się rozpierać nieograniczona władza królewska. Na dłuższą metę nikt u niego nie mógł być w łasce, kto miał własne przekonania; to też, im częściej Jerzy III zmieniał ministrów, tym bardziej w ministerjum przeważali sługusi i lizunie, gotowi zgubić kraj i naród dla kaprysu królewskiego. Podobnemi ludźmi król obsadzał i wszelkie inne wysokie urzędy; a osobiście kierując fałszowaniem wyborów, tych samych ludzi i do Izby posłów wprowadzał. Ta zgraja sprzedajnych marnotrawców i rozpustników, zwana „przyjaciółmi króla“, tłumiała wszelką opozycję w parlamencie i trzęsła całą Anglią.

Taki system rządów podwójnie groźnym czynił niebezpieczeństwo, które dla wolnych kolonji amerykańskich wynikało ze zwycięskiej wojny i nowych zaborów angielskich. A niebezpieczeństwo to, samo w sobie, było niemałe. Z trzech stron samorządne kolonje otoczone były, wpraw-

dzie już nie posiadłościami obcych państw, ale zato bezpośrednio posiadłościami króla Jerzego III. Dawniej król, bądź co bądź, musiał dbać o to, żeby Amerykanie woleli być pod jego zwierzchnictwem, aniżeli pod rządami Francji; teraz, po wyparciu Francuzów, król angielski był, jak gdyby sam na sam ze swemi poddanymi, nie miał więc już pogo pieścić się z niemi. Przeciwnie, dla króla o absolutystycznych skłonnościach w nowym położeniu tkwiła pokusa, aby znieść samorząd kolonji i w Nowej Anglii i Nowym Jorku, w Pensylwanji i Wirginji rządzić tak, jak rządził w Kanadzie. A to tymbardziej, że podczas wojny generałowie angielscy zarozumiałością i butą budzili niechęć Amerykanów ku sobie, a potem skarżyli się rządowi na ich krnąbrność. Nadto Jerzy III, jako podpórę władzy swojej, cenił rządowy kościół anglikański, więc tymbardziej niechętnie patrzył na Amerykę, gdzie wyznawcy tego kościoła byli w mniejszości, a większość mieszkańców skłaniała się ku sektom, podejrzanym o republikanizm. To też, już podczas wojny siedmioletniej Jerzy III i jego dworzanie knuli plany poskromienia kolonji, ukrócenia ich swobód, doprowadzenia ich do posłuszeństwa i uległości wobec króla i zastępców jego; a najgorliwsi marzyli także o narzuceniu Ameryce rządowych biskupów i o stłumieniu herezji, za jaką w niektórych kołach wciąż jeszcze poczytywano wszelkie wyznania, oprócz anglikańskiego. Ale wszystkie te plany ukrywano, póki armje francuskie jeszcze groźne stały w polu; natomiast po ostatecznym zwycięstwie Anglii, po zaborze Kanady, Luizjany i Florydy odrazu uczuli Amerykanie, że teraz rząd centralny i wobec nich staje się zaborczym. Okazało się to przedewszystkim w ponownym zaostreniu ustaw handlowych i stosowaniu ich. Nowa praktyka przedewszystkim dla Nowej Anglii była groźną. Zakazano bowiem do-

wozu cukru z Martyniki, Gwadalupy i innych niewielkich, ale właśnie, dzięki uprawie trzciny cukrowej, nadzwyczaj bogatych wysp środkowo-amerykańskich, należących do Francji. A właśnie te bogate wyspy były głównym rynkiem dla ryb morskich, łowionych przez mieszkańców Nowej Anglii; ponieważ zaś specjalna ustawa francuska przepisywała, że jako zapłatę za towary, dowożone do owych wysp, zamiast gotówki, przyjmować należało cukier; więc zakaz dowożenia tego cukru do Ameryki północnej równoznacznym był z upadkiem rybołówstwa w Nowej Anglii. A ta zgubna ustawa tym razem nie była martwą literą; na morzu krążyła cała flota królewskich okrętów celnych, mających tropić przemytników i konfiskować im towar, a na lądzie celnicy królewscy byli upoważnieni do urządzania rewizji w każdym domu prywatnym. Rozgoryczenie było straszne. Ale kroplą, która przepelniła miarę, była ustawa, w 1765 r. przez rząd centralny przedłożona parlamentowi w Londynie i uchwalona przezeń, według której odtąd w Ameryce wszelkie dokumenty cywilne, od weksłów do certyfikatów ślubnych, miały podlegać stemplowi; stemple zaś sprzedawać mieli urzędnicy, nie wybrani przez lud, tylko mianowani przez króla, a dochodami ze stemplów miał rozporządzać rząd królewski, bez kontroli sejmów amerykańskich.

Wolnym Amerykanom, nieprzywykłym do wtrącania się biurokracji do codziennego ich życia, przymus stemplowania wszelkich dokumentów wydawał się niesłychanym gwałtem. Nadto, dobrze rozumiejąc, że przymus stemplowy jest podatkiem, chociaż pośrednim, zasadniczo uważali za bezprawie nakładanie na nich podatku przez londyński parlament, w którym nie mieli swoich przedstawicieli. Że zaś dochody ze stempli nie miały być wysyłanymi do Anglii, tylko pozostać na miejscu i być uży-

temi do opłaty urzędników, pełniących służbę w Ameryce, to w oczach Amerykanów tylko pogarszało sprawę; w ten sposób bowiem ci urzędnicy stawali się niezależni od sejmów amerykańskich, podczas gdy dotąd sejmy ich krótko trzymały, zamiast stałej pensji, przyznając im tylko corocznie wznawiane „podarunki“, których, w razie potrzeby, i odmawiać można było. A w niezależności urzędników od miejscowego przedstawicielstwa ludowego upatrywano początek despotyzmu.

Ameryka wrzała i kipiała. Pod koniec marca król podpisał ustawę stemplową; w maju ogłoszono ją w Ameryce, a już 6 czerwca sejm kolonji Massachusetts odpowiedział krokiem całkiem nadzwyczajnym — okólnikiem, wzywającym sejmy wszystkich kolonji do obesłania kongresu wszechamerykańskiego, mającego się zjechać w październiku do Nowego Jorku. Ale ludność miast nadmorskich była zbyt wzburzoną, aby spokojnie czekać, co ten kongres uradzi. W sierpniu w Bostonie wybuchły rozruchy uliczne. Tłum wtargnął do gmachu, tak zwanego, sądu wiceadmiralskiego, któremu powierzone było zatwierdzanie konfiskat przemyconych towarów, i zniszczył akta tego sądu. Dom głównego celnika spustoszone; zburzone dom jednego z wyższych sędziów, który trzymał stronę królewską, a on sam zaledwie uszedł pięściom napastników. W innych miastach portowych aż po Filadelfję odegrały się podobne sceny. A kiedy kongres się zjechał, stanowczo i mężnie przeciwko wszelkiemu uszczuplaniu swobód kolonji zaprotestował w czterech dokumentach publicznych: w „deklaracji praw i krzywd“, w adresie do króla, w memorjale do angielskiej Izby Panów i w petycji do Izby Posłów. Nie czekając na skutki tego protestu, kupcy miast portowych czynem zaprotestowali: zobowiązali się między sobą zaniechać na cały czas zatargu sprowadzania i kupo-

wania angielskich towarów, oraz zawiesić wypłatę długów, zaciągniętych u kupców angielskich. Jednocześnie, aby angielskie towary na przyszłość uczynić zbytecznymi, gorączkowo się zakrzętnięto koło rozwoju przemysłu krajowego. Wyrób krajowego obuwia, sukna itd. doszedł w ciągu roku, naprzekór zakazom, do niebywałych przedtym rozmiarów.

Sprężysta samoobrona Amerykanów poskutkowała. Wystraszeni kupcy londyńscy błagali parlament o zniesienie ustawy o stemplach. Parlament zaczął sprawy amerykańskie traktować poważnie; Izba posłów na rzeczoznawcę w tych sprawach powołała starego Benjamina Franklina. Nie trzeba go było daleko szukać, bo wtedy właśnie ze zlecenia sejmu pensylwańskiego bawił w Londynie, celem załatwienia pewnych spraw krajowych z rządem. Posłowie pilnie słuchali wyjaśnień, które ten mądry i zacny Amerykanin dawał o ojczyźnie swojej, stanowczo broniąc prawa kolonji amerykańskich do całkowitego samorządu we wszystkich sprawach wewnętrznych, zarazem jednak zaznaczając, że o niepodległości nie myśli w Ameryce nikt, „czy pijany, czy trzeźwy“. Wywody Franklina przyśpieszyły pomyślny obrót; parlament odwołał ustawę o stemplach, a dnia 18 marca 1766 r. król podpisał tę uchwałę. Radość w Ameryce była powszechna; miłość Amerykanów dla króla Jerzego zdawała się być gorętszą, niż kiedykolwiek.

Ale djabeł nie spał. Król, przepędziwszy ministrów, którzy zachęcali parlament do powzięcia owej rozumnej uchwały, na nowo rozpoczął swoją politykę, dążącą do upokorzenia i zgnębienia Ameryki. Wynikiem jego starań było, że w 1767 r. doszedł do skutku cały zbiór nowych ustaw, przeciwko Ameryce wymierzonych. Było tam przewidziane i możliwie ostre stosowanie przepisów, krępują-

cych handel i przemysł, i dokonywanie masowych rewizji po sklepach, składach i domach prywatnych; nadto miały być odtąd pobierane cła od szeregu przedmiotów codziennego użytku, z Anglii lub przez Anglję do Ameryki dowożonych, jak szkło, farby, papier oraz herbata. Naturalnie, dochody z tych ciał znowu miał zagarniać i wydawać rząd królewski, bez żadnej kontroli ze strony sejmów amerykańskich; znowu więc urzędnicy mieli otrzymywać pensje prosto od króla, bez względu na to, czy sejm był zadowolony z ich usług, czy nie.

Było to straszliwe rozczerowanie. Ale przywódcy Amerykanów nie pragnęli wznowienia gwałtownych rozruchów ulicznych; usiłowali jak najdłużej wytrwać na drodze legalności, informując Anglików o prawdziwym stanie rzeczy i odwołując się do ich dobrych chęci. Wtedy to bogaty kwakier pensylwański, Jan Dickinson (czytaj Dikinzon), człowiek szczerze i głęboko przywiązany do Anglii, przeciwko nowym ustawom napisał sławne „Listy rolnika“, które, staraniem Franklina, wydrukowane w Londynie oraz przełożone na francuski, szeroko czytane były nietylko w Anglii, ale i we Francji. We Francji bowiem, chociaż tam rządy wciąż jeszcze były absolutystyczne, opinia publiczna, po części dzięki upokorzeniu państwa przez wojnę siedmioletnią, coraz bardziej się przechylała na stronę wolnomyślną i demokratyczną. Lecz Amerykanie nie poprzestali na opozycji literackiej. W początkach 1768 roku sejm kolonji Massachusetts ponownie uchwalił trzy dokumenty protestu: po pierwsze list do swojego przedstawiciela w Londynie, który tenże miał przedłożyć ministrom, po drugie petycję do króla, po trzecie okólnik do wszystkich kolonji. W tych trzech dokumentach sejm raz jeszcze uroczyście oświadczał swoją wierność dla króla Anglii, odżegnując się nawet od „najodleglejszych marzeń o niepod-

ległości“; ale jednocześnie, przypominając, jak często Amerykanie krew swoją przelewali za całość imperjum angielskiego, wyliczając swobody, nadane im przez królów, i rękojmie tych swobód, sejm stwierdzał, że obecne krzywdy przekraczają miarę cierpliwości ludzkiej; bratnie kolonje zaś wzywał do czynnej pomocy.

Tymczasem szykany rządowe trwały dalej, urzędnicy celni stali się tyranami, a tłum w portowej dzielnicy Bostonu zaczął na gwałt odpowiadać gwałtem. Kiedy okręt, należący do jednego z najbardziej poważanych kupców w mieście, skonfiskowano za rzekome niedopłacenie cła, tłum spalił łódź celną i obił celników. Nikt nie ośmielił się karać tych wykroczeń.

A kiedy od ministra angielskiego nadszedł list do sejmu, domagający się odwołania okólnika do kolonji, nastąpiła pamiętna dyskusja, w toku której jeden z posłów wielbił królobójcę Cromwella; żądanie ministra odrzucono 92 głosami przeciwko 17, a cała ludność przyklaskiwała tej uchwale.

Rząd ze swej strony nie zaniechał złowrogich zamiarów. W ciągu sierpnia i września zgromadził w Bostonie aż cztery pułki wojska, po części prosto z Europy nasłanego; tak więc, ponieważ ludność cywilna Bostonu wynosiła siedmnaście tysięcy dusz, a zatym liczba dorosłych mężczyzn niewiele ponad 3000, na każdego dorosłego mieszczanina przypadał co najmniej jeden żołnierz — jak na angielskie zwyczaje, rzecz w czasie pokoju wprost niesłychana. Wojsku temu polecono żądać od mieszczan darmowego kwaterunku, jak podczas wojny. Ale rada miejska stała twardo przy literze ustawy, wedle której wojsko do kwaterunku w prywatnych mieszkaniach wtedy dopiero miało prawo, kiedy koszary były pełne. Otóż w mieście wogóle koszar nie było, ale były koszary za miastem; do

nich więc rada miejska odsyłała żołnierzy. A tymczasem rozkaz królewski brzmiał wyraźnie, że wojsko ma się rozłożyć w samym mieście, aby doprowadzić mieszczan do pokory. Żołnierze i oficerowie znaleźli się więc bez dachu nad głową; ustąpili wkońcu, prosząc mieszczan, aby im dobrowolnie wynajęli prywatne domy za dobre pieniądze. Na to się mieszczenie zgodzili; niemniej jednak nie taili swojej nienawiści do narzuconej im załogi.

Tymczasem namiestnik królewski, oburzony nieposłuszeństwem sejmu kolonji Massachusetts wobec życzeń rządowych, rozwiązał sejm. Ale posłowie, zamiast się rozjechać, w dalszym ciągu odbywali posiedzenia. Ten nielegalny sejm wezwał wszystkich mieszkańców kraju, żeby się zaopatrzyli w karabiny. A podobny duch oporu zaczęła ożywiać i inne kolonje. Kiedy do Massachusetts nadszedł list ministra królewskiego z groźbą, że nieposłusznych posłów tej kolonji każe aresztować i przewieźć do Londynu, aby im tam proces o zdradę stanu wytoczyć, to przeciwko tej groźbie, krzywdzącej bratnią kolonję, ostro zaprotestował sejm wirgiński. Skutkiem tego i sejm wirgiński rozwiązano. Ale i ten sejm, do członków którego należał Jerzy Washington, nie rozjechał się, tylko odbywał dalsze posiedzenia w karczmie „pod Walterem Raleigh“, gdzie uchwalił wezwać ogół Wirgińczyków do ponownego bojkotowania towarów angielskich. Przykład ten podziałał zaraźliwie; w marcu 1770 r. przedstawiciele wszystkich kolonji po drugi raz uchwalili powszechny bojkot angielskiego przemysłu i handlu.

Tymczasem w Bostonie ustawicznie trwały niesnaski między załogą a mieszczaństwem. Wyniosła pogarda oficerów dla każdego, kto nie nosił munduru, coraz bardziej mieszczan rozgoryczała. Doszło wkońcu do bójek. Dnia 5 marca 1770 r., późno wieczorem, garstka żołnierzy, na-

padnięta przez gromadę krewkich mieszczan, uzbrojonych w kije, dała ognia i trupem położyła trzech napastników, a raniła ośmiu, z których później jeszcze dwóch umarło. Odrazu starszyzna miasta kazała dzwonić na alarm; przez całą noc dzwony jęczały, bębny dudniły, a woźni nieustannie wołali: „Kto z miasta rodem, na ulicę! na ulicę!“ I wybiegli mieszczanie na ulicę z karabinami i pozostali na ulicy, aż póki wystraszony generał kazał żołnierzom wrócić do koszar, a mieszczanom pozwolił kapitana, obwinionego o rozkaz strzelania do ludu, zamknąć do miejskiego więzienia. Nazajutrz rada miejska zwołała powszechny wiec mieszczan. Wiec trwał aż do zachodu słońca, a w ciągu dnia włościanie okoliczni, również uzbrojeni, przybywali tysiącami, mile witani przez braci z miasta, jako szermierze wspólnej sprawy. Im więcej się mnożyło tych posilków wiejskich, tym bardziej skromniał i generał, i namiestnik. Wieczorem ci dygnitarze uroczyście przyrzekli, że wszystkie cztery pułki wycofają i przeniosą do twierdzy, położonej na wysepce w morzu, o cztery wiorsty od miasta. Tak się stolica Nowej Anglii pozbyła wojska, które ją zgnębić miało.

Proces, wytoczony owemu kapitanowi i jego żołnierzom, prowadzono nadzwyczaj bezstronnie. Obronę kapitana objął adwokat Jan Adams (czytaj Ejdemz), jeden z najbardziej wpływowych członków sejmu i płomienny patrijota amerykański. Istotnie, stwierdzono wkońcu, że żołnierze strzelili w samoobronie, a kapitan nic przytym nie zawinił. To też mieszczanie bostońscy, powołani na sędziów przysięgłych, kapitana uwolnili, a z żołnierzy dwóch tylko skazali, a i tych nie za rozmyślne morderstwo, tylko za proste zabójstwo. Ale proces ten włókł się przez rok cały; a tymczasem natychmiast po owej nocy marcowej wieść o „rzezi bostońskiej“ szerzyła się po całej

Ameryce, jak pożar, w którym spłonęło dawne przywiązanie Amerykanów do monarchji angielskiej. Czego nie dokonały żadne szykany, krępujące handel, żadne krzywdy, tłumiące rozwój przemysłu, tego dokonała ta krew, przelana na ulicach Bostonu. Królewskie wojsko zabija naszych — czyż więc mamy króla? Tak myśleli Amerykanie, i pod wpływem tej myśli organizowali samoobronę.

Od tej chwili jasnym było, że, jeżeli rząd angielski pragnie przywrócić zgodę, to pozostaje mu już tylko jedna droga: całkowite i bezwarunkowe cofnięcie krzywdzących ustaw z 1767 r. i wyrzeczenie się raz na zawsze wszelkich zamachów na swobody kolonji. Jeśli zaś rząd pragnął uszczuplić te swobody, to jakkolwiek przebiegłby się rząd brał do rzeczy, nie mógł już liczyć na uległość, ani na bierność nawet; mógł tylko ogłosić Amerykę za wrogi kraj i zawojować ją na nowo, wysławszy już nie dwa ani cztery pułki, ale odrazu dwadzieścia pułków. Tymczasem stało się coś trzeciego. Rząd cofnął się, ale połowicznie. Ukazał słabość swoją, a jednocześnie jątrzył uporem.

Tego samego dnia, kiedy w Bostonie krew się łała, parlament w Londynie obradował nad petycją kupców angielskich, którzy znowu, jak przed czterema laty, narzekali na szkodę, wyrządzoną im przez bojkot, i błagali o cofnięcie ustaw, drażniących Amerykanów. Wtedy rząd oświadczył, że zgadza się na częściowe cofnięcie, ale nie na całkowite; albowiem Amerykanie zanadto okazali zuchwałości, więc dla podtrzymania powagi królewskiej należało zachować choć jedno cło, na oznakę, że król się nie wyrzeka zasadniczego prawa nakładania ceł i podatków i na amerykańskich poddanych swoich. Po kilku tygodniach parlament uchwalił w myśl tych życzeń. Cofnięto cła, pobierane dotąd w portach amerykańskich od angielskiego pa-

pieru, angielskiego szkła i t. d.; ale zachowano cło na herbatę.

Wynik był taki, jaki przewidzieć było można. Amerykanie zaczęli znów sprowadzać z Anglii szkło, papier i inne towary, zwolnione od cła; ale herbatę w dalszym ciągu niemilośnie bojkotowali — nie ze skąpstwa, tylko z zasady, aby nie dostarczać skarbowi królewskiemu żadnych dochodów, niezależnych od uchwał sejmowych. A trzeba wiedzieć, że była to dla Amerykanów bardzo ciężka ofiara, bo uprawa herbaty była onemi czasy całkiem nieznaną w Ameryce, a jednak Amerykanie pili ogromnie dużo herbaty, nie mniej od Rosjan dzisiejszych. Dla osadników z puszczy zachodnich paczka herbaty była wprost nieocenioną, bądź to na wyprawach myśliwskich czy kupieckich, bądź to podczas uciążliwych wędrówek od jednej osady do drugiej, o kilkadziesiąt wiorst oddalonej; mieszkańcy gęściej zaludnionych okolic znowu lubili obchodzić wesela, chrzciny, pogrzeby w bardzo licznym towarzystwie, a ponieważ trzeźwe obyczaje purytańskie nie sprzyjały hojnemu szafowaniu winem czy piwem, więc i przy takich sposobnościach herbata lała się strumieniami. Ale wzdłuż wybrzeża morskiego nie brakło przemytników zręcznych i śmiałych; więc radzono sobie, nabywając pokryjomu herbatę od kupców francuskich, duńskich, szwedzkich, holenderskich, byle nie angielskich. A kiedy brakło przemyconej herbaty, to Amerykanie woleli pić gorzkawy odwar z różnych ziółek krajowych, byle tylko ani groszem nie zasilać absolutyzmu.

A jak ze strony amerykańskiej nie ustała nieufność, tak z angielskiej strony nie ustały swawolne szykany i bezprawia. Komendę nad flotą królewską, krążącą na morzu wzdłuż wybrzeża amerykańskiego, celem zwalczania przemytnictwa, powierzono admirałowi Montagu, za-

ciekłemu zwolennikowi absolutyzmu. Był to krótki a gruby stary pan, który od rana do wieczora głośno kłął na wrogów króla, na buntowników i zdrajców. Nie pozostało to bez wpływu na młodszych oficerów floty, z których niektórzy istotnie zaczęli traktować Amerykanów, jako buntowników. Tak czynił, mianowicie, porucznik, komenderujący okrętem „Gaspee“ (czytaj Gaspi), krążącym koło wybrzeży kolonii Rhode Island. Jak na wojnie w zdobytym kraju, bez ceregieli drzewa, sadzone przez mieszkańców, ścinał na opał, a owce wełnodajne zabierał i zarzynał na prowiant dla załogi; a kiedy włościanie i rybacy na łodziach jechali do miasta na targ, porucznik kazał strzelać do tych łodzi. Mieszkańcy zwrócili się do admirała o naprawę tych nieznośnych stosunków; admirał w grubjański sposób odmówił. Wtedy zrozpaczeni mieszkańcy wsiedli na własne okręty, napadli na „Gaspee“, kazali załodze wyjść na ląd, a okręt spalili. To się stało dnia 9 czerwca 1772 r.—czyli, nawiasem mówiąc, w tym samym roku, w którym dokonany został pierwszy rozbiór Polski. Oczywiście, że wszyscy urzędnicy królewscy w Ameryce byli straszliwie oburzeni; niedługo, a z Londynu nadszedł rozkaz prosto od króla do władz miejscowych kolonii Rhode Island, aby winowajców pojmano i wysłano do Anglii, gdzie ich miano sądzić za zdradę stanu i powiesić. Ale główny sędzia odmówił wydania oskarżonych, a rząd angielski zląkł się i cofnął.

Mieli więc Amerykanie nowy dowód słabości rządu; a w rok później otrzymali nowy dowód jego złych zamiarów. Onemi czasy w Anglii nietykalność listów prywatnych zgoła nie istniała. Listy do osób, należących lub zaliczanych do stronnictw wrogich rządowi, regularnie odsyłano do jeneralnego pocztmistrza, który je kazał otwierać i czytać, a najciekawsze odsyłał królowi; ten zaś siedział nad

niemi bodaj parę godzin dziennie. Nawet staremu Franklinowi płacono podobne figle, mimo, że mógł się spodziewać pewnych względów, i jako człowiek sławny na całą Europę, i jako urzędowy przedstawiciel londyński trzech kolonji: Pensylwanji, Gieorgji oraz Massachusets. Mimo to, na poczcie nietylko otwierano i czytano listy, pisane do niego przez własną siostrę, ale nawet mu ich nie doręczano. Więc też i Franklin nie poczuwał się do obowiązku uszanowania listów, przez królewskich urzędników pisanych. Otóż, udało mu się wykraść cały stos listów, złożonych w ministerstwie, a pisanych przez namiestnika, wice-namiestnika i kilku wyższych urzędników kolonji Massachusets na adres jednego z powierników rządowych w Londynie. Z listów tych, czyli właściwie poufnych raportów, dowiedział się Franklin, że ci dygnitarze, mimo, że Amerykanie z urodzenia, ustawicznie szczuli rząd angielski przeciw swoim rodakom; a dalej, że rząd planowo dążył do zniweczenia wszelkich swobód kolonji i w tym właśnie celu wysłał do Bostonu owe cztery pułki wojska. Franklin uważał za swój obowiązek udzielić te listy tym, którym służył; przesłał je więc, naturalnie nie pocztą, tylko prywatną drogą, prezydentowi sejmku krajowego w Bostonie, jako dokumenty poufne. Ale treść tych listów była tak wstrząsająca, że ci, którzy je czytali, nie dochowali tajemnicy. Wkrótce sejm zażądał odczytania złowrogich listów na pełnym posiedzeniu; a kiedy to uczyniono, niedługo treść ich znał cały kraj. Odtąd już wszyscy wiedzieli, co im grozi; kto nie był zaprzańcem, gotował się do walki.

I znowu rząd dopełnił miary drażniącą połowicznością. Sądząc całkiem niesłusznie, że Amerykanom chodzi głównie o tanią herbatę, postanowił obniżyć dla nich cenę herbaty, ale tak, żeby jednak skarb królewski miał z niej

dochód. Urządzono się w sposób następujący. Głównym dostawcą herbaty, tak dla Anglii, jak dla Ameryki, było owo uprzywilejowane towarzystwo handlowo-kolonizacyjne, któremu onemi czasy powierzona była administracja posiadłości angielskich w Indjach wschodnich. Wedle dotychczasowej ustawy „Towarzystwo wschodnio-indyjskie“ nie miało prawa dowożenia herbaty bezpośrednio z Indji do Ameryki; musiało ją najprzód przysłać do Anglii i tam zapłacić za nią, tak samo, jak za herbatę istotnie dla angielskich spożywców przeznaczoną, cło, wynoszące jedną dwudziestą ceny; potym dopiero tę ocloną herbatę wolno było wywieźć do Ameryki, gdzie w porcie, w chwili wyładowania, trzeba było za nią zapłacić dodatkowe cło, wynoszące jedną ośmdziesiątą ceny. To właśnie niewielkie cło dodatkowe, przeznaczone na pensje dla urzędników, było przyczyną bojkotu, który dla Towarzystwa wschodnio-indyjskiego, i tak brnącego w kłopotach, był wprost groźną klęską. Otóż rząd przedłożył parlamentowi ustawę, upoważniającą Towarzystwo wschodnio-indyjskie do wysyłania herbaty z Indji prosto do Ameryki, bez opłaty angielskiego cła, a tylko za opłatą amerykańskiego cła w chwili wyładowania w amerykańskim porcie. Odtąd więc amerykańscy spożywcy mieli kupować herbatę o trzy ośmdziesiąte taniej, niż spożywcy angielscy; a jednak skarb królewski miał pobierać cło od herbaty w amerykańskich portach. W ten sposób chciano ulżyć Towarzystwu wschodnio-indyjskiemu, a jednocześnie zadowolić i obrażoną dumę króla i rzekome skąpstwo Amerykanów. Konserwatywna większość parlamentu gładko uchwaliła projekt rządowy. Na specjalne życzenie króla, Towarzystwo wschodnio-indyjskie wysłało okręty, naładowane herbatą, do czterech głównych portów Ameryki: do Bostonu, do No-

wego Jorku, do Filadelfji oraz do Charleston (czytaj Czarlston) w Karolinie południowej.

I oto ku zdumieniu króla i otaczających go książąt i hrabiów, okazało się, że amerykańskim mieszkańcom i chłopom nie tyle o pieniądzu chodziło, ile o wolność. Na samą wieść, że herbata jest w drodze, zawrzało w Ameryce, jak w ulu. Więc jednak, po tylu walkach, miał powstać w Ameryce fundusz do opłacania urzędników, niezależny od sejmów krajowych! Zwoływano wiece miejskie i gminne, wznawiano zobowiązanie się do bojkotu, oświadczano, że wpuszczenie do kraju herbaty, oclonej przez królewskich celników, byłoby równoznacznym z wpuszczeniem despotyzmu do wolnej Ameryki, a zatem ze zdradą narodową. Grożono, że zdrajców dosięgnie zemsta ludu. Kaznodzieje z ambon piorunowali przeciwko „ohydnemu chwastowi, zwanemu herbatą“. Dla ułatwienia kontroli bojkotu, wyrzekli się Amerykanie na czas trwania zatargu nie tylko angielskiej herbaty, lecz wszelkiej herbaty wogóle. Przedewszystkim zaś starano się wywrzeć nacisk na z góry wyznaczonych odbiorców hurtownych herbaty, będącej tymczasem jeszcze na morzu. Albowiem, zgodnie z przepisami celnymi, Towarzystwo wschodnio-indyjskie listownie wymieniło urzędowi celnemu każdego z miast portowych po kilku obywateli odnośnego miasta, jako odbiorców, którym, po zapłaceniu cła, należało dostawić towar. Jeśliby ci odbiorcy odmówili przyjęcia ładunku, to, wedle przepisów, nie mogli celnicy dopuścić do jego wylądowania. Starano się więc nakłonić odbiorców, żeby odmówili przyjęcia herbaty. W Bostonie kilka z rządu wieców miejskich publicznie wzywało odbiorców do tego aktu patryjotyzmu. Byliby się szybko zgodzili, gdyby im chodziło było o czysto kupiecki interes; bo przecież w takim razie herbata stała się dla nich bezwartościową, kiedy nikt nie chciał, czy nie

śmiał jej kupować. Ale tak nie było; odbiorcami byli poważnie gorliwi stronnicy króla, którym chodziło o polityczną demonstrację. Jednym z nich był syn namiestnika. To też się uparli aż do ostatka. Jeden tylko był między nimi kwakier, pragnący żyć w pokoju z obiema stronami; ten w ostatniej chwili, kiedy już trzy duże okręty, pełne herbaty, stały w porcie, podjął się prosić namiestnika, żeby nakazał okrętom odjechać, nie wyładowawszy herbaty i nie zapłaciwszy cła. Ale namiestnik, mimo zimowej pory, wyjechał na wieś; widocznie, pragnął być zdala od tłumu wzburzonego. Biedny kwakier, w mroźny dzień grudniowy, poprzez śnieg i wichur, co tchu pojechał go szukać. Ale wrócił z kwitkiem: namiestnik odmówił. Kiedy kwakier tę wiadomość ogłosił na wiecu miejskim, wiec natychmiast rozszedł się w milczeniu. W kilka minut potym rozległ się groźny krzyk, jak gdyby gromada Indian wojowniczych zoczyła wroga. Pięćdziesięciu mieszczan w przebraniu indjańskim wtargnęło na okręty; spokojnie i poważnie otwierali skrzynie, aby się przekonać o zawartości ich, i wszystkie skrzynie z herbatą wrzucili do morza.

Stało się to dnia 16 grudnia 1773 roku.

Podobnie i w trzech innych portach zamiar króla spełzył na niczym. W Charleston herbatę tymczasowo, aż do zgłoszenia się odbiorców, umieszczono w wilgotnej piwnicy, tuż przy porcie; odbiorcy się nie zgłosili, a herbata zepsuła się doszczętnie. W Filadelfji odbiorcy odrazu stanowczo odmówili przyjęcia. Okręty, wysłane do Nowego Jorku, na razie nie dotarły do miejsca przeznaczenia, bo burza je odegnała od wybrzeża; mimo to, mieszczanie tygodniami całemi czuwali wzdłuż brzegu, aby, broń Boże, w jakimś zakątku ukradkiem nie wyładowano herbaty.

Tak więc, do królewskiej pułapki nikt nie wpadł, oprócz samego króla.

Ale król trząsał parlamentem, a parlament trząsał Anglią. To też gniew królewski odrazu znalazł wyraz w całym szeregu nowych ustaw wyjątkowych, w marcu i kwietniu przedłożonych parlamentowi i, mimo wymownych ostrzeżeń najwybitniejszych posłów liberalnych, dużą większością prazeń przyjętych. Pierwsza z tych ustaw nakazała zupełne zamknięcie portu bostońskiego dla okrętów wszelkiego rodzaju; urząd celny, do którego obce okręty zawitać musiały, aby otrzymać pozwolenie do wyładowania towarów, przeniesiono z Bostonu do miasteczka Salem (czytaj Sejlem), o dwadzieścia kilka wiorst dalej na północ. Do Salem również przeniesiono siedzibę władz królewskich i sejmu. Druga ustawa za jednym zamachem zdruzgotała samorząd kolonji Massachusetts. Król miał odtąd mianować nietylko namiestnika, ale i wszystkich członków Izby Wyższej; sądy miały się stać pod każdym względem zależne od władzy królewskiej; a wieców miejskich i gminnych odtąd nie wolno było odbywać bez specjalnego pozwolenia od namiestnika. Trzecia ustawa opiewała, że sądy w Massachusetts odtąd nie miały prawa skazać królewskiego urzędnika, albo oficera czy żołnierza za morderstwo; jeśli wniesiono takie oskarżenie, to sprawa miała być osądzoną przez sąd królewski w Londynie. Czwarta ustawa, również skierowana wyłącznie przeciw szczególnie znienawidzonej przez króla kolonji Massachusetts, w granicach tej kolonji nadawała wojsku prawo do przymusowego kwaterunku w prywatnych domach, bez względu na to, czy koszary były pełne, czy nie. Była to zemsta dzika i straszna. Miasto Boston, które żyło z handlu morskiego, miało być ukarane głodem, a kraj, od półtora stulecia przywykły do swobody, miał być wydany na łup krwawego bezprawia. Nadto w jednocześnie przyjętej ustawie, regulującej stosunki prawne w Kanadzie, umieszczono pa-

ragraf, przesuający granicę tej prowincji ku południowozachodowi aż po rzeki Ohio i Missisipi. W ten sposób ogromną krainę lasów i łąk naturalnych, o klimacie zdrowym a urodzajnym, krainę krwią amerykańską na Francuzach zdobytą, a z wyjątkiem nielicznych osad indiańskich niezaludnioną, jednym pociągnięciem pióra zamknięto dla osadnictwa amerykańskiego.

Wkrótce po tych uchwałach, Franklin opuścił Londyn. Nie miał tam już co robić; widocznym było, że przedstawiciel kolonji nie ma już nic do powiedzenia królowi, który stał się jawnym wrogiem kolonji. Franklin wrócił więc do Filadelfji.)

Prawie jednocześnie inny jeszcze człowiek opuścił posterunek, na którym stał się zbyt cennym; odbył jednak podróż w przeciwnym kierunku. Był to namiestnik kolonji Massachusetts. Opuścił na zawsze Amerykę, swój kraj rodzinny, i wyniósł się do Londynu. Na jego miejsce król nie zamianował już żadnego cywilnego namiestnika, tylko władzę namiestniczą w Massachusetts nadał komendantowi załogi bostońskiej, generałowi Gage (czytaj Gejdz), zaciekłemu wrogowi Amerykanów. Tegoż generała król jednocześnie zrobił głównodowodzącym wojsk królewskich we wszystkich trzynastu kolonjach.

Jenerał Gage odrazu z całym okrucieństwem wprowadził w życie nowe ustawy karne. Zamknięcie portu bostońskiego przeprowadzono tak bezwzględnie, że nawet pomiędzy poszczególnymi dzielnicami miasta zabroniono krążyć łodziom; tymbardziej nie pozwalano okrętom z jakiegokolwiek innego portu zawinąć do Bostonu, ani bostońskim okrętom wyjechać gdziekolwiek. Większość mieszkańców odrazu straciła wszelki zarobek. Głód zazierał do okien. A wojsko, usunięte cztery lata temu, wróciło do miasta i rozłożyło się na pastwisku miejskim.

Sejm tymczasem zwołany został do Salem; a ponieważ zaczął protestować przeciwko ustawom wyjątkowym, więc po kilku dniach Gage nadesłał swojego sekretarza, aby odczytał posłom dekret rozwiązania sejmu. Ale wtenczas poseł Samuel Adams, daleki krewny Jana Adamsa i nie mniej od niego nieprzejednany obrońca swobód Ameryki, zamknął salę obrad na klucz, aby nie wpuścić sekretarza, a tym samym nie dopuścić do prawomocnego rozwiązania sejmu; pozbywszy się intruza, który daremnie czytał swój dekret na głos w sieni przed zamkniętymi drzwiami, sejm pod przywództwem Samuela Adamsa powziął szereg uchwał, których ani nie myślał przedłożyć generałowi-namiestnikowi do zatwierdzenia. A mianowicie uchwalono zwrócić się do wszystkich innych kolonji o pomoc, oraz wezwać je do obesłania kongresu ogólno-amerykańskiego. Na miejscu zaś w Massachusetts cichaczem organizowano milicję.

W Bostonie już od dłuższego czasu istniał „komitet zawiadamiający“, który, acz nieuznany przez władze królewskie i zgoła nieporozumiewający się z nimi, faktycznie rządził miastem i imieniem miasta dawał znać okolicznym gminom, jak stoją sprawy w Bostonie i co w obronie Bostonu czynić należy. W ten sposób unikano obarczania legalnej rady miejskiej odpowiedzialnością za kroki nawpół buntownicze, chociaż, oczywista, komitet zawiadamiający składał się nie z kogo innego, jak z radców miejskich. W gminach podmiejskich podobne komitety istniały; teraz zaś zakładano je we wszystkich gminach Nowej Anglii, i wszędzie władza królewska faktycznie przestała istnieć, o ile się nie opierała bezpośrednio na bagnietach.

Do portu bostońskiego przybył w lipcu admirał angielski na czele floty wojennej, przewożącej nowe pułki

żołnierzy. Ale z tym wszystkim położenie armji królewskiej w Bostonie stawało się coraz przykrzejszym.

Onemi czasy półwysep, na którym leżało miasto Boston, połączony był z lądem wąziutkim tylko przesmykiem, zaledwie kilka sążni szerokim. Dzisiaj zgoła niema tego przesmyku, bo płytkie zatoki po obu stronach wysuszono i zabudowano; natomiast w 1774 r. był to arcy-ważny punkt strategiczny. Zaczął więc generał Gage fortyfikować ten punkt. Ale jakoś mu nie szło. Chciał najmować robotników — nikt się nie zgłosił. Chciał zakupić większe zapasy żywności — nikt nic nie miał na sprzedaż. Posyłał słomę — słoma się spaliła. Ładował wozy pełne cegieł, kamieni, drzewa — wozy gdzieś ugrzęzły. Posłał łodzią — łódź poszła na dno. Wszędzie był wróg, chociaż niewidzialny.

Co gorsza, nawet miejscowemi zapasami broni i amunicji generał nie zdołał owładnąć. Zajął wprawdzie miejską prochownię wraz z armatami; ale zato nocą wykradziono po kilka armat i z Bostonu i z przedmieścia Charlestown (czytaj Czarlztoun), leżącego na przeciwległym półwyspie.¹⁾ Nadto już dawno wszyscy, i w mieście i na wsi, mieli karabiny lub strzelby.

Z najezdcy generał Gage zaczynał się stawać jak gdyby obleżonym, tak dalece kraj cały był jednomyślnym w oporze. W każdej gminie zosobna patryjoci mieli ogromną większość; po stronie rządu stały tylko jednostki, nieraz bogate, ale, mimo to, bezsilne w swym odosobnieniu. Nawet mieszkańcy gminy Salem, forytowanej przez rząd kosztem Bostonu, uroczyście oświadczyli, że ani nie myślą korzystać z nieszczęścia swych braci; wyrzekli się na czas

¹⁾ Przedmieścia tego nie należy mieszać ze stolicą Karoliny południowej, miastem Charleston (czytaj Czarlztoun).

zatargu wszelkiego handlu z Anglią, a herbatę, nadesłaną do ich portu, za wzorem bostończyków, wrzucili do morza.

Sejm tymczasem usunął się z Salem w głąb kraju, do gminy Concord (czytaj Konkord), dokąd ręka jeneralska nie sięgała. Tam obrano Komitet Bezpieczeństwa, mający kierować obroną kraju; nadto sejm polecił gminnym „komitetom zawiadamiającym“ ułożyć w każdej gminie spis ochotników milicji, gotowych na każde zawołanie stawić się z bronią w rękę w ciągu jednej minuty. W podobnym duchu działały równocześnie sejmy trzech pozostałych kolonji Nowej Anglii: New Hampshire, Connecticut i Rhode Island. Ba, te dwie ostatnie kolonje były w daleko korzystniejszym położeniu, bo miały namiestników, wybranych przez sejm. To też namiestnik kolonji Rhode Island ukradkiem usunął na bok czterdzieści cztery armaty i umieścił je tak, żeby się wojsko królewskie nie mogło do nich dostać.

Ale nietylko Nowa Anglja kipiała. We wszystkich kolonjach aż po Gieorgję sejmy oświadczyły się za bostończykami. W sejmie wirgińskim okólnik, wysłany z Salem, znalazł szczególnie gorące przyjęcie; w płomiennych słowach, pełnych polotu, wypowiedzieli się za czynną solidarnością z Bostonem i Nową Anglią owi dwaj potężni mówcy, którzy niebawem zasłynąć mieli na całą Amerykę: młody Tomasz Jefferson (czytaj Dżeferson), szlachetny obrońca wszystkich skrzywdzonych, i ukochany przez wszystkich Patrycy Henry. Ale najpiękniejszą mowę w tymże sejmie wirgińskim wygłosił pułkownik, Jerzy Washington. Powiedział bowiem: „Zwerbuję i uzbroję własnym kosztem tysiąc ludzi i wyruszę z nimi na Boston“.

Narodowy kongres wszechamerykański rychło doszedł do skutku. Narady jego rozpoczęły się 5 września

1774 roku w Filadelfji, najbogatszym wówczas mieście Ameryki północnej. Nie mając żadnej formalnej władzy konstytucyjnej, kongres ten mógł uchylać tylko rezolucje; ale taką była jego powaga, że rezolucje jego miały w samej rzeczy znaczenie ustaw — podczas, gdy, naodwrot, ustawy, uchwalone przez angielski parlament, o ile nad przestrzeganiem ich nie czuwały tysiące bagnetów, miały w Ameryce już tylko znaczenie rezolucji papierowych. Polecił tedy kongres wszystkim gminom w całej Ameryce, żeby mieszkańcy ich zobowiązali się na piśmie zaniechać odrazu kupowania jakichkolwiek angielskich towarów, a po roku także zaniechać wywożenia jakichkolwiek towarów do Anglii. Na wniosek delegatów wirgińskich polecono południowym kolonjom zaniechać handlu niewolnikami; był to szczególnie dotkliwy cios, wymierzony królowi, ponieważ król Jerzy III jak najgorliwiej haniebny ten handel popierał i wielokrotne uchwały sejmku wirgińskiego, znoszące go, uparcie odrzucał. Po za tym kongres uznał opór kolonji Massachusetts przeciwko ustawom wyjątkowym za słuszny i oświadczył, że, jeśli rząd królewski spróbuje przeprowadzić te ustawy zbrojną przemocą, to cała Ameryka powinna poprzeć Massachusetts. Nadto kongres w osobnej „deklaracji praw“ stwierdził, że sejmom kolonji amerykańskich przysługuje wyłączne prawo ustawodawstwa we wszystkich sprawach wewnętrznych, oraz we wszystkich sprawach podatkowych, i domagał się odwołania jedenastu ustaw, przez parlament angielski uchwalonych, a sprzecznych z tą zasadą. Wreszcie, gardząc już tym razem zbytecznym a upokarzającym pisaniem petycji czy memorjałów do parlamentu centralnego, kongres zwrócił się z odezwą prosto „do wszystkich Anglików szczerych i zacnych“. Anglików, tak opiewała odezwa, wolność zrobiła wielkiemi; z całym zaufaniem więc

Amerykanie odwołują się do ich poczucia sprawiedliwości, domagając się tej samej wolności i dla siebie. Broniąc jednak samorządu, z całą stanowczością kongres protestował przeciwko „oszczerstwu“, jakoby, pod pozorem obrony samorządu, Ameryka dążyła do niepodległości. Po sześciu tygodniach energicznej pracy, dnia 26 października 1774 r. kongres się rozwiązał; uprzednio jednak, przewidując burzliwe czasy, delegaci postanowili, że już 10 maja roku następnego ma się zjechać do Filadelfji nowy kongres, do obesłania którego zapraszano, oprócz trzynastu samorządnych kolonji, także ludność Kanady oraz Florydy.

Odtąd cała Ameryka stała pod znakiem przygotowań do zbrojnej walki. W grudniu, w nadmorskiej osadzie Portsmouth (czytaj Porcmys) w New Hampshire Amerykanie wtargnęli do forteczki królewskiej, zabierając armaty i proch. W Maryland nielegalny sejm nakazał zapisywać mieszkańców do milicji. W każdym powiecie Wirginji szykował się zbrojny oddział; aby zaś mieć czym żywić te oddziały, Wirgińczycy na wiosnę, zamiast, jak zawsze, sadzić tytoń, pszenicą obsiali pola. Wychodzący w Bostonie kalendarz Ames'a (czytaj Ejmz'a), czytany przez każdą niemal rodzinę w Nowej Anglji, na Nowy Rok 1775 roku ogłosił receptę robienia prochu w sposób łatwo wykonalny w każdym domu prywatnym. W lutym Komitet Bezpieczeństwa kolonji Massachusetts uchwalił kupić amunicję i prowiant dla 15.000 ludzi. W tymże miesiącu w Salem inżynier Komitetu Bezpieczeństwa krzątał się koło naprawiania starych armat, niegdyś na Francuzach zdobytych i przechowanych na pamiątkę; na wieść o tym, generał Gage wysłał trzystu żołnierzy, ci jednak, widząc, że cała ludność okoliczna skupiła się w obronie armat, z kwitkiem wrócili do Bostonu.

Napężenie stawało się nieznośnym, podobnie, jak duszne powietrze przed burzą. Dygnitarze na służbie królewskiej nie taili tęsknoty za jawnym zderzeniem. Kiedy pod koniec marca nielegalny sejm kraju Massachusetts ponownie zjechał się do Concord, już nie trudno było wy-czuć, że to zderzenie jest blizkim. W samym Bostonie znać to było po zupełnej zmianie taktyki Amerykanów. Przedtym, na pomoc ciężko dotkniętym mieszkańcom, z całej Nowej Anglii zwożono do Bostonu zapasy żywności, nie na sprzedaż, tylko jako dar. Rybacy z pod Sa-lem przywozili duże beczki, pełne ryb suszonych, lądową drogą, bo port był zamknięty; a wódz milicji kraju Con-necticut, sędziwy Izrael Putnam, który tylekroć w puszc-zech zachodnich tłukł Francuzów, osobiście przyprowa-dził do Bostonu ogromną trzodę baranów, aby nakarmić swoich głodnych braci. Teraz to ustało, a zato mieszkań- nie tłumnie uchodzili na wieś i znikali gdzieś w głębi kraju.

Uderzył wreszcie pierwszy piorun.

Dnia 18 kwietnia generał Gage wysłał ośmiuset żoł- nierzy do Concord, gdzie właśnie sejm zamknął swoje obrady, wyłącznie poświęcone sprawie zbrojnej walki; spodziewał się, że tam będzie można skonfiskować spore zapasy amunicji i prowiantu, a może i aresztować niektó- rych członków sejmu. Dla ostrożności oddział ten wyru- szył krótko przed północą; ale kiedy o czwartej zrana, Anglicy, mając już dwie trzecie drogi za sobą, dotarli do wsi Lexington, tam na pastwisku gminnym czekało na nich sześćdziesięciu zbrojnych Amerykanów. Salwą kara- binową Anglicy trupem położyli siedmiu buntowników, rozproszyli resztę i poszli dalej. Przybywszy do Concord, znaleźli tam niewiele, ale co znaleźli, to zniszczyli: po- psuli trzy armaty, wysypali kilka worków mąki, spalili

stos drewnianych talerzy i łyżek i ścięli pal umajony, wbity do ziemi, jako godło wolności. Podczas tych niezbyt bohaterskich czynów, jednak około stu żołnierzy pozostawiono w tyle, aby strzegli mostu, prowadzącego do miasteczka. Na tych stu ludzi o dziesiątej przed południem natarło trzystu Amerykanów. Po obu stronach padło po kilku ludzi, ale Amerykanie wytrwali na miejscu, a Anglicy uciekli do miasteczka. Tam brali udział w niszczeniu zapasów aż do południa; wtedy dopiero pułkownik angielski dał rozkaz do odwrotu. Ale tymczasem wieść o porannej potyczce w Lexington lotem błyskawicy rozeszła się po kraju, i zewsząd, w promieniu czterdziestu wiorst, zbliżała się milicja. Z każdej wsi, dokąd owa wieść dotarła, wyruszył, kto tylko broń mógł udźwignąć; oprócz kobiet, w domu tylko pozostali starcy, powyżej siedemdziesięciu, i chłopcy, poniżej szesnastu lat. Zanim Anglicy zdołali opuścić Concord, zaroilo się od wrogów na każdym wzgórzu, w każdym gaju, za każdym płotem. Anglikom się zdawało, że grad uzbrojonych mężów spadł z nieba. Z trudem tylko Anglicy utworowali sobie drogę wstecz ku Lexington. Szli i szli, ustawicznie narażeni na strzały partyzantów, którzy, przewijając się po krzakach, towarzyszyli ich pochodowi, niby osy i szerszenie. Zanim wrócili do Lexington, już prochu nie mieli; co trzeci był ranny, a co chwila ktoś padał trupem. Ani jeden nie byłby uszedł śmierci lub niewoli, gdyby nie to, że tuż poza Lexington spotkali dwa świeże pułki angielskie, które im na pomoc wyruszyły z Bostonu. Armaty tych pułków wstrzymały pościg; ale po chwili całe wojsko angielskie ponownie musiało się cofać, bo liczba wrogów rosła nieustannie. Gromada włościan pod komendą księdza odbiła Anglikom wozy z prowiantem. Więc głodni szli dalej, a po stronach gościńca ścigali i nękali ich Amerykanie, zastępy

których wzmagały się tym szybciej, im bardziej pochód się zbliżał do gęsto zaludnionej krainy nadmorskiej. Znowu Anglikom zabrakło prochu. Koło zachodu słońca ostatnim wysiłkiem wtargnęli na przesmyk, łączący z lądem półwysep, na którym leży Charlestown. Schronili się na półwysep, pod opiekę angielskich okrętów wojennych. Ale też był wielki czas, bo od strony Salem nadchodził nowy, potężny oddział milicji; jeszcze godzina, a z całej armji, wysłanej do Concord i Lexington, ani jeden człowiek nie byłby powrócił. A i tak Anglicy mieli trzystu zabitych i rannych, a Amerykanie zaledwie stu.

Boston, Charlestown, kilka wysepek dokoła portu — oto wszystko, co odtąd zostało generałowi Gage. Poza tym kraj był w rękach buntowników.

Tak się zaczęło powstanie amerykańskie.

Kiedy się to działo, ludność wszystkich trzynastu samorządnych kolonji wynosiła razem niespełna trzy miliony ludzi.

ROZDZIAŁ VII.

Wiadomość o bitwie pod Lexingtonem nietylko całą Nową Anglję poruszyła, ale całą Amerykę. W Nowym Jorku natychmiast wstrzymano transporty żywności, przeznaczone dla załogi bostońskiej; zawieszono wszelki handel z portami, pozostającymi w rękach Anglików, a więc z Bostonem, z Nową Fundlandją, z Quebec w Kanadzie. Komorę celną nad portem lud zamknął; lud o władnął bronią i amunicją, świeżo obrany komitet bezpieczeństwa nakazał ludności spełniać zlecenia kongresu wszechamerykańskiego, angielskiemu wojsku nic nie sprzedawać, a wszelką próbę narzucenia Ameryce podatków, przez parlament centralny uchwalonych, odpierać z narażeniem życia i mienia. Nawet ugodowcy nowojorscy uważali za wskazane prosić listownie generała Gage, żeby zawiesił dalsze kroki zbrojne, oraz żeby, broń Boże, żadnych wojsk nie przysyłał do kolonii nowojorskiej. W Maryland zmuszono namiestnika królewskiego do zaopatrzenia milicji w broń, w Wirginji przynajmniej do zapłaty za proch, przezeń zabrane. W Karolinie południowej mieszkańcy zajęli arsenał królewski, a sejm uchwalił uzbroić trzy pułki milicji.

W samej Nowej Anglji zdarzenia nie mniej rażno naprzód kroczyły. Zanim się jeszcze Anglicy, uchodzący z Lexington, zdołali schronić do swojej kryjówki nadmorskiej, już się rozpoczął wymarsz milicji z Rhode Island i Connecticut do okolic Bostonu; z górskiej krainy New

Hampshire przybyła milicja w szalonym pośpiechu. Wyłęczniony generał Gage, widząc, że się zanosi na regularne oblężenie, a mając szczupłe zapasy, zaproponował mieszkańcom bostońskim, żeby wszyscy, z wyjątkiem tylko radców miejskich, opuścili miasto w pokoju, zostawiając mu w rękach broń i żywność. Zgodzono się na to, i istotnie przez kilka dni generał Gage pozwalał mieszkańcom się oddalać; potem jednak złamał słowo i pozostałych zatrzymał, jako zakładników. To też, sejm ogłosił go „wrogiem potwornym i zatwardziałym“; milicja zaś, bez względu na zakładników, z trzech stron otoczyła Boston i na dobre rozpoczęła oblężenie.

Na drodze do Lexington, o cztery wiorsty na zachód od Bostonu, leżało miasteczko Cambridge (czytaj Kembridż), tak nazwane, na wzór sławnego angielskiego miasta uniwersyteckiego tegoż imienia, ponieważ i amerykańskie Cambridge było od początku siedzibą uniwersytetu, najstarszego w Ameryce, bo założonego w 1637 r. W tym to grodzie uczoności rozłożyła się obecnie główna kwatera milicji, chroniona od strony morza przez wzgórze, na którym postawiono redutę. Ku północo-wschodowi i południo-wschodowi rozłożyło się lewe i prawe skrzydło milicji na wzgórzach w półkolu naokoło wielkiej zatoki, ku środkowi której sterczał od południa półwysep bostoński, a od północy półwysep, na którym było przedmieście Charlestown oraz wzgórze Bunker Hill. Wzgórze to dzisiaj częściowo zniesiono i zabudowano; ale i wówczas nie było wyższe od Wawelu krakowskiego. Pomimo tego było dostatecznie wysokie, a zarazem dostatecznie bliskie Bostonu, aby ze szczytu jego można było zbombardować miasto. Dnia 16 czerwca 1775 roku wieczorem 1500 Amerykanów obsadziło to wzgórze. Przez noc wybudowali redutę sześć stóp wysoką; szło to łatwo, bo prawie wszyscy byli rolnikami, więc umieli ko-

pać. Nad ranem Anglicy dostrzegli tę zmianę w krajobrazie; Gage zwołał radę wojenną. Popołudniu trzy tysiące Anglików przeprawiło się do Charlestown, aby szturmować pagórek. Wzięli z sobą aż osiemdziesiąt armat, ale te im nic nie pomogły, bo po drodze ugrzęzły w błocie. Dwa razy szturmowali Bunker Hill, i dwa razy się cofnęli, poznając ze zgrozą, jak straszną bronią jest zwyczajna strzelba w rękach włościan z brzegów puszczy, gdzie każdy jest myśliwcem. Kiedy po trzeci raz szturmowali, Amerykanom zabrakło prochu; tak więc, Anglicy zdobyli redutę. Ale podczas, gdy straty Amerykanów wynosiły 150 zabitych i 300 rannych, straty angielskie wynosiły tysiąc czterdziestu ludzi, a między niemi 92 oficerów. Bo też żaden strzał amerykański nie poszedł na marne, a bogate mundury oficerskie były ulubioną metą tych strzałów. Słusznie mógł tedy powiedzieć jeden z dowódców amerykańskich: „Za taką cenę gotowiśmy każdej chwili sprzedać Anglikom drugi pagórek“.

Ale nietylko na lądzie, i na morzu Anglicy mieli ciężkie kłopoty. Jeśli Amerykanie z głębi kraju byli przede wszystkim rolnikami i myśliwcami, to wzdłuż wybrzeża Nowej Anglii każdy prawie Amerykanin z nad morza był rybakiem albo żeglarzem. A ci rybacy zwykli byli odbywać na dużych łodziach żaglowych dalekie wyprawy ku północnym stronom oceanu, aby polować na wielorybów; i ci żeglarze zwykli byli rozmyślnie jechać po nocy, we mgłę najgęstszej, w czasie burzy, aby tylko uniknąć czujności celników królewskich. Nie dziw, że jeszcze przed bitwą na Bunker Hill spędzili trzody z wysp naokoło portu bostońskiego, naprzekór flocie angielskiej, leżącej bezczynnie w porcie, że spalili królewski okręt wojenny niemal w oczach admirała i zabrali armaty.

Tymczasem, zwołany pcnownie do Filadelfji, kongres

wszechamerykański uczynił krok niezmiernie ważny: tworzącej się dopiero, armji narodowej dał wodza naczelnego. A wodzem tym, na wniosek delegatów z Massachusetts, obrano pułkownika Jerzego Washingtona z Wirginji.

Był to wówczas człowiek 43-letni. Nazwisko jego znała cała Ameryka, odkąd, jako młodzieniec, wstąpił się na wojnie z Francuzami. Ale odkąd w 1758 r. wrócił z wyprawy na Fort Duquesne, Washington nie szukał już dalszej sławy; ożenił się, osiadł na folwarku ojcowskim i prowadził życie obywatela ziemskiego, życie zaciszne, wesołe i sielankowe. Polował na lisy, dozorował pracę rolną swoich murzynów (bo i Washington, jak wszyscy jego sąsiedzi, trzymał murzynów, jako niewolników, chociaż traktował ich po ojcowsku), odwiedzał sąsiadów albo przyjmował ich u siebie. Przerывał tę sielankę tylko, aby służyć dobru publicznemu, jako sędzia pokoju oraz jako poseł na sejm wirgiński. Na sejmie rzadko przemawiał, ale co powiedział, było rozumnym i trafnie obmyślanym; byli lepsi mówcy, ale żadnego nie słuchano z większą uwagą. Mimo długich lat pokoju, popularność pułkownika Washingtona nie zatarła się, owszem rosła. Wszyscy lgnęli do tego pięknego i miłego człowieka, silnego a spokojnego, którego życie czynne a pogodne, mimo dojrzałego wieku, zachowało młodym, który z niezachwianym poczuciem godności własnej łączył przykładną skromność i uprzejmość wobec każdego. Obecnie zaś, w chwili niebezpieczeństwa, uchwała, mianująca go wodzem na kongresie, zapadła jednomyślnie. Delegaci z południa pragnęli go widzieć na czele, jako swojego człowieka, którego zbliżka znali i kochali; delegaci z północy zaś podwójnie pragnęli tego samego, aby w osobie Washingtona mieszkańców południa, na razie jeszcze nie zagrożonych bezpośrednio, ostatecznie przykuć do sprawy powstańczej. Odnośna re-

zolucja opiewała, że „delegaci wszystkich kolonji obowiązują się poświęcić mienie i byt, aby podtrzymywać i popierać szlachcica Jerzego Washingtona w posłannictwie, którego się ma podjąć“.

Ale tego posłannictwa kongres wciąż jeszcze nie pojmował, jako wywalczenie niepodległości. Zdanie, że walka powinna i musi się skończyć zupełnym i trwałym oderwaniem się od Anglii, było na razie dopiero osobistym zdaniem niektórych członków kongresu. Większość zrobiła wszystko, co było potrzebne, aby Ameryka z walki zbrojnej z Anglią wyszła zwycięsko, ale nie wyrzekła się jeszcze nadziei pojednania. Okoliczności wydawały się korzystne dla ostatniej próby w tym kierunku. Jako jeden z delegatów pensylwańskich, na kongresie zasiadał Dickinson, autor „Listów rolnika“; otóż Dickinson, jakkolwiek ostro zwalczał obecny system rządowy, wprost życia nie mógł sobie wyobrazić bez wierności wobec króla. Nadto kongres miał tuż przy boku człowieka, jak gdyby przez samą Opatrzność przeznaczonego na pośrednika. Był nim Ryszard Penn, potomek wielkiego Williama Penna, dziedziczny zwierzchnik czyli „właściciel“ Pensylwanji. Jeśli król nie chciał mieć do czynienia z Franklinem, synem rzemieślnika, to można było przypuszczać, że chyba nie będzie mu przykrą rozmowa z Pennem, magnatem amerykańskim, którego pradziad już z królami obcował; a to tym bardziej, że można rodzina Pennów już dawno wyrzekła się była sekciarstwa kwakerskiego, a wyznawała rządową religję anglikańską. Pozwolono więc Dickinsonowi raz jeszcze, imieniem kongresu, napisać rzewny list do Jerzego III, a przejrząwszy ten list i zgodziwszy się na jego brzmienie, kongres polecił Pennowi zawieźć go do Anglii i złożyć u stóp króla. W liście tym „wierni poddani“ przypominali „najłaskawszemu monarsze“, jak dzielnie się bili za sprawę jego

dziadka i za jego własną podczas wojny kanadyjskiej, ile ofiar za niego ponieśli, jak on sam ich za to chwalił; skarżyli się, że, kiedy chcieli używać pokoju, wywalzonego własną krwią, zamiast tego, spadały na nich coraz gorsze prześladowania. Ale całą winę tych prześladowań, które „wiernych poddanych“ zmusiły do zbrojnej samoobrony, spychano wyłącznie na urzędników; króla o nic nie winiono, tylko się przed nim skarżono na tych, którzy „nadużywali jego królewskiego zaufania i władzy“, i błagano go o naprawę złego, życząc mu długiego życia i szczęśliwych rządów. Tę „uniżoną petycję“ do króla uchwalił kongres dnia 8 lipca 1775 r.; 12 lipca Penn wsiadł z nią na okręt.

Tymczasem jednak już od 2 lipca generał Washington przebywał w głównym obozie wojska w Cambridge, pod Bostonem. Co prawda, znalazł się tam w dość trudnym położeniu. Wprawdzie, przywitany z radością, ciesząc się ogólnym zaufaniem, z otuchą mógł się imać przerażania niesfornych band świeżo uzbrojonych włościan i mieszczan, na armję nietylko waleczną, ale i karną. Ale ani waleczność, ani karność nie mogła zastąpić broni, a broni było zamało. Brakło przedewszystkim prochu. Także zapasy żywności, odzienia, opału były niedostateczne na dłuższą kampanję. Zaczął więc Washington pisywać listy do sejmu każdej kolonji z osobna, do komitetów miejscowych, do burmistrzów i wójtów, i listy te z niewyczerpaną cierpliwością wciąż wznawiał, nie rozkazując nikomu, a tylko prosząc wszystkich, żeby przysyłali, co mogą, a przedewszystkim, żeby przysyłali proch. Ale właśnie proch przybywał bardzo powoli i bardzo skąpo. Więc Washington, starannie tając swoje położenie fatalne, wprawdzie w dalszym ciągu oblegał Boston, ale o ataku na miasto ani myśleć nie mógł. Nie dał się jednak zniechęcić tą przymusową bezczynnością, tylko cierpliwie

i z zimną krwią pracował nad wzmacnianiem wojska dla przyszłej akcji; a tymczasem, przewidując, że i na morzu trzeba będzie wojnę prowadzić na większą skalę, niż dotąd, z wynajętych okrętów handlowych zaczął tworzyć początki amerykańskiej floty wojennej.

Podczas, gdy tedy Washington oblegał Boston, Penn płynął na morzu ku Anglii. Podróż trwała przeszło miesiąc. Nareszcie 14 sierpnia Ryszard Penn wylądował w Londynie. Czekало go straszne rozczarowanie. Król go nawet przyjąć nie chciał; natomiast dnia 23 sierpnia ogłosił król Jerzy III proklamację, w której potępił Amerykanów, jako nikczemnych buntowników, i wzywał wszystkich swoich wiernych poddanych, aby mu byli pomocni do stłumienia rokoszu i ukarania zdrajców. Taki był smutny koniec ostatniej próby ugody amerykańsko-angielskiej.

A smutniejszym jeszcze było, że namiestnik Kanady, mądry i sprawny generał Carleton (czytaj Karleton), z rozkazu króla gromadził wojsko, aby wyruszyć przeciwko Amerykanom i napaść na nich z tyłu. Całe szczęście, że Amerykanie go wyprzedzili. Twierdzę Tikonderogę, od czasu wyparcia Francuzów zaniedbaną i słabo strzeżoną, już w maju zajęła gromada wojowniczych górali amerykańskich. Dalszej zaczepnej wojnie przeciwko Kanadzie początkowo sprzeciwiał się kongres, w nadziei pozyskania Kanadyjczyków dla sprawy wolności. Ale kiedy ta nadzieja się nie spełniła, kongres dał wolną rękę gorliwym patrijotom; za zgodą Washingtona we wrześniu dwie wyprawy, każda po tysiąc ludzi, wyruszyły na północ. Jedna, pod pułkownikiem Montgomery, szła zwyczajną drogą od Tikonderogi przez jezioro Champlaina i rzekę Sorel prosto na Montreal. Drugą wyprawę prowadził Benedykt Arnold, ambitny człowiek o awanturniczej przeszłości, śmiały aż do szaleństwa. Przeprowadził się morzem ku północnemu

krańcowi ówczesnej kolonji Massachusetts, ku ujściu rzeki Kennebek, nieco na zachód od rzeki św. Krzyża. Wiosłując w górę rzeki, prosto na północ, wdarli się powstańcy głęboko do puszczy górskich; tam, gdzie rzeka przestaje być spławną nawet dla łodzi, wysiedli i pieszo szli dalej, wciąż pod górę, coraz głębiej brnąc w śniegu. Wielu się rozchorowało, wielu straciło odwagę i wróciło; ci, co szli naprzód, przez miesiąc cały nie widzieli mieszkań ludzkich. Głód ich trapił okropnie; doszło do pożerania kamazzków skórzanych. Wreszcie dotarli do wodoskłonu, ujrzeli u stóp swych Kanadę i zstąpili w głąb ku rzece Ciepłej, która poniżej Quebec'u wpada do rzeki św. Wawrzyńca. Przychylnie przyjęci przez osadników francuskich, powstańcy pokrzepili się, wsiedli na łodzi i płynęli rzeką Ciepłą w dół. W połowie października Arnold rozłożył obóz na skalnym wzgórzu, naprzeciwko Quebec i zaczął oblegać stolicę Kanady. Tą samą ścieżką, co niegdyś angielski generał Wolfe, wdarł się Arnold z 550 ludźmi na wyżyny na tyłach miasta. Ale tak szczupłemu wojsku miasto się nie poddało; po dwóch dniach Arnold musiał się cofnąć. Tymczasem otrzymał wieści, że Montgomery, zajmwszy Montreal, szedł na Quebec; śpieszył więc połączyć się z nim. W grudniu obaj na nowo podjęli oblężenie Quebec'u, dokąd się z trudem tylko zdołał schronić namiestnik Carleton, w przebraniu mnicha uciekając przed powstańcami. Dnia 30 grudnia Montgomery i Arnold atakowali miasto. Nie mieli szczęścia; straszna zawieja śnieżna uniemożliwiła im szybkie ruchy, Montgomery padł, Arnold został raniony, znaczna część wojska dostała się do niewoli. Ale Arnold ze swoim wycieńczonym oddziałem, wśród którego ospa gorsze od wroga spustoszenia czyniła, przez całą zimę jeszcze oblegał Quebec, nie dając odetchnąć Carletonowi, póki jeszcze lód na wielkiej rzece św. Wa-

wrzyńca odcinał Kanadę od oceanu, a tym samym od Anglii. Dopiero, kiedy w maju lody stopniały, a flota angielska, wioząca generała Burgoyne (czytaj Burgojn) z kilkunastotysięczną armją płynęła w górę wielkiej rzeki ku Quebec — dopiero wtenczas szczątki oddziałów Arnolda i Montgomery'ego wycofały się z Kanady.

Kiedy ci pobici bohaterowie wrócili nad jezioro Champlaina, znaleźli Amerykę, mocno zmienioną. To już nie były początki powstania; to już nie był okres wahania się między wojną a ugodą. Oto najważniejsze zdarzenia, które zaszły w Ameryce w czasie dziewięćmiesięcznej ich nieobecności.

W październiku, nadmorskie miasteczko Falmouth (czytaj Falmys), w północnej części Massachusetts, zostało spalone przez załogę angielskiego okrętu wojennego.

W listopadzie kongres wybrał komitet do nawiązywania stosunków z zagranicą. Było to faktycznie amerykańskie ministerstwo spraw zagranicznych; pierwszym jego czynem było wysłanie pełnomocnika do Francji, na dwór króla Ludwika XVI, z prośbą o dostarczanie broni.

W grudniu namiestnik Wirginji, schroniwszy się przed powstańcami na okręt wojenny, zbombardował nadmorskie miasto Norfolk.

W styczniu 1776 r., ukazała się bezimienna broszura pod tytułem „Zdrowy rozsądek“, dowodząca, że podleganie centralistycznemu rządowi, siedziba którego znajduje się po drugiej stronie oceanu, jest w każdym razie niedorzecznością, że więc Ameryka powinna i musi się stać niepodległą. W najkrótszym czasie rozchwymano sto tysięcy egzemplarzy tej broszury, której autorem okazał się przyjaciel Franklina, dziennikarz, Tomasz Paine (czytaj Pejn). Przyspieszyła ona potężnie nieunikniony przewrót w opinii publicznej.

W lutym, sześćdziesiąt armat, zdobytych rok przedtym w Tikonderodze, przywieziono do głównego obozu Washingtona w Cambridge.

W marcu Washington, będąc nareszcie dostatecznie zaopatrzoną w proch, nocą poprowadził dwa tysiące ludzi na wzgórze, położone bezpośrednio na południe od portu bostońskiego, na szczytach tych wzgórz z niebywałą szybkością postawił wysokie i mocne szańce, za szańcami umieścił liczne armaty, a nad ranem zaczął bombardować port i miasto. Aby uniknąć pewnej zagłady, Anglicy czymprędzej wsiedli na okręty i odjechali na daleką północ, do Halifax w Nowej Szkocji.

Dnia 17 marca Washington, jako zwycięzca, wkroczył do Bostonu. W kilka dni później do portu bostońskiego zajechał ogromny angielski okręt transportowy, którego kapitan nic jeszcze nie wiedział o zdobyciu Bostonu. Oczywiście, Amerykanie okręt ten natychmiast zabrali; okazał się od dna do wierzchu naładowany wszelkiego rodzaju bronią, przedewszystkiem zaś zawierał potężne zapasy prochu, siedem razy większe, niżli Washington posiadał dla całej swojej armji, przed wzięciem Bostonu. Odtąd na długo ustały kłopoty o amunicję.

Zaraz potem kongres ogłosił, że wszelkie okręty angielskie, wojenne czy handlowe, należy zabierać i towary, na nich wiezione, konfiskować.

W kwietniu kongres radykalnie zniweczył stuletni system ucisku handlowego Ameryki przez Anglię, dając wolny dostęp do portów amerykańskich okrętom wszystkich narodów świata, z wyjątkiem tylko Anglii. Wyrzekając się więc na razie angielskiego rynku, Ameryka torowała sobie drogę do rynków wszystkich innych narodów i naodwrot otwierała im swój rynek, dotąd szczelnie dla nich zamknięty. Odtąd więc i Francja, i Hiszpanja, i Ho-

landja, i inne handlowe narody Europy zainteresowane były w tym, żeby angielskie okręty wojenne czymprędzej znikły z wybrzeży amerykańskich. Jednocześnie kongres wznowił zakaz handlu niewolnikami.

W maju kongres polecił tym z pośród kolonji, które jeszcze nie uchwałyły były nowej konstytucji krajowej, przystosowanej do samodzielnego urzędowania bez udziału namiestnika naślanego z Londynu, żeby to uczyniły czymprędzej.

W czerwcu część floty angielskiej skierowała się na południe, aby atakować Charleston, stolicę Karoliny południowej; milicja zwycięsko odparła ten atak. W Filadelfji tymczasem, dnia 7 czerwca, delegaci wirgińscy na posiedzeniu kongresu postawili wniosek ogłoszenia niepodległości Ameryki.

Tak stały sprawy w czasie powrotu niedobitków wyprawy kanadyjskiej.

Wiele okoliczności się przyczyniło do tego, aby uczynić możliwym wniosek Wirgińczyków — wniosek, któryby sami wnioskodawcy o trzy lata wcześniej byli odrzucili z oburzeniem i zgrozą. Oddawna już przygotowywała się w umysłach Amerykanów powolna, ale głęboka zmiana, która tylko czekała jakiegoś silnego wstrząśnienia, aby się ujawnić. Wraz z przemycanymi towarami już od dziesiątek lat przenikały do Ameryki pisma najśmielszych myślicieli włoskich i francuskich; krzewiła się w tych obcych księgach wyłożona idea demokracji, o wiele szerszej i głębiej pojęta, niż ta, którą Amerykanom przekazali ich własni przodkowie. A tych, którzy, pomimo to i pomimo tylu krzywd i walk, ociągali się jeszcze z wyciągnięciem ostatniej konsekwencji, tych wkońcu na zwolenników niepodległości przerobiła krew, tylekroć przelana; rozproszyło ich złudzenia brutalne odepchnięcie Pen-

na, otworzyło im oczy palenie i bombardowanie miast amerykańskich przez angielską flotę. Miarę ich cierpliwości przepęłniły wieści, które ich dochodziły już od jesieni: że król przeciwko własnym swoim poddanym w Ameryce uzbraja dziesiątki tysięcy najemnych żołdaków niemieckich, oraz, że ajenci rządu angielskiego podburzają dzikich Indjan do morderczych napaści na osady białych. A wahających się jeszcze delegatów ostatecznie zdecydowała wiadomość, potajemnie im szepnięta przez członków komitetu dla spraw zagranicznych, którzy ją otrzymali w cyfrowanym liście od jednego z powierników swoich w Paryżu: że rząd francuski szczerze pragnie popierać Amerykę, ale chyba żadnego poważniejszego kroku nie podejmie, póki Ameryka się nie ogłosi niepodległą.

Wiadomość ta była prawdziwą. Postępowcy francuscy istotnie szczerze współczuli Amerykanom, jako szermierzom wolności, a ci postępowcy, chociaż nie rządzili, jednakże nie mały wywierali nacisk na rząd, osłabiony ciężkimi kłopotami pieniężnymi, a zachwiany powszechnym niezadowoleniem. Zachowawcy francuscy zaś nie mniej szczerze nienawidzili Anglję zato, że pobiła i upokorzyła Francję w wojnie siedmioletniej; każdy więc cios, zadany Anglji, uważali za swoje zwycięstwo. Tak więc, Francuzi przeróżnych kierunków, od skrajnych monarchistów do skrajnych republikanów, spotkali się w chęci pomagania Ameryce przeciwko Anglji; oczywista jednak, republikanie francuscy gotowi byli popierać tylko Amerykę na serjo republikańską, a monarchiści francuscy tylko Amerykę, dążącą na serjo do oderwania się od Anglji.

To też, kiedy delegaci wirgińscy postawili swój wniosek, większość kongresu już z góry była temu wniosko- wi przychylna. Ale tej większości zależało na tym, żeby uchwała w tak doniosłej sprawie powzięta została jedno-

myślnie. A na tę jednomyślność trzeba było jeszcze czekać, bo jeszcze delegaci pensylwańscy związani byli instrukcją od sejmu Pensylwanji, zabraniającą im głosować za jakimkolwiek wnioskiem, dążącym do zerwania łączności z Anglią. Na razie więc odesłano wniosek do komisji celem szczegółowego opracowania. Tymczasem, dnia 14 czerwca sejm pensylwański pod naciskiem wzburzonej opinii publicznej cofnął ową instrukcję, a wkrótce potym rozchwiał się całkiem, ustępując miejsca rewolucyjnemu zjazdowi komitetów bezpieczeństwa, który to zjazd jednogłośnie nakazał pensylwańskim delegatom na kongres narodowy głosować za niepodległością.

Teraz już nie było żadnej przeszkody. A natomiast były powody do pośpiechu, bo Washington, który po zdobyciu Bostonu przeniósł był główną kwaterę do Nowego Jorku, donosił kongresowi, że do zatoki nowojorskiej wjechała olbrzymia flota angielska, i że, wobec liczebnej przewagi wroga, przygotowanym jest na klęskę. To też, kongres już dłużej się nie ociągał. Dnia 1 lipca deklaracja niepodległości, napisana przez Wirgińczyka Jeffersona, a przedłożona przez komisję, do której, oprócz niego, należał Franklin, Jan Adams i dwóch innych, została w zasadzie przyjętą; dnia 4 lipca 1776 roku, przyjętą została w ostatecznym brzmieniu, i to jednogłośnie. Wiekopomny ten dokument brzmi:

„Kiedy w biegu dziejów ludzkich staje się koniecznym dla jednego narodu zerwanie więzów, które go łączyły z drugim, i zajęcie pośród mocarstw tej ziemi odrębnego miejsca narówni z innemi, do którego powołują go prawa przyrody i Boga przyrody, wtedy należyte poważanie dla opinii ludzkości wymaga, żeby taki naród ogłosił przyczyny, które go powodują do oderwania się.

Poczytujemy za prawdę, której dowodzić nie trzeba:

że wszyscy ludzie stworzeni są równymi; że Stwórca ich nadał im pewne prawa nieunicestwialne; że takim jest prawo do życia, prawo do wolności i prawo dążenia do szczęścia. A dalej, że to celem zabezpieczenia tych praw ludzie ustanowili rządy, władza których usprawiedliwia się więc przyzwoleniem rządzonych. Dalej, że kiedykolwiek dla tego celu jakabądź forma rządu staje się zgubną, lud ma prawo zmienić lub znieść ją, i ustanowić nowe rządy, opierając podwaliny ich na takich zasadach i organizując władze rządowe w taki sposób, jak mu się to wydaje najbardziej przydatnym dla bezpieczeństwa i szczęścia swego. Co prawda, przezorność nakazuje rządowi, oddawna utrwalonego, nie zmieniać dla lekkich i przejściowych przyczyn; to też powszechne doświadczenie uczy, że ludzie bardziej skłonni są cierpieć, póki zło jeszcze ścierpieć można, aniżeli naprawiać swą dolę przez zniesienie form, do których przywykli. Ale kiedy długi szereg nadużyć i przywłaszczeń, dążących niezmiennie w jednym i tym samym kierunku, ujawnia zamiar narzucenia im samowładnego despotyzmu, wtedy mają prawo, mają obowiązek obalić taki rząd i ustanowić nowe rękopie dla bezpieczeństwa swojego w przyszłości. Otóż taką właśnie była cierpliwie znoszona niedola tych naszych kolonji; i taką jest teraz konieczność, która je zmusza do zmiany dotychczasowego systemu rządu. Dzieje obecnego króla Wielkiej Brytanji¹⁾ są dziejami ciągłych krzywd i nadużyć, które wszystkie bezpośrednio zmierzają do narzucenia tym naszym Stanom tyranji samowładnej. Na dowód tego, następujące fakty przedkładamy bezstronnemu światu:

¹⁾ To znaczy Anglii wraz ze Szkocją i Walją.

Odmówił zgody swojej ustawom, wysoce zbawiennym i potrzebnym dla dobra publicznego.

Zakazał namiestnikom swoim ogłaszania ustaw, odpowiadających bezpośrednio i nagłej potrzebie, o ile wejście tych ustaw w życie nie pozostało w zawieszeniu aż do osiągnięcia jego zgody; a kiedy te ustawy tak w zawieszeniu pozostawały, całkowicie zaniedbał zajęcia się nimi.

Odmówił zgody na inne ustawy, potrzebne ludności rozległych dzielnic, o ile ta ludność nie chciała się wyzwać prawa wyboru przedstawicieli do sejmu, prawa, nieocenionego dla niej, a tylko dla tyranów straszego.

Zwoływał sejmy do innych miejsc, niż przepisanych zwyczajem, do miejsc niedogodnych i odległych od archiwów publicznych, jedynie po to, aby dręczeniem zniewolić je do uległości.

Niejednokrotnie rozwiązywał sejmy zato, że z męską stanowczością sprzeciwiały się jego napaściom na prawa ludowe.

Po takich rozwiązaniach przez długi czas odmawiał rozpisania nowych wyborów; przez to prawo ustawodawcze, którego nie zniszczyć nie może, powróciło do ogółu ludu, ale kraj tymczasem pozostał narażonym na wszelkie niebezpieczeństwa obcego najazdu i zaburzeń wewnętrznych.

Starał się przeszkadzać zaludnieniu tych naszych krajów; w tym celu stawiał opór ustawom o uobywateleniu cudzoziemców; odmawiał swej zgody innym ustawom, mającym zachęcać cudzoziemców do przybycia, oraz pogarszał warunki zajmowania ziem, leżących odłogiem.

Przeszkadzał wymierzaniu sprawiedliwości przez to, że odmawiał swej zgody ustawom, zarządzającym sądy.

Uczył sędziów zależnemi od swojej osobistej woli,

tak co do zachowania, czy utraty posady, jako też i co do wysokości pensji i wypłacania teje.

Stworzył mnóstwo nowych urzędów i przysłał tutaj chmary urzędników, którzy gnębią nasz lud i zjadają jego mienie.

Utrzymywał w naszym kraju, w czasie pokoju, wojska, stojące bez zgody sejmu.

Dążył do uczynienia władzy wojskowej niezależną od cywilnej i wyższą od niej.

Spiskował z innemi¹⁾, aby poddać nas władzy, która obcą jest konstytucji naszej i nie uznaną przez prawo nasze, zatwierdzając swą zgodą rzekome ich ustawy:

o kwaterunku dużych oddziałów zbrojnego wojska w naszych siedzibach;

o chronieniu ich przez komedję sądową od kary za jakiegokolwiek morderstwa, którychby się mieli dopuścić na mieszkańcach tych naszych krajów;

o odcięciu nas od handlu z jakąkolwiek częścią świata;

o nakładaniu podatków na nas, bez naszej zgody;

o pozbawieniu nas, w licznych wypadkach, dobrodziejstwa sądenia przez przysięgłych;

o wywożeniu nas za morze, celem sądenia nas za rzekome występki;

o zniesieniu wolnościowego systemu ustaw angielskich w sąsiedniej prowincji²⁾, ustanowieniu w niej rządów samowolnych i rozszerzeniu jej granic, czyniąc z niej zarazem przykład i podatne narzędzie do zaprowadzenia

¹⁾ T. j. z konserwatywną większością parlamentu angielskiego.

²⁾ Mowa tu o Kanadzie, której po zdobyciu początkowo obiecano zwołanie sejmu; obietnicy tej nigdy nie spełniono, a w 1774 r. odwołano ją formalnie.

takich samych samowładnych rządów i w tych naszych kolonjach ;

o niweczeniu naszych przywilejów, zniesieniu naszych najcenniejszych ustaw, i doszczętej zmianie formy naszych rządów ;

o zniesieniu naszych sejmów, i przypisaniu sobie samemu prawa narzucania nam ustaw we wszelkich możliwych wypadkach.

Sam się wyrzekł rządów w naszym kraju, przez to, że pozbawił nas swojej opieki i rozpoczął wojnę przeciwko nam.

Rabował na naszych morzach, pustoszył nasze wybrzeża, palił nasze miasta, zabijał naszych rodaków.

Obecnie przewozi wielkie armje obcych żołdaków najemnych, aby dopełnić dzieła mordu, zniszczenia i tyranji, które już rozpoczął z okrutnością i wiarołomnością, niedoścignioną bodaj w czasach najdzikszego barbarzyństwa, a całkiem niegodną głowy cywilizowanego narodu.

Zmusił współobywateli naszych, wziętych do niewoli na otwartym morzu, żeby służyli, jako żołnierze, przeciw krajowi swojemu, żeby się stali katami swych braci, albo ginęli z ich ręki.

Wywołał wśród nas domowe rokosze, a próbował podburzyć przeciwko mieszkańcom kresów naszych, Indjan dzikich i bezlitosnych, o których wiadomo, że ich sposobem wojny jest mordowanie wszelkich istot ludzkich bez różnicy wieku, płci, czy stanu.

Ilekróć nową nam wyrządził krzywdę, słałiśmy do niego petycje o naprawę, w słowach jak najuniżeńszych. Na każdą nową petycję odpowiadał nową obelgą. Władca tedy, który się sam napiętnował wszelkim czynem dla tyrana znamienym, niezdolnym jest królować wolnemu narodowi.

A nie zaniedbaliśmy też niczego wobec naszych braci Anglików. Niejednokrotnie przestrzegaliśmy ich, aby przez parlament swój nie przywłaszczali sobie krzywdzącej władzy nad nami. Przypominaliśmy im okoliczności, w których, opuściwszy dawną ojczyznę, osiedliśmy w tym kraju. Odwoływaliśmy się do wrodzonej ich sprawiedliwości i wielkoduszności i zaklinaliśmy ich na więzy wspólnej krwi, aby się wyrzekli tych uroszczeń, których niechybnym skutkiem musiało być zerwanie stosunków przyjaznych między nami. Ale i oni głuchemi byli na głos sprawiedliwości i braterstwa rodowego. Musimy zatem pogodzić się z koniecznością, która nakazuje nam oderwać się od nich i uważać ich, jako i resztę ludzkości uważamy, za wrogów, póki trwa wojna, w czasie pokoju zaś za przyjaciół.

Wobec tego, my, przedstawiciele Stanów¹⁾ Zjednoczonych Ameryki, zgromadzeni na powszechnym kongresie, a świadcząc się Najwyższym Sędzią świata, że zamiary nasze są prawe, ogłaszamy i oświadczamy uroczysto, imieniem zacnego ludu tych kolonji i przezeń upoważnieni, że te nasze Zjednoczone Stany są, i słusznie powinny być, Stanami wolnemi i niepodległemi; że wyzwolone są od wszelkiej zależności wobec korony angielskiej, oraz, że wszelka łączność polityczna między nimi, a państwem wielkobrytańskim jest i powinna być całkowicie zerwaną; jako też, że jako Stany wolne i niepodległe, mają one pełne prawo do wszczynania wojny, zawierania pokoju, jako też sojuszów, otwierania granic kupiectwu, tudzież do wszelkiego rodzaju innych czynów,

¹⁾ Po angielsku „states“ (czytaj stejc), co dosłownie znaczy „państwa“.

do których uprawnione są niezależne państwa. A że tę deklarację podtrzymywać będziemy, mocno ufając w opiekę Opatrzności Boskiej, za to wszyscy nawzajem sobie ręczymy, za rękojmię dając życie nasze i mienie i nieykalną naszą cześć“.

VIII.

Nazajutrz po uchwaleniu deklaracji niepodległości, dnia 5 lipca 1776 r., przybył do Paryża, po sześciotygodniowej podróży morskiej, pierwszy ambasador Stanów Zjednoczonych Ameryki, nazwiskiem Deane (czytaj Dijn). Ale ten ambasador rodzącego się dopiero państwa nie mógł jeszcze jawnie piastować godności swojej. Nazewnątrz Deane występował jako prosty kupiec, a tylko na poufnej audjencji u francuskiego ministra spraw zagranicznych, hrabiego Vergennes (czytaj Werzen), zwierzył się ministrowi, kto go wysyła i z jakim pełnomocnictwem. Znalazł przychylnie przyjęcie, i nie w słowach tylko. Tajne zlecenia ministra otworzyły mu wrota arsenałów francuskich, skąd mu wolno było zabierać setki armat, dziesiątki tysięcy karabinów i duże zapasy wszelkiej innej broni i amunicji i wysyłać to wszystko do Ameryki, pod warunkiem tylko, żeby to robił sekretnie, bo do jawnej wojny z Anglią rząd francuski tymczasem jeszcze nie był przygotowany. Rozumie się, że o pomyślnym wyniku tej audjencji Deane czymprędzej dał znać kongresowi. Odtąd nadzieja na pomoc francuską była dla walczących Amerykanów niewyczerpanym źródłem otuchy w najcięższych chwilach.

Ale też tych ciężkich chwil na razie zgoła nie brakło. Koło ujścia zatoki nowojorskiej gromadziło się z tygodnia na tydzień coraz więcej angielskich okrętów wojennych;

w połowie sierpnia było ich już przeszło sto. A z tych okrętów coraz nowe tysiące żołnierzy szły na ląd, chociaż na razie tylko na najbliższą wyspę nadbrzeżną. Ale pod koniec sierpnia Anglicy posunęli się o krok dalej, na południowy brzeg Wyspy Długiej, sięgającej aż pod sam Nowy Jork. Na zachodnim brzegu tejże wyspy stało kilka tysięcy Amerykanów. Washington posłał im tyle posiłków, ile mógł posłać bez ogołocenia miasta; razem tedy Długa Wyspa miała dziewięć tysięcy obrońców. Ale przeciwko nim angielski generał wysłał dwadzieścia tysięcy. Dnia 27 sierpnia Amerykanie zostali pobici; a co gorsza, byli odtąd zamknięci między wzgórzami, opanowanymi przez wroga, a ową głęboką cieśniną morską, która dzieli Długą Wyspę od wyspy nowojorskiej. W następnej bitwie mógł ich nieprzyjaciel osaczyć i wszystkich razem wziąć do niewoli, albo wyrznąć do nogi. Ale Washington nie stracił zimnej krwi. Pocichu a szybko zarządził przygotowania do przeprawy wojska na nowojorski brzeg, konspirując swój zamiar nawet przed własnymi oficerami; dla złudzenia Anglików, tylną straż pozostawił do ostatniej chwili na miejscu. W ten sposób 29 sierpnia późno wieczorem niepostrzeżenie przeprowił przez wodę całe wojsko wraz z bronią, amunicją i prowiantem; sam ostatni wszedł do łodzi.

Niestety, przegrana bitwa na Długiej Wyspie była dopiero pierwszym ogniwem długiego łańcucha klęsk, nieuniknionych, wobec liczebnej przemocy Anglików, wobec braku karności i doświadczenia wojskowego u powstańców, przedewszystkim zaś, wobec tego, że potężnej flocie angielskiej Amerykanie przeciwstawić mogli dopiero słabiuchne początki własnej floty wojennej, a właściwie tylko łodzie rybackie i małe a bezbronne okręty handlowe, naprędce do służby wojskowej najęte. Im bliżej więc morza, tym

gorzej było dla Amerykanów, szczególnie w okolicach Nowego Jorku, wśród tego roju wysp, gdzie woda, i to głęboka woda, dla wielkich okrętów dostępna, jest niejako wszechobecną. To też Washington byłby się najchętniej od razu wycofał na stały ląd, poświęcając z konieczności miasto Nowy Jork, którego bronić nie było sposobu. Ale Washington zależnym był od rozkazów kongresu, a członkowie kongresu kierowali się względami nie wojskowymi, lecz politycznymi. Opierali się więc zawzięcie wydaniu na łup nieprzyjaciół kwitnącego miasta, chociaż to miasto miało wówczas mniej mieszkańców, niż dzisiaj Płock. Dopiero 10 września Washington nareszcie wytargował na nich pełnomocnictwo do opróżnienia Nowego Jorku. Był już wielki czas na to. 15 września wróg wylądował na tyłach miasta, na wschodnim wybrzeżu wyspy nowojorskiej; jeszcze kilka godzin, a przednia straż jego mogła wpoprzek wąskiej wyspy dotrzeć do zachodniego wybrzeża, a wtenczas cała załoga Nowego Jorku byłaby się znalazła, jak w pułapce, między wojskiem angielskim a flotą. Ocalała załogę sprężystość starego partyzanta Putnam'a, który nią dowodził; wyprowadził ją czymprędzej wzdłuż zachodniego brzegu na północ, rzucając miasto wrogom na pastwę, ale ocalając wojsko od zagłady. Powstańcy oszańcowali się na wzgórzu w północnej części wyspy, a gdy nazajutrz wróg ich atakował, odparli go ze stratą.

W tym to czasie kongres, otrzymawszy pomyslnie wiadomości od Dean'a w Paryżu, postanowił zreorganizować stosunki swoje z Francją na szerszej podstawie. Zamianował tym razem urzędowo i publicznie ambasadorem swoim przy dworze francuskim Benjaminą Franklina, dodając mu, jako pomocników, Deane'a oraz Artura Lea (czytaj Lij). Dnia 26 października siedemdziesięcioletni

Franklin puścił się raz jeszcze w podróż morską do Europy.

A czas już był, żeby ktoś przyszedł w pomoc Deane'owi, bo, jak na jednego człowieka, miał już za dużo pracy. Sprawa amerykańska stawała się głośnieją w Europie, coraz liczniej zgłaszali się do Deane'a oficerowie francuscy i inni, pragnący zaciągnąć się, jako ochotnicy, do wojska powstańczego, jedni, pchnięci żądzą sławy i przygód, inni szczerze życzliwi dla bojowników wolności. Do tych ostatnich należał młody kapitan wojsk polskich, znakomity inżynier wojskowy, chociaż jeszcze nie znany światu: Tadeusz Kościuszko. Już w sierpniu był w Filadelfji i odrazu wziął czynny udział w budowie fortyfikacji wzdłuż dolnego biegu rzeki Delaware, mających flocie angielskiej bronić dostępu do miasta; dawszy się w ten sposób poznać, w październiku został mianowany inżynierem wojskowym z rangą pułkownika. Wysłano go na północ, ku jezioru Champlaina, gdzie się formowała oddzielna armja, mająca wprowadzić już nie zdobywać Kanadę, ale przynajmniej strzec granicy przeciwko napaściom angielskim z tej strony.

Rosły więc widoki na przyszłość. Ale na razie położenie Washingtona i armji jego nie przestało być przykrym. Trzeba się było cofać i cofać, coraz dalej w głąb kraju, precz od morza, precz od zatoki nowojorskiej i od rzek spławnych, wpadających do niej. W drugiej połowie listopada Washington cofnął się na zachodni brzeg Hudsonu, a stamtąd cofał się dalej ku południowemu zachodowi; po drodze szeregi jego topniały, bo członkowie milicji obywatelskiej, zaciągnięci na krótki termin służbowy, kończący się 30 listopada, wobec tylu niepowodzeń nie mieli ochoty do przedłużenia służby, tylko śpieszyli do domu, do opuszczonych zagród swoich i rodzin. Pozostali przy

nim tylko regularni żołnierze, zaciągnięci bezpośrednio przez kongres na służbę całoroczną. Było ich około trzech tysięcy. Z temi szczątkami wojska Washington w pierwszych dniach grudnia przeprowił się przez rzekę Delaware i stanął na pensylwańskim jej brzegu, o jakie pięćdziesiąt wiorst na północ od Filadelfji.

Tutaj był koniec pogoni. Delaware jest zbyt głęboką, żeby ją wbród przejść można. Flota była daleko; a łodzi na rzece nie było, bo je Washington uprzętnął jak najstaranniej: jedno wziął z sobą do Pensylwanji, a drugie zatopił. Można było czekać, aż rzeka zamarznie, ale to mogło trwać do połowy stycznia. Na tyle wytrwałości nie zdobył się dowódca angielski, ów leniwy a rozpustny jenerał Howe (czytaj Hau), którego dowódcą zrobiono, ponieważ był wnukiem królewskiej nałożnicy. Ogłosił tedy, że kampanja tegoroczna skończona, i kazał się wojsku rozjechać do kwater zimowych, które dla wygody żołnierzy i oficerów rozłożył na ogromnej przestrzeni, od Nowego Jorku poprzez całą szerokość stanu New Jersey aż po rzekę Delaware.

O ile chodziło o uspokojenie ludności względem wojska, kwatery te były niezłe wybrane. Mieszkańcy tej krainy, niegdyś na Holendrach zdobytej, a później przez królową Annę wybawionej z pod ucisku wiecznie kłócących się między sobą „właścicieli“ kolonji, nie byli zespoleni tak silną tradycją swoistego patryjotyzmu, jak naprzykład mieszkańcy Nowej Anglji. Nadto byli zamożni, nietylko dzięki dobroci gleby i klimatu, ale i dzięki temu, że, póki pokój trwał, owe zakręty i skrytki zatoki nowojorskiej chroniły ich od czujności celników angielskich, a to tym bardziej, że tradycyjna zawiesz między namiestnikiem kolonji nowojorskiej a namiestnikiem kolonji New Jersey

uniemożliwiała skuteczny nadzór nad całą zatoką. Właśnie im więc działa się stosunkowo dobrze pod angielskimi rządami, i właśnie dla nich wybuch rewolucji był klęską. Nie dziw, że w stanie New Jersey roіło się od ugodowców; a z podobnych przyczyn i w mieście Nowym Jorku ugodowców było mnóstwo, szczególnie pośród bogatszych mieszczan. Ale pokazało się, że wojsko angielskie posiadało doskonałe sposoby na wykorzenienie tych ugodowych sympatji.

Wojsko to w części tylko składało się z Anglików; wobec niepopularności wojny przeciwko Ameryce wśród narodu angielskiego, nie podobna było w Anglii zaciągnąć dostateczną ilość ludzi. To też bodaj połowa wojska składała się z Niemców, najętych w sposób dość osobliwy. A mianowicie rząd angielski ofiarował udzielnym księżętom niemieckim (których, jak wiadomo, onemi czasy było tysiąc kilkuset) ogromne kwoty pieniędzy za dostarczenie mu żołnierzy. Jeśli się książe jakiś zgodził, to już jego rzecz była, skąd wiał tych żołnierzy: czy przymusowo brał do wojska spokojnych włościń i mieszczan, nie oszczędzając ani młodziutkich chłopców, ani podstarzałych ojców rodzin, czy też werbował ochotników, albo poprostu kazał po gościńcach porywać bezbronnych podróżnych. Dość, że dostawił do Anglii zakontraktowaną ilość żołnierzy, a zato dostał tyle pieniędzy, że mógł zapłacić wszystkie swoje długi, i jeszcze wszystkim swoim utrzymankom sprawić nowiutkie suknie jedwabne. Otóż, po przybyciu tych żołnierzy niemieckich do Ameryki wnet się ukazały skutki tego systemu. Podczas, gdy bowiem żołnierze Anglicy zawsze jeszcze w Amerykanach widzieli rodaków, a przeto na ogół mniej brutalnie ich traktowali, to żołnierze Niemcy zgoła nic wspólnego nie mieli z tą ludnością, którą losy wojenne wydały im na pastwę. Nie znali ani języka jej,

ani praw, ani sprawy; a słyszeli o niej wciąż tylko to jedno, że to buntownicy. A z buntownikami żołnierze Niemcy, sami pochodząc z krajów odwiecznego absolutyzmu książęcego, żadnej sympatii mieć nie mogli. Przeciwnie, widząc na oczy, że prosty włościanin w Ameryce nie gorzej żył od szlachcica niemieckiego, nie omieszkali przypisywać tego dobrobytu mądrym a łagodnym rządóm króla Jerzego, tymbardziej więc wściekali się na tych swawolnych łotrów, którzy rokosz podnieśli przeciwko tak dobrotliwemu władcy. Nie mieli więc żadnej pobudki do oszczędzania ludności. A natomiast, mieli bardzo silne pobudki do wynagrodzenia sobie tych wszystkich cierpień, które ni stąd ni zowąd na nich spadły: oderwania od rodzin, długiej a dręczącej podróży morskiej, strachu, narażania życia za cudzą sprawę. Nadto byli wśród nich i ochotnicy osobliwego rodzaju: zawodowi żołdacy, którzy całe życie przevojowali, coraz to innemu panu służąc, nigdy nie pytając, czy sprawa dobra, a zawsze tylko dbając o żołd i łup. Ci włóczędzy zbrojni zawsze byli gotowi dać najgorszy przykład wziętym do wojska chłopom i mieszczanom. To też, gdy angielski żołnierz tu i ówdzie tylko kradł kurę, to niemieccy żołnierze gruntownie sprząтали cały inwentarz ruchomy, i bydło, i żywność, i szaty, i sprzęty, i pieńiędzy. Wszystko to starannie gromadzili na wozach wojskowych, z zamiarem przywiezienia tych skarbów z sobą do księstwa Waldeck, czy Hessen-Kassel, czy jak się tam ich „ojczyzna“ nazywała; uważali to za swój prawowity dorobek. Oczywiście, że kradnąc na prawo i na lewo, poczciwi Niemcy nie robili najmniejszej różnicy między Amerykaninem-rewolucjonistą a Amerykaninem-ugodowcem; była to różnica całkiem obca ich prostoduszności. Nadto tych żołnierzy, oddalonych od żon i narzeczonych, podczas przejazdu przez Anglję czepiły się ladacznice londyńskie,

a później i nowojorskie; te, gdy wtargnęły do uczciwego domu, z istic szatańskim sprytem odnajdywały kryjówki, do których gospodyni schowała garderobę swoją, i brały, co tylko warto było mieć. A co gorsza, rozpasanym żołdakom wnet już nie wystarczały względy tych ladacznic; zachciało im się świeższych ciał kobiecych. Doszło do tego, że całe gromady wylęknionych kobiet uciekały do lasów przed gwałcicielami, a nie jeden rolnik amerykański został zastrzelony w obronie czci żony swojej, czy córki.

W samym mieście Nowym Jorku działy się rzeczy mniej straszne, ale nie mniej wstrętne. Żołnierze wtargnęli do bibliotek publicznych, rozechwytali drogocenne księgi i sprzedawali je szynkarzom za kieliszek wódki.

To wszystko sprawiło, że i w Nowym Jorku, i w stanie New Jersey wkrótce całkiem zabrakło ugodowców. Nawet ci, którzy niedawno jeszcze śpieszyli na spotkanie armji angielskiej, aby na ręce generała Howe złożyć przysięgę wierności królowi, teraz żalowali uczynków swoich i tęsknym okiem spoglądali w kierunku obozu Washingtona i jego obdartych żołnierzy na pensylwańskim brzegu rzeki Delaware.

Washington tymczasem ścigał posiłki, skąd tylko mógł. Przedewszystkim, ponieważ od strony Kanady podczas zimy nic nie groziło, więc oddziały stojące na północy na razie powołał do siebie. Niebawem miał znowu przeszło osiem tysięcy ludzi w obozie. Mimo to członkowie kongresu już nie czuli się bezpiecznemi w Filadelfji; dnia 12 grudnia kongres przeniósł się dalej na południe, do Baltimore, głównego miasta stanu Maryland. Przedtym jednak kongres wyzwolił Washingtona z owej zależności, która w tak ciężkiej dobie krępowała sprężystość i bitność naczelnego wodza: nadał mu dyktatorską władzę we wszystkich sprawach wojskowych.

Rychło się okazało, jak bardzo Washington był godnym tego zaufania. Gdy tylko, dzięki bliskości Filadelfji, wygłodniałych żołnierzy zdołał nakarmić do syta, obmyślił plan przejścia do walki zaczepnej, i wykonał go z doskonałą czujnością i przytomnością ducha, nie przeocząc niczego. W nocy z 25 na 26 grudnia, mimo, że na Delaware szły już ogromne kry lodu, Washington niepostrzeżenie przeprowił się napowrót na wschodni brzeg rzeki i o świcie napadł na miasteczko Trenton, gdzie leżały trzy pułki Niemców — i to „leżały“ całkiem dosłownie; albowiem po dwóch dniach obfitych uczt świątecznych cała ta wiara spała twardo. Sam komendant dopiero wyskoczył z łóżka, kiedy już ulice roiły się od powstańców. Było zapóźno na opór; wzięto Niemców, jak młode ptaszki w gnieździe. Zabito albo raniono około stu, a jeńców było blisko dziewięciuset. Amerykanie zaś mieli czterech rannych i ani jednego zabitego.

Świetne to zwycięstwo ożywiło nadzieje Amerykanów w całym kraju. Zewsząd do obozu Washingtona nadsyłano pieniądze, żywność, zapasy odzieży; nakazane przez wodza naczelnego zaciąganie ochotników do trzechletniej służby wojskowej (z obietnicą nadziału ziemią po wojnie) szło rażno naprzód. Z pośród żołnierzy, których służba kończyła się 1 stycznia, większość dobrowolnie pozostała pod bronią.

Ale prawdziwa wielkość Washingtona okazała się w tym, że jak przedtym klęski nie odebrały mu otuchy, tak teraz zwycięstwo nie zawróciło mu głowy, nie zaślepiło go dla niebezpieczeństw, wciąż jeszcze groźących. Pobił trzy pułki wojska nieprzyjacielskiego; ale ogromna większość tego wojska pozostała nietkniętą. W poranek dnia 1 stycznia 1777 r. wyruszyło z Nowego Jorku osiem tysięcy najlepszych żołnierzy angielskich, sytych i wypo-

czętych, ciepło odzianych i tego uzbrojonych, pod komendą najdzielniejszego z wodzów angielskiej armji, lorda Cornwallis (czytaj Kornwolis). Tegoż dnia wieczorem Cornwallis już stał w Princeton (czytaj Prinстон), miasteczku, położonym zaledwie o dwanaście wiorst na północo-wschód od Trentonu. A Trenton, otwarte miasteczko w nizinie, źle się nadawało do obrony. Washington tedy 2 stycznia rano wysłał oddział doborowych żołnierzy naprzeciw Anglikom, z nakazem unikania otwartej bitwy, ale trapienia nieprzyjaciela po drodze, aby mu zabrać jak najwięcej. Stało się wedle słów wodza, i tak skutecznie, że Anglicy na przebycie tych marnych dwunastu wiorst dzień cały zużyli. Washington tymczasem cofnął się na południowy brzeg dość głębokiej rzeczki, która tuż poniżej Trentonu wpada do Delaware, i tam się jako tako oszańcował. Kiedy zaś wieczorem Cornwallis z całym swym wojskiem (z wyjątkiem półczwarta pułków, które, jako tylna straż, pozostały w Princeton) rozłożył się obozem w Trentonie, naprzeciwko, w obozie powstańców widać było gorączkową ruchliwość. Paliły się ognie polowe przez noc całą; stráže wykrzykiwały parol, oddziały piechoty szły tam i nazad, słychać było uderzenia siekier i rydlów. Widocznie Washington (tak się zdawało Anglikom) jeszcze w ostatniej chwili, już w obliczu nieprzyjaciela, pragnął wykończyć szanec. Ale były to pozory; Washington znowu, jak na Długiej Wyspie, świadomie w błąd wprowadził wroga. Na tyłach tej garści ludzi, na pokaz się krzątających, o pierwszej w nocy cała armja powstańcza cofnęła się wstecz; żołnierze cicho stąpali, koła armat obwinięte były sukmem. A raz oddalwszy się z obozu, Washington coraz bardziej zmienił kierunek marszu: wojsko już nie szło na południo-wschód, tylko na wschód, potem na północo-wschód, potem prosto na północ, potem na północo-zachód, aż wreszcie, zakreśliwszy

wielki łuk poprzez ciemne bory, nad ranem stanęło na gościńcu do Princeton, o dwie wiorsty od miasteczka. Właśnie tylna straż Anglików wyruszyła z Princeton, dążąc pośpiesznie ku Trentonowi, w nadziei, że przybędą tam jeszcze na czas, aby wziąć udział w domniemanym pogromie Amerykanów. Washington napadł na nich i pobił ich na głowę; zabito przeszło stu, do niewoli wzięto trzechset. Potym, aby się nie dać przydybać głównej armii angielskiej, Washington co tchu wyruszył na północ. W dwa dni później już go nie było na nizinach; rozłożył kwaterę zimową poza pierwszym łańcuchem gór, w miasteczku Morristown (czytaj Morristaun). Tam był bezpieczny, mimo, że zaledwie o trzydzieści wiorst oddalony od Nowego Jorku.

Skutki zwycięstw pod Trenton i Princeton były nadzwyczajne. Postrach padł na Anglików, podczas gdy Amerykanie byli pełni otuchy i zapału. Do obozu w Morristown codziennie przybywali nowi ochotnicy, obowiązujący się służyć bądź to przez trzy lata, bądź to aż do końca wojny. Ludność stanu New Jersey żwawo się mściła na pobitych ciemieżcach; każdy włościanin stał się partyzantem, nieprzyjacielskie składy żywności i paliwa zabierano, transporty wojskowe zatrzymywano, żołnierzy, wysłanych po świeżą żywność, brano do niewoli, a posłańców i wywiadowców mógł Washington mieć z pośród ludzi miejscowych, ile tylko chciał. To też przednia straż Washingtona od razu zdobyła placówki, już tylko o piętnaście, względnie dwanaście wiorst od Nowego Jorku oddalone. Szereg innych pozycji generał Howe, zdjęty trwogą, dobrowolnie opróżnił, cofając się nad morze, a wewnątrz kraju pozostawiając powstańcom. Skończyły się dobre czasy dla żołnierzy angielskich; znikąd już nie mogli dostać świeżego pokarmu, tak, że wkrótce spożywać musieli wyłącznie

mięso, sprowadzane z Anglii, mocno solone, aby nie zgniło podczas długiej podróży. Washington tymczasem, zabrawszy w Trenton i w innych miejscach tuziny wozów, przez złodziejskie żołdactwo naładowanych łupem, wezwał ograbionych mieszkańców, aby się zgłosili po własność swoją, co mu zyskało ogromny mir; a osaczywszy nieprzyjaciela od strony lądowej, aż do wiosny spokojnie pracował nad wewnętrznym wzmocnieniem armji i nad wyszkoleniem świeżych ochotników.

W tymże czasie i po drugiej stronie oceanu, we Francji, sprawa amerykańska niemałe robiła postępy. Okręt, który wioził sędziwego Franklina, pod koniec listopada zarzucił kotwicę u francuskiego wybrzeża; po dwóch tygodniach jazdy końmi dzielny starzec przybył do Paryża, a w styczniu miał pierwszą rozmowę z ministrem Vergennes. Położenie, jakie Franklin zastał w Paryżu, było wcale obiecujące. Obok Deane'a, z podziwu godną ruchliwością, krzątał się koło wysyłania broni i amunicji do Ameryki Francuz Beaumarchais (czytaj Bomarsze)¹⁾, który już półtora roku przedtem w tajnym memorjale zwrócił był uwagę króla na korzyści, które Francja mogła osiągnąć przez popieranie Amerykanów, a w lecie 1776 r. otrzymał był na ten cel milion dukatów od króla francuskiego a drugi milion od jego kuzyna i sprzymierzeńca, króla Hiszpanji. Beaumarchais we wszystkich francuskich miastach portowych utrzymywał ajentów, którzy, gdy tylko do portu zawitał amerykański okręt handlowy, ofiarowywali kapitanowi usługi swoje, odkupywali mu cały jego towar,

¹⁾ Ten sam Beaumarchais później zasłynął jako komedjopisarz. Według jego komedji, ułożone są słowa do dwóch oper, granych do dziś dnia na całym świecie: „Cyrulik z Sewilli“ Rossiniego i „Wesele Figara“ Mozarta.

a wzamian sprzedawali mu broń, proch i żywność. Nadto Beaumarchais spłatał Anglikom figla arcydowcipnego. Założył bowiem rzekomy dom handlowy, nibyto nabywający tytoń, cukier i inne produkty Ameryki północnej i środkowej, a wzamian wywożący europejskie wyroby do Ameryki. Potężny ten dom handlowy, nazywający się „Rode-ryk Hortalès i Spółka“, miał tylko ten jeden drobny brak, że — nie istniał wcale; był tylko zmyśloną firmą, mającą pokrywać przemycanie broni dla powstańców poprzez ocean, rojący się od angielskich okrętów wojennych. Pod ochroną tego fortelu, Beaumarchais uprawiał rzemiosło przemytnika z taką szatańską czelnością, że wysyłał powstańcom okręty pełne broni nie z Francji, ale z samej Anglii. Co prawda, okręty te dla konspiracji nie mogły jechać prostą drogą; musiały mitrężyć dużo drogiego czasu, aby zmylić czaty angielskie.

Ale podczas gdy Beaumarchais działał pokryjomu, na tych samych morzach jawnie walczyli Amerykanie, prości rybacy i marynarze z Nowej Anglii. Pozbawieni zwyczajnego zarobku, już od czasu wybuchu wojny prowadzili oni na własną rękę coś nakształt partyzantki morskiej. A mianowicie, prawie każdy kapitan większego nieco okrętu handlowego postarał się u sejmu swojej kolonji o pełnomocnictwo do konfiskowania handlowych okrętów angielskich. Było to zgodne z powszechnym zwyczajem owych czasów; każda strona wojująca starała się w taki sposób obezwładnić handel wroga, a podczas wojny siedmioletniej właśnie rząd angielski zachęcał był amerykańskich żeglarzy do wyrządzania takich psot Francuzom. Teraz, kiedy dla Amerykanina Anglik stał się wrogiem, a Francuz przyjacielem, zwinne okręciki z Massachusetts i Rhode Island, uzbrojone strzelbami z dodatkiem jakiejś lichej starej armatki, polowały na bogactwami naładowane okręty kup-

ców angielskich po całym Atlantyku aż po samą Europę, ba, aż po angielskie wybrzeża, prawie aż pod sam Londyn. Mieszczanie angielscy w pobliżu własnych portów słyszeli huk wystrzałów, zmuszających do poddania się bezbronne okręty kupieckie; a potem zwycięzcy brali zdobyty okręt do najbliższego portu francuskiego, załogę puszczała na wolność, ale towar sprzedawali na własny rachunek — a spieniężywszy go i odpocząwszy, puszczała się w nową pogoń morską za nowym łupem. Śmiałe te czyny głębokie wrażenie wywarły tak na wrogach, jak na zwolennikach Ameryki. Popłoch padł na możnych kupców londyńskich, którzy zaczęli przeklinać wojnę, przyprawiającą ich o krociowe straty. Cała Francja zaś zachwycała się dzielnością żeglarzy amerykańskich i coraz więcej nabierała nadziei, że taki naród zdoła zadać Anglikom śmiertelny cios.

Nastrój ten znacznie ułatwiał zadanie Franklinowi; zaraz po pierwszej jego audjencji u Vergennes'a, rząd francuski wyznaczył dalsze dwa miliony na poparcie powstańców. Ale i poza tym Franklin szybko zyskał powszechną sympatię. Uczni francuscy znali go, jako wielkiego przyrodnika i wynalazcę gromochronu; liberalna młodzież francuska, czerpiąca natchnienie z pism owego wielkiego apostoła wolności, Jana Jakóba Rousseau (czytaj Russo) — ta młodzież w Franklinie, wysłańcu rzeczypospolitej wolnych włościan i mieszczan, w tym starcu, pełnym mądrości a prostoty zarazem, widziała wcielenie owego ideału „człowieka wiernego przyrodzie“, ideału, przez Rousseau'a jej zaszczerpionego. Skromny dworek w Passy pod Paryżem, gdzie Franklin zamieszkał, stał się wkrótce celem pielgrzymki Francuzów wszystkich stanów. Nie wiedząc o tajnych zabiegach rządu francuskiego na korzyść Amerykanów, gwałtownie oskarżano tenże rząd, że się płaszczy przed groźbami ambasadora angielskiego, że

działa na szkodę Francji i na szkodę sprawy powszechnej wolności i sprawiedliwości, pozwalając Anglii dławić Amerykanów. Istotnie, Vergennes w owych dniach nie chciał jeszcze dopuścić do otwartego zerwania stosunków z Anglią. To też, na reklamacje angielskiego ambasadora, że amerykańscy partyzanci morscy w biały dzień korzystają z francuskich portów, dla pozorów temu, lub owemu kapitanowi kazał się wynieść z portu; ale wystarczyło, jeśli kapitan odpowiedział, że okręt jego ma dziurę, na załatanie której trzeba mu czterech tygodni czasu, a pozwolono mu zostać, gdzie był. Z tych samych przyczyn Vergennes, podczas gdy naogół chętnie pozwalał oficerom francuskim jechać do Ameryki i brać służbę w wojsku powstańczym, a nawet pokryjomu pośredniczył w takich wypadkach, jednemu oficerowi zakazał tak postąpić. Tym jednym był młodzieńki markiz Lafayette (czytaj Lafajet), zapalony wielbiciel Amerykanów. Lafayette był członkiem najwyższej arystokracji, siostrzeńcem namiestnika Lotaryngji, krewni jego byli wybitnymi figurami u dworu królewskiego; wyjazd jego do obozu powstańców za jawną zgodą rządu byłby się więc prawie równał wypowiedzeniu Angli wojny. To też Vergennes stanowczo nakazał Lafayette'owi zaniechać planu. Nic to atoli nie pomogło; w kwietniu 1777 r. bohaterski młodzieniec, pozostawiając w domu piękną młodą żonę w błogosławionym stanie w przebraniu pocztyljonu przekradł się przez granicę do Hiszpanji i stamtąd wyjechał na morze. W początkach czerwca już był w Filadelfji i odrazu wstąpił do wojska. Stał się adjutantem Washingtona i najwierniejszym jego przyjacielem.

W kilka tygodni po przyjeździe Lafayette'a do Ameryki zgłosiło się do Franklina w Passy dwóch innych wybitnych ochotników: Polak, Kazimierz Pułaski, były wódz

konfederatów barskich, wraz z nieodstępnym druhem swoim, Maciejem Rogowskim, który później życiorys jego spisał. Witając ich uściskiem dłoni, Franklin rzekł: „Spodziewam się, że panowie Polacy, którzy mają w świecie renomę dzielnych wojowników, będą wielką pomocą dla biednej ojczyzny mojej“. Pułaski mu odpowiedział: „W narodzie naszym obrzydzenie jest do wszelakiej tyranji, a pryncypalnie (głównie) do cudzoziemskiej — więc, gdzie tylko na kuli ziemskiej biją się o wolność, to jest jakby nasza własna sprawa“. Istotnie, pod koniec sierpnia Pułaski i Rogowski już służyli w amerykańskim wojsku powstańczym.

Pułaski jednak, aby się spotkać z Washingtonem, nie miał już potrzeby jechać aż do Morristown, ani nawet do Filadelfji. Zaledwie wjechał na rzekę Delaware, zaraz powyżej ujścia rzeki, na zachodnim jej brzegu natrafił na główny obóz powstańczy. Zmieniło się więc położenie od wiosny. A oto, jak to się stało.

Amerykanie coraz bliżej się posuwali ku Nowemu Jorkowi; już nawet na Długiej Wyspie niespodzianie zjawił się oddział powstańczy i dziewięćdziesięciu żołnierzy angielskich wziął do niewoli. Wtedy generał Howe, spostrzegszy się nareszcie, że w Nowym Jorku siedzi, jak w pułapce, postanowił zacząć wojnę z innej beczki. Zostawiając w Nowym Jorku tylko załogę, wsadził armję na okręty i pojechał z nią na południe. Mijając zatokę Delaware (bo wiedział, że tamtędy droga do Filadelfji zamknięta), pojechał dalej aż do ujścia zatoki Chesapeake, a potem tą zatoką na północ aż do jej końca. Tam wysiadł na ląd i wyruszył na północny wschód, ku Filadelfji. Ale zamiary jego nie były tajemnicą dla Washingtona, który zawczasu ruszył naprzeciw i zastąpił mu drogę o jakie dziesięć wiorst poniżej Filadelfji, rozkładając obóz nad

rzeką Brandywine (czytaj Brandywajn), która wpada do Delaware. Do tego to obozu przybył Pułaski z Rogowskim. Bogate ich stroje polskie dziwnie odbijały od szarych kurtek żołnierzy amerykańskich, z których wielu nosiło krótkie trzewiki, a niektórzy nawet bosy chodzili. Wszelako Pułaski, mimo, że skądinąd nie był wolny od uprzedzeń szlacheckich, nie dał się ludzić pozorom, tylko od razu słusznie ocenił męstwo ubogo odzianych powstańców. „Nie mają butów“, powiedział do Rogowskiego, „ale mają serca, a z tym, panie bracie, można daleko iść, choć na bosaka“.

Mężne te serca atoli na razie nie uchroniły Amerykanów od niepowodzenia. Bitwę nad Brandywine (11 września) wygrali Anglicy, dzięki liczebnej swej przewadze oraz dzięki lordowi Cornwallis, który poprowadził lewe skrzydło angielskie pod górę rzeki aż tam, gdzie się staje strumykiem, i przebył ją wbród. Klęskę złagodziła waleczność Pułaskiego, który skupił pierzchających żołnierzy i ucieczkę zamienił w uporządkowany odwrót z odstrzelaniem się, za co został mianowany generałem. Mimo to po tej klęsce obrona Filadelfji stała się niemożliwą. Kongres po drugi raz uciekł, tym razem na zachód w głąb Pensylwanji, a Filadelfję zajęli Anglicy.

Będąc w mniejszości i pobitym, Washington znowu pozostawił nieprzyjacielowi otwartą równinę nadmorską, sam zaś schronił się do strefy pagórków zalesionych. Ale raz jeszcze dnia 4 października wypadł z kryjówki swojej i, korzystając z gęstej mgły, natarł na główny obóz Anglików, rozłożony o cztery wiorsty powyżej Filadelfji, koło Germantown (czytaj Dżermantaun). Musiał się wkońcu cofnąć, ale przyprowadził wroga o stratę pięciuset ludzi. Odtąd jednak już nie dał się wywabić z pagórków, bo wojsko jego było nie tylko obdarte, ale i głodne.

W tymże samym czasie jednak, kiedy na południu Washington tak się mocował z nieprzychylnym mu losem, na północnym polu walki zaszły zdarzenia, decydujące o całym dalszym przebiegu wojny.

Silna armja angielska, stojąca w Kanadzie, pod komendą jenerała Burgoyne, miała w ciągu lata 1777 r. wtargnąć do Ameryki przez jezioro Champlaina i dolinę Hudsonu. Przeciwno tej armji szykowała się amerykańska armja północna. Mianowany dowódcą jej jenerał Gates (czytaj Geje) już w marcu zwiedził Tikonderogę, biorąc ze sobą Kościuszkę, któremu polecił zbadać stan fortecy. Spełniając to zlecenie, Kościuszko spisał raport, w którym zwrócił uwagę na okoliczność, dotąd mało znaną. Tikonderoga, bowiem, dotychczasową swoją doniosłość zawdzięczała temu, że leżała tuż powyżej jeziora Champlaina, tego nieuniknionego szlaku wszystkich armji, idących z Nowego Jorku do Kanady lub naodwrot. Tyle już walk o tę fortecę stoczono, tyle krwi przelano przed jej murami, że nie tak łatwo komuś do głowy przyjść mogło, że właściwie Tikonderoga wcale nie panowała nad okolicą. A jednak tak było. Wzgórze, na którym stała forteca, wcale nie było najwyższym dokoła. Niedaleko sterczał ku niebu znacznie wyższy szczyt, Głową Cukru zwany. Otóż Kościuszko w raporcie swoim zaznaczył, że przy użyciu dużych partji roboczych możnaby na Głowę Cukru wprowadzić armaty i utworzyć baterję, któraby istotnie panowała nad całą okolicą i nad samą Tikonderogą. Gates, który miał wiele wad, ale którego zaletą było, że ufał Kościuszce, byłby plan ten wykonał. Tymczasem jednak przeciwko samemu Gates'owi, który był z urodzenia Anglikiem, podniosły się z pośród mieszkańców stanu nowojorskiego głosy nieufności, w uwzględnieniu których kongres odebrał mu komendę, mianując następcą jego je-

nerała Schuyler'a (czytaj Szajler'a), krajowca, którego rodzina jeszcze od czasów holenderskich posiadała rozległe grunta w dolinie Hudsonu. Schuyler zaś odrzucił projekt Kościuszki, jako fantastyczny i niewykonalny.

Aż tu na modrych falach jeziora w pierwszych dniach lipca zjawiły się angielskie okręty wojenne, niosące Burgoyne'a i armję jego. Burgoyne uczynił to właśnie, co Kościuszko daremnie radził Amerykanom: urządził drogę jezdnią na Głowę Cukru, ustawił tam armaty i skierował je w dół na Tikonderogę. Amerykańskiej załodze sławnej fortecy nie pozostało nic innego, jak czymprędzej się wynieść. I nietylko ta załoga, ale cała armja północna cofała się czymprędzej na południe, aż nad Hudson i dalej jeszcze, na wysepkę na Hudsonie, którą Kościuszko zamienił na obóz warowny. Ale podczas tego odwrotu pułk inżynierski, stojący pod komendą Kościuszki, bynajmniej nie próżnował. Zrobiono wszystko, aby Burgoyne'owi utrudnić pogoń. Nieco powyżej Tikonderogi jezioro Champlaina zwęża się i staje się czymś nakształt rzeki, wypływającej z gęstej puszczy. Do tej rzeki wrzucono setki ogromnych kamieni i pni, tak, że przestała być spławną, nawet dla tratw. Drogę zaś lądową przez puszcę zepsuto doszczętnie. Gościńce rozkopano, mosty zerwano; zatykano strumyki, aby zabagnić i zalać drogę; ścinano odwieczne drzewa, i to umyślnie tak, żeby powalone na ziemię olbrzymie ich pnie i korony krzyżowały się we wszystkich kierunkach. Nadto ogołocono okolicę z wszelkiej żywności, a trzody odpedzono precz.

To też marsz przez tę puszcę okazał się zabójczym dla armji angielskiej. Pośród szalonych upałów lipcowych żołnierze, ciężko uzbrojeni i opakowani, musieli naprawiać wszystko, co powstańcy rozmyślnie zepsuli. Trzeba było wydobywać z wody pnie i głązy, torować nową drogę,

stawiać czterdzieści mostów. A pośród tych wszystkich trudów kończyły się zapasy żywności; na domiar złego, żołnierzy, upadających ze zmęczenia i głodu, prześladowały chmary komarów z bagien wylęgłych. Tak się stało, że generał Burgoyne, aczkolwiek bardzo okazały pan, uczony literat i wierszokleta, nadto pojedyńkowicz niemałej sławy i w wysokich łaskach u króla, zmarnował trzy tygodnie, aby się posunąć naprzód o trzydzieści wiorst; a co gorsza, w ciągu tych trzech tygodni zmarnował armję.

Nie znajdując na drodze swojej ani źdźbła pokarmu, Burgoyne odłączył od wojska dwa boczne oddziały, mające zdobyć żywność; jeden poszedł na zachód, a drugi na wschód. Zachodni oddział natknął się na Benedykta Arnolda, który ze zwykłą u niego tężyzną zmusił go do odwrotu ze stratą. Wschodni oddział, złożony głównie z Niemców, wkroczył do „Zielonych Gór“, owej dzikiej krainy górskich puszczy, należącej prawnie do stanu nowojorskiego, ale samowolnie skolonizowanej przez wychodźców z Nowej Anglii, niesfornych, a bitnych. Zawrzało wśród tych górali, jak w ulu; w mig sformowali pospolite ruszenie, a dnia 16 września pod Bennington obkoczyli Niemców z trzech stron i rozgromili ich prawie doszczętnie, zdobywając tysiąc karabinów, armaty i bagaż.

Tymczasem główna armja powstańcza na północy, której dowództwo napowrót objął Gates, już nie cofała się, tylko wyruszyła naprzeciw osłabionego wroga. Przodem wysłano Kościuszkę z pułkiem inżynierskim, celem wystawienia w odpowiednim miejscu obozu warownego. Idąc za radą Arnolda, Kościuszko, zatrzymawszy się w pobliżu wioski Saratogi, na zachodnim brzegu Hudsonu, urządził warowny obóz z baterjami i szańcami na

wzgórzu zalesionym, wzdłuż północnych stoków którego płynęła rzeczka, do Hudsonu wpadająca.

Burgoyne tymczasem odpoczywał i czekał na żywność, mającą nadejść z Kanady przez Tikonderogę. Ale nic nie nadeszło, bo transporty żywności wpadły w ręce amerykańskich partyzantów, którzy coraz śmieiej hasali po lasach; ba, nocnym podjazdem napadli na zewnętrzne szańce Tikonderogi, zburzyli je i zabrali sporo broni i zapasów. Burgoyne dalej czekał, w nadziei, że generał Howe wyśle mu z Nowego Jorku armję na pomoc; taki, bowiem, był plan, ułożony w Londynie przez króla i doradców jego. Ale wskutek niedbalstwa jednego z urzędników królewskich, któremu się śpieszyło na wieść na polowanie, odnośny rozkaz do Howe'a nigdy nie został wysłany, a Howe, jak już wiemy, wyruszył w przeciwnym kierunku i zajął Filadelfję. Zawiedziony Burgoyne wreszcie dnia 19 września natarł na obóz amerykański pod Saratogą. Bitwa była mordercza dla obu stron; ale Burgoyne został odparty i już nie ponowił ataku. Cofnął się nieco, oszańcował i czekał. Wreszcie 7. października rozpoczął odwrót ku północy; ale Amerykanie natarli na niego, zadając mu ciężką klęskę. Burgoyne cofał się dalej; ale Arnold ścigał go bez wytchnienia. Dnia 13. października Burgoyne rozpoczął rokowania, a 17. października poddał się powstańcom wraz z całą armją, liczącą zawsze jeszcze sześć tysięcy ludzi.

Potężnym było wrażenie tego ogromnego zwycięstwa powstańców, dokąd tylko wieść o nim doszła. Osobnym okrętem wysłano list z tą pomyslną nowiną do Franklina w Paryżu.

W pierwszych dniach grudnia Franklin już trzymał list ten w ręku i odrazu o treści jego zawiadomił króla Ludwika XVI, a potem ogłosił ją całemu światu. Radość

Francuzów była nieopisana; żadne własne zwycięstwo nie mogło ich bardziej ucieszyć. A co ważniejsza, rząd francuski natychmiast nawiązał rokowania o zawarcie urzędowego sojuszu z Ameryką. Dnia 6 grudnia Vergennes wyśtosował do Franklina, Deane'a i Lee'a oficjalną notę w tym duchu, rzekomo przez samego króla dyktowaną i zatwierdzoną podpisem królewskim. Dnia 8. grudnia posłowie amerykańscy odpisali, że od roku już czekają na takie właśnie pismo. Niedługo potem sekretarz Vergennes'a zjawił się u Franklina i oświadczył mu, że król Ludwik XVI. gotów jest publicznie uznać niepodległość Ameryki; że, ofiarując Amerykanom umowę o sojusz, w umowie tej król zgoła nie pragnie wyzyskać trudnego ich położenia, aby narzucić im przykre warunki; że przeciwnie, pragnąc stałej przyjaźni, król gotów jest traktować z nową republiką zupełnie tak, jak gdyby oddawna istniała i cieszyła się pełnią niezachwianej potęgi; że król przy jednym tylko warunku ob staje, a mianowicie, żeby Ameryka nigdy nie wyrzekła się niepodległości i nigdy już nie uznała zwierzchnictwa Anglii. Na takich warunkach sojusz został zawarty. Dnia 6 lutego 1778 r. Vergennes imieniem króla Francji, a Franklin, Deane i Lee imieniem Ameryki podpisali jednocześnie dwa traktaty. Pierwszy traktat ustanawiał wieczną przyjaźń między obu państwami, a zarazem otwierał porty amerykańskie dla francuskich towarów i naodwrot, zostawiając jednakże Ameryce całkowicie wolną rękę do wpuszczania także towarów wszelkich innych narodów na stopie równości z francuskiemi. Drugi traktat zapewniał Ameryce zbrojną pomoc Francji. Z prawdziwą radością Franklin oba te dokumenty wysłał do Ameryki, celem zatwierdzenia przez kongres.

A czas już było powstańców amerykańskich pokrze-

pić dobrą nowiną. Koło Filadelfji i koło Nowego Jorku, nad Delaware i nad Hudsonem, wojna się wlokła bez rezultatów, wyczerpując siły walczących. Fortyfikacji nad dolną Delaware, poniżej Filadelfji, Amerykanie uparcie bronili, krok za krokiem przyprowadzając nieprzyjaciela o ciężkie szkody; wkońcu jednak, w grudniu, Anglicy opanowali rzekę. Powyżej Filadelfji, Pułaski na czele czterystu jeźdźców, usadowiwszy się w Trentonie, dotkliwie niepokoił wroga zuchwałemi podjazdami. Dalej na północ, na plecach angielskich pozycji nad dolnym Hudsonem, na wysokiej skale Kościuszko budował mocną twierdzę West Point, która do dziś dnia stoi. Sam Washington zaś z główną armją wciąż jeszcze obozował na zachód od Filadelfji, w górskiej dolinie, pokrytej gęstą puszcza, gdzie żołnierze z własnoręcznie ściętych drzew stuletnich zbudowali sobie szałas do przetrzymywania. Miejsowość ta nazywała się Valley Forge (czytaj Wali Fordż), to znaczy „Kuznia w dolinie“; i w tej to kuzni Washington cierpliwie przekuwał tłumy niesfornych rekrutów na karną armję. Pomagał mu przytym były pułkownik pruski Fryderyk von Steuben; ten biały kruk, pośród pruskich oficerów, bowiem, przybył onej zimy, jako ochotnik do obozu, i okazał się bardzo cennym organizatorem.

Podczas gdy jednak Washington i żołnierze jego spędzali zimę na pustkowiu w szałasach, wróg wciąż jeszcze hucznie ucztował w Filadelfji. I niewiele miano nadziei wykurzenia go stamtąd, nie mając floty, któraby się na otwartym morzu mierzyć mogła z angielską flotą wojenną. Taką flotę miała Francja; Amerykanie jej nie mieli i na poczekaniu stworzyć nie mogli. Stać ich było na partyzantkę morską, ale nie na wielką wojnę na morzu.

Wtym, pewnego dnia wiosennego, w obozie koło „Kuźni w dolinie“, Lafayette otrzymał list z Paryża. Zawierał on wieść o zawarciu sojuszu. Szlachetny młodzieniec pobiegł do Washingtona, ucałował go, płacząc z radości, i wołał: „Król, mój pan, uznał niepodległość waszą i łączy się z wami, aby wam dopomóc do utrwalenia jej“.

Teraz wszystko było zmienione. Było do przewidzenia, że Anglicy nie będą mogli nawet bronić Filadelfji, skoro tylko francuska flota będzie na morzu. To samo przewidywał rząd angielski; to też, odwołując generała Howe i dając mu następcę, który pod koniec maja miał objąć komendę, następcy temu, jako pierwsze zadanie, polecił wycofanie się z Filadelfji.

Tymczasem dnia 4 maja kongres zatwierdził sojusz z Francją. W dwa dni później Washington ogłosił tę wieść zgromadzonemu wojsku. Kaznodzieje odmówili modły dziękczynne, zapalono sztuczne ognie, a na dany znak wszyscy żołnierze wykrzyknęli: „Niech żyje król Francji!“

IX.

Wojna się wlokła jeszcze przez trzy lata, ale w gruncie rzeczy już była rozstrzygnięta.

W czerwcu 1778 r. następca generała Howe, generał Henryk Clinton (czytaj Klinton) z całym wojskiem angielskim ustąpił z Filadelfji, przeprowił się na wschodni brzeg rzeki Delaware i lądową drogą wyruszył napowrót ku Nowemu Jorkowi. W ślad za nim wyruszył Washington i ścigał go, i nękał, aż się Clinton schował do Nowego Jorku, jak lis do nory. Odtąd kongres znów rezydował we Filadelfji.

W lipcu tegoż roku w zatoce Delaware zjawiła się flota francuska, ale już tam żadnych Anglików nie znalazła. Zwróciła się tedy ku wybrzeżu stanu Rhode Island, gdzie miasto Newport, położone na wyspie, zajęte było przez Anglików, i dziesięć angielskich okrętów wojennych osaczyła tak, że Anglicy zmuszeni byli zatopić je, aby nie wydać ich wrogowi. Potym odjechała, aby wojować z Anglikami w innych stronach świata.

Na północy Stanów Zjednoczonych Ameryki Anglicy odtąd już nic nie posiadali, oprócz dwóch miast nadmorskich: Nowego Jorku i Newport, i nie już zdobyć nie mogli. Natomiast król Jerzy III. wpadł na pomysł przeniesienia wojny na południe, do owych gorących a wilgotnych nizin, gdzie biali właściciele ziemscy żyli prawie wyłącznie z pracy niewolników-murzynów. Słusznie się

spodziewał, że tam wojska jego nie natrafią na tak jednolity opór. Nie liczył się jednak z tym, że każdy ze stanów południowych miał w zachodniej swej części, górskiej a przeto chłodniejszej i suchszej, ludność innego rodzaju: wolnych włościan krwi europejskiej, uprawiających ziemię własnoręcznie, a ożywionych temi samemi ideałami demokratycznymi i wolnościowemi, co bracia ich na północy. Nadto i w nizinach, bądź co bądź, większość białych była przeciwną Anglikom, a murzyni na ogół zachowywali się biernie. Przytym niziny południowe były zalesione, a w poprzek kraju liczne rzeki głębokie płynęły z gór do morza; po obu brzegach każdej rzeki był szeroki pas bagien, a gościńców prawie nie było. W takim kraju armaty były nie do użycia, a liczebna przemoc i obfitsze uzbrojenie stosunkowo niewielką przynosiły korzyść; z wyjątkiem miast nadmorskich wojnę prowadzić było można tylko za pomocą nielicznych oddziałów, lekko uzbrojonych a przeto zwinnych, przyczym o sukcesie stanowiła głównie dokładna znajomość kraju. To też przeniesienie wojny na południe dało Anglikom chwilowe korzyści, ale nie dało im trwałego zwycięstwa.

Wojna na południu zaczęła się od tego, że pod koniec grudnia 1778 r. flota angielska zdobyła stolicę Gieorgji, nadmorskie miasto Savannah. Przez chwilę wydawało się, jak gdyby cała Gieorgja miała się napowrót stać angielską; ale to niedługo trwało. Po paru miesiącach, przy pomocy floty francuskiej, kraj dokoła oczyszczony był od Anglików, a Savannah stało się taką samą nadmorską kryjówką wroga, jak ongi Boston, a teraz Nowy Jork oraz Newport. Wykurzyć Anglików z Savannah nie było sposobu, a jedną taką próbę Kazimierz Pułaski przypłacił życiem (w październiku 1779 r.); ale też naodwrot Anglicy z Savannah wyruszyć się nie mogli. Gdyby przynajmniej Anglicy mogli

byli przysyłać coraz nowe wojska do Ameryki i zdobywać coraz nowe miasta nadmorskie! Ale o przysyłaniu nowych wojsk już mowy być nie mogło, odkąd francuska flota, zjawiając się coraz to w innej części świata, kolejno wszystkim posiadłościom angielskim groziła, tak że Anglicy wszędzie musieli być w pogotowiu; a na domiar złego w 1779 r. i Hiszpanja przystąpiła do sojuszu amerykańsko-francuskiego i również wypowiedziała Angli wojnę, a w 1780 r. Holandja zrobiła to samo. Mając tedy czterech wrogów odrazu, Anglja z wyczerpaniem ostatnich sił wojować musiała na wszystkich morzach jednocześnie. W Ameryce więc generał Clinton zadowolić się musiał tym wojskiem, które miał; a i to wojsko zwolna malało. Niemieccy żołnierze, bowiem, kiedy raz zrobili doświadczenie, że Amerykanie jeńców traktują nader łagodnie, tłumnie zbiegali na amerykańską stronę.

Pragnąc tedy zdobyć jakąś nową placówkę na południu, zmuszonym był, wierny planowi królewskiemu, generał Clinton opróżnić jedną z dwóch ostatnich placówek na północy. Tak też uczynił. Na wiosnę 1780 r. opróżnił Newport, a na czele okrętów, które tam tak długo bezczynnie leżały, osobiście pojechał na południe oblegać Charleston, stolicę Karoliny południowej, położoną na wązkim półwyspie między ujściami dwóch rzek spławnych, i zdobył to miasto, biorąc do niewoli dwa tysiące członków milicji. Sprawa była o wiele poważniejsza, niżli ze Savannah, bo i jeńców więcej, i miasto większe, i kraj dokoła ludniejszy i bogatszy; ale i tym razem szczęście Anglików niedługo trwało. Na usilną prośbę kongresu, rząd francuski wysłał nowy posiłek w postaci armji lądowej, złożonej z sześciu tysięcy doborowych żołnierzy pod dowództwem generała Rochambeau (czytaj Roszambo). Wobec tego Clinton czymprędzej wrócił do Nowego Jorku,

a w Charleston pozostawił lorda Cornwallis z wojskiem, tak dotkliwie uszczuplonym, że na dłuższą metę już nie stanowczego wskórać nie mogło. To był początek końca.

Chwilę wprawdzie jeszcze się słońce uśmiechało Anglikom. Wysłanego na południe generała Gates pobili na głowę, dzięki tchórzostwu milicji, z plantatorów karolińskich złożonej. Nadto doczekali się satysfakcji, że jeden z wodzów armji amerykańskiej, ambitny a mściwy Benedykt Arnold, rozpoczął z niemi zdradzieckie knowania, a kiedy się knowania te wykryły, zbiegł do angielskiego obozu. Ale nie wielka była ze zdrajcy pociecha, bo Arnold, jako angielski generał, zgoła nie okazał dawnej dzielności; był to odtąd człowiek złamany.

Owoce zaś zwycięstwa nad Gates'em wydarło Anglikom pospolite ruszenie górali karolińskich, wybornych strzelców, którzy w październiku 1780 r. natarli na tysiąc Anglików, stojących na „Królewskiej Górze“, i cały ten oddział znieśli doszczętnie; było trzystu zabitych i rannych, resztę wzięto do niewoli. Po tej bitwie Cornwallis wycofał się z Karoliny północnej.

Komendę nad Amerykanami na południu objął teraz Natanael Greene (czytaj Grijn) z Rhode Island, rzemieślnik wiejski z ubogiej rodziny, który się wyrobił na najtęższego po Washingtonie generała w całej armji. Jako inżynier przydzielony mu był Kościuszko. Greene podzielił wojsko; sam z główną armją zwrócił nieco ku zachodowi, ku strefie wyżej położonej, suchszej i zdrowszej, i tam wzdłuż podnóża gór ostrożnie posuwał się ku południowi. Do nizin zaś, celem przecięcia dróg Anglikom i wyłapywania transportów żywności, wysłał podwładnego swojego Morgana, furmana z zawodu, na czele sześciuset lekko uzbrojonych ludzi. Na ten lotny oddział Morgana w styczniu 1781 r. natarł dowódca lekkiej konnicy angielskiej,

osławiony z okrucieństwa Tarleton, ale poniósł miazdzącą porażkę; prawie cała konnica angielska dostała się do niewoli. Teraz jednak wyruszył z Charlestonu sam lord Cornwallis z całą swoją armją, zawsze jeszcze o wiele liczniejszą od obu oddziałów amerykańskich, razem wziętych. To też i Greene i Morgan pośpiesznie cofali się ku północy; wyprzedziwszy Cornwallisa natyle, że się połączyć mogli, z nie zmniejszonym pośpiechem razem mknęli dalej na północ. Za nimi, spaliwszy bagaż, aby nie tracić czasu na wożenie go, co tchu gonił Cornwallis. Kilkakrotnie, ku radości Cornwallisa, wezbrana rzeka zastąpiła Amerykanom drogę; ale za każdym razem wysłany naprzód Kościuszko bądź to wytropił bród, bądź to przygotował tratwy do przeprawy. Raz nawet, dnia 13 lutego 1781 r., kiedy Amerykanie przeprawiali się przez rzekę Dan, dzielącą Karolinę północną od Wirginji, Anglicy byli już tylko o kilkanaście wiorst za nimi; ale Kościuszko nie tylko z nadzwyczajnym pośpiechem zorganizował przeprawę, lecz nadto, gdy tylko tylna straż przeszła przez rzekę, na tyłach jej wzdłuż brzegu wody usypał szaniec, aby nieprzyjacielowi utrudnić pościg. Tegoż dnia Cornwallis zaniechał dalszej pogoni.

Greene tymczasem z pośród ludności wirgińskiej otrzymał liczne posiłki; armja jego wzrosła z dwóch tysięcy czterechset na pięć tysięcy ludzi. Nie miał więc już poco uciekać; odwrócił się ku południowi, przeszedł napowrót przez Dan i dnia 15 marca koło folwarku Guildford (czytaj Gildford) stoczył krwawą bitwę, w której lord Cornwallis stracił trzecią część wojska. To też Cornwallis, mimo że niby zwyciężył, bo zajął pozycje wroga, zaraz potym cofnął się na wschód do nadmorskiego miasta Wilmington, wewnątrz Karoliny północnej pozostawiając Amerykanom. Były wprawdzie na razie jeszcze angielskie za-

łogi w Karolinie południowej i Gieorgji. Ale Greene w tryumfalnym pochodzie ruszył dalej na południe; zewsząd otrzymywał posiłki, a w kwietniu i wrześniu stoczył jeszcze dwie bitwy nie mniej krwawe od pierwszej, poczym Anglikom z całego kraju pozostały już tylko dwa nadmorskie miasta: Charleston i Savannah.

Tymczasem główną widownią wojny już od maja stała się Wirginja, do której wtargnął był Cornwallis; połączyło się z nim trzy tysiące sześciuset Anglików wysłanych morską drogą z Nowego Jorku, tak że ogółem Cornwallis miał blisko osiem tysięcy ludzi pod bronią. Naprzeciw niego stał Lafayette z armją o wiele słabszą od angielskiej; uwijał się więc i uciekał, jak przedtym Greene, a Cornwallis, drwiąc sobie z młodości przeciwnika, pełen otuchy, pisał: „Nie wymknie mi się ten chłopaczek!“ Stało się jednak inaczej.

W styczniu Washington, w porozumieniu z kongresem, wysłał był list do rządu francuskiego, w którym obszernie uzasadniał konieczność rychłego zakończenia wojny, wskazując na wyczerpanie ludności i wojska, i w tym celu prosił po pierwsze o nowe zasiłki pieniężne, po drugie zaś o dalsze zasiłki wojskowe, a przede wszystkim o ponowne przeniesienie działań floty francuskiej na wody amerykańskie. List ten poskutkował. Pieniądze nadeszły w postaci pożyczki sześciu milionów dukatów, zaciągniętej w Holandji za poręką króla francuskiego; a co ważniejsze, po pół roku czekania w sierpniu przybyła potężna flota francuska. Washington z góry wiedział, że sprzymierzona ta flota się zbliża, i ułożył plan zaskoczenia wroga z tą samą zimną krwią, którą niegdyś okazał na Długiej Wyspie, a później pod Princeton. Z jego polecenia flota francuska w groźnej postawie podjechała pod Nowy Jork, zmuszając angielską flotę do pozostania na miejscu i szykowania się do walki;

jednocześnie Washington od strony lądowej ruszył ku Nowemu Jorkowi, tak że Clinton, sądząc, iż grozi mu atak z dwóch stron, czymprędzej wysłał do Cornwallisa wezwanie o pomoc. Tymczasem w ostatniej chwili flota francuska, zamiast dać ognia do angielskich okrętów, niespodzianie skrzyła na lewo i z szeroko rozpiętymi żaglami odjechała na południowy zachód, ku Wirginji; a jednocześnie Washington, zamiast przypuścić szturm do miasta, nagle skrzył na prawo i co tchu wyruszył również ku Wirginji; towarzyszył mu Rochambeau z całą armją francuską. Wtedy dowódca floty angielskiej, admirał Graves (czytaj Grejwz) puścił się w pogoń za francuską flotą; dogonił ją u wejścia do zatoki Chesapeake, ale został tak gruntownie pobity, że czymprędzej wrócił do Nowego Jorku, aby łątać dziury w okrętach swoich, na dłuższy czas niezdolnych do walki. Załatwiwszy się z tym kłopotem, francuski admirał De Grasse (czytaj De Gras) wysłał część okrętów swoich prosto na północ w głąb zatoki, aby oszczędzić Washingtonowi, Rochambeau i żołnierzom ich dalszego marszu lądowego i, wzięwszy ich na okręty, przewieźć dokąd trzeba było. W połowie września Washington i Rochambeau połączyli się z Lafayetteem; razem tedy Washington miał pod rozkazami swojemi osiemnaście tysięcy zbrojnych ludzi. Teraz zemściło się na lordzie Cornwallis lekceważenie przeciwnika. Stał koło miejscowości Yorktown (czytaj Jorktaun), położonej, podobnie jak Charleston, na półwyspie między dwiema rzekami a morzem; była to może i niezła kwatera dla odpoczynku w chwilach wolnych od uganiania się za „chłopaczkiem“ — ale dla wojska, zagrożonego od lądu i morza przez wroga trzykroć silniejszego, był to posterunek mocno niebezpieczny. Ale ponieważ wróg nie pozwolił mu opuścić tego posterunku ani morską drogą, ani lądową, więc Cornwallis nie mógł zrobić

nie lepszego, jak oszańcować się i słać błagalne listy do Clintona o posiłki. Dwa razy w ciągu września Clinton obiecał posiłki, ale posłać ich nie było sposobu, bo okręty Gravesa wciąż jeszcze nie były naprawione. Tymczasem Washington dnia 1 października rozpoczął oblężenie Yorktownu. Sto armat ogniem ziało. Dnia 19 października 1781 r. lord Cornwallis zmuszony był poddać się z całym wojskiem.

To był koniec wojny.

Wzburzenie w Anglii było straszliwe. Dnia 4 marca 1782 r. angielska Izba posłów uchwaliła, że ktokolwiekby obstawał przy dalszym prowadzeniu wojny z Ameryką, ma być uważanym za zdrajcę. Król Jerzy III. zmuszonym był odprawić ulubionych swoich ministrów, a rządy kraju powierzyć znienawidzonym wodzom partji liberalnej, którzy wdrożyli rokowania pokojowe.

W ciągu tego roku 1782 Anglicy opuścili miasta Savannah i Charleston, w jednym tylko Nowym Jorku tymczasem jeszcze trzymali załogę.

W listopadzie tegoż roku doszło do skutku formalne zawieszenie broni na podstawie tymczasowych warunków pokoju, ułożonych przy współdziałaniu Franklina i Jana Adamsa. Anglja bez zastrzeżeń uznała niepodległość Stanów Zjednoczonych; północną granicę nowego państwa stanowić miały kanadyjskie jeziora i rzeka św. Krzyża, zachodnią — rzeka Missisipi. Żegluga na Missisipi miała być wolną dla Amerykanów i Anglików, tak samo rybołówstwo na wodach nowofundlandzkich. Tymczasowemi były te warunki dlatego, że Ameryka, na mocy umowy z Francją, nie miała prawa zawrzeć pokoju, bez zgody sojusznika.

Dnia 3 września 1783 r. w pałacu króla francuskiego w Wersalu pod Paryżem zawarty został pokój między

Anglią a Ameryką, Francją, Hiszpanją i Holandją. W pokoju tym Anglia Hiszpanji odstąpiła Florydę.

Dnia 25 listopada tegoż roku Anglicy ustąpili z Nowego Jorku.

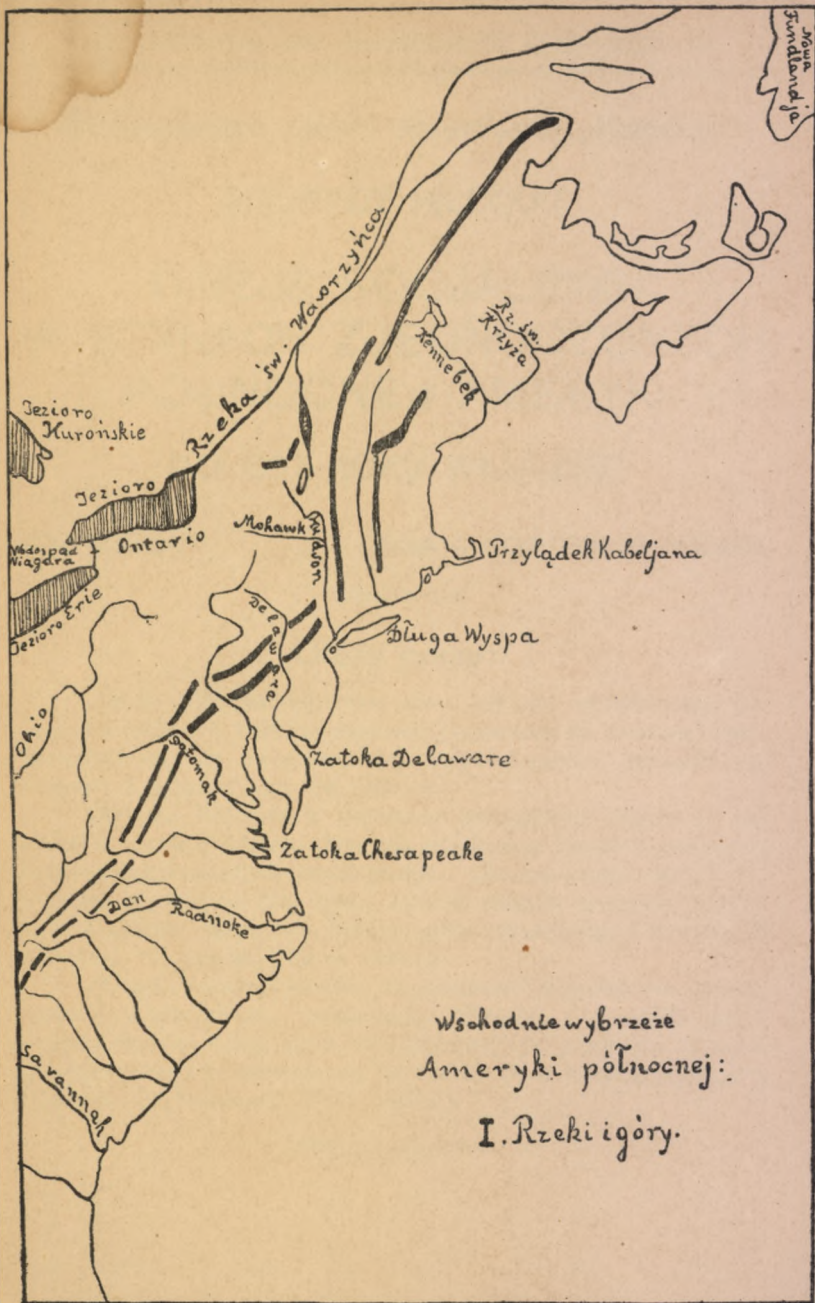
* * *

Według konstytucji, którą opracował kongres jeszcze w czasie, kiedy Washington obozował koło „Kuźni w dolinie“, a która weszła w życie w marcu 1781 r., Ameryka nie była ani jednolitym państwem, ani nawet państwem związkowym, tylko luźnym związkiem trzynastu państw. Rząd związkowy pełnił prawie tylko czynności ministerstwa spraw zagranicznych; nawewnątrz był niczym. Poszczególne stany mogły nawet na własną rękę nakładać cła na towary, pochodzące ze stanów sąsiednich. Taki stan rzeczy nie mógł trwać długo. W 1787 r. zjazd delegatów ze wszystkich trzynastu stanów opracował nową konstytucję, dającą parlamentowi centralnemu prawo do utrzymywania wojska i do nakładania podatków oraz wyłączne prawo do nakładania ceł, chociaż skądinąd zachowującą szeroką autonomję stanów. Ta konstytucja stała się prawomocną dnia 4 marca 1789 roku; jest to ta sama konstytucja, która obowiązuje w Ameryce do dziś dnia.

Tak powstała Ameryka północna, największa dziś i najpotężniejsza rzeczpospolita na świecie.

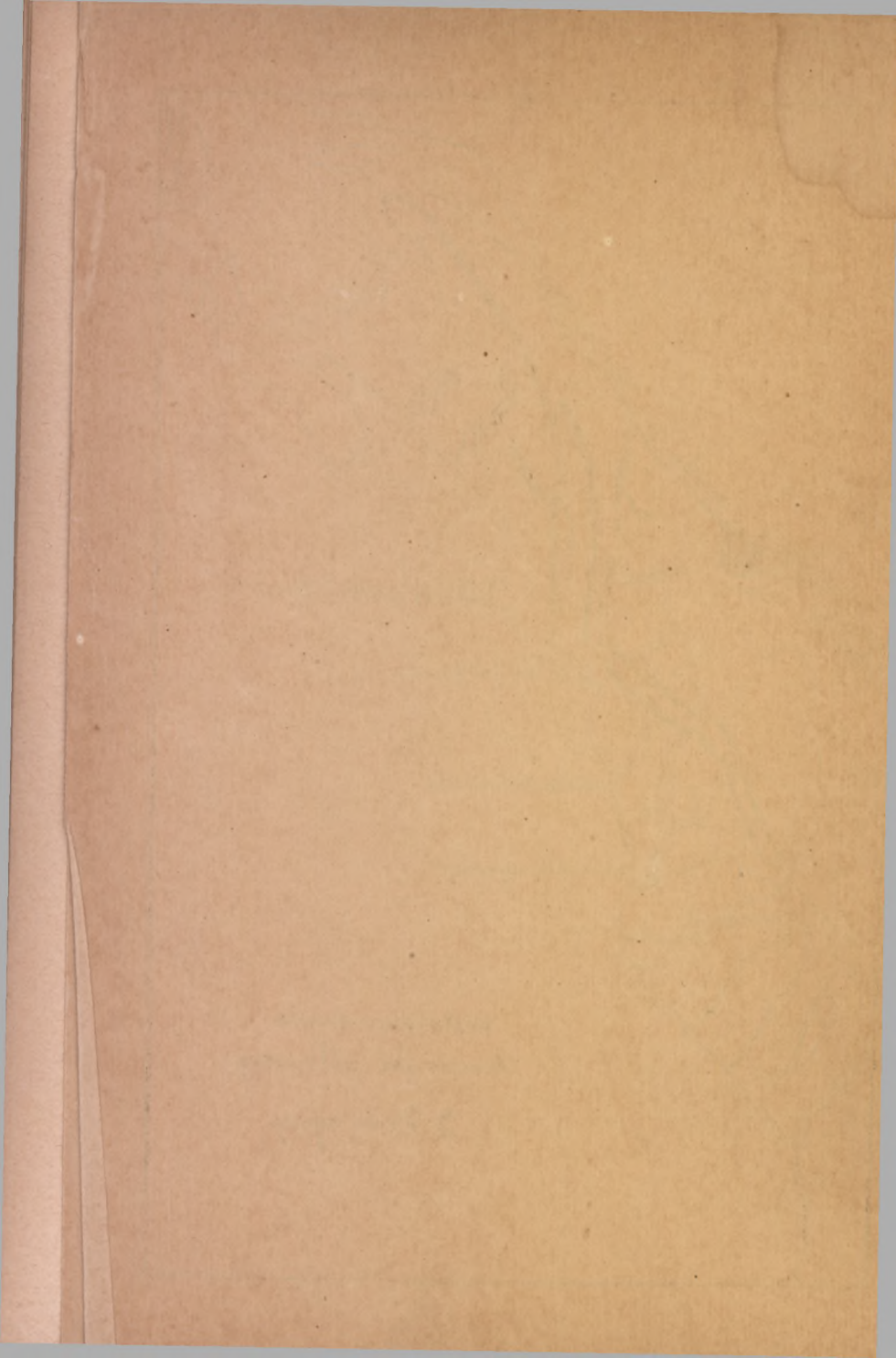
KONIEC.





Wschodnie wybrzeże
Ameryki północnej:

I. Rzeki igory.



Do nabycia we wszystkich księgarniach

Wydawnictwo spółki nakładowej „Książka“:

MAURYCY HILLQUIT

DZIEJE SOCJALIZMU
W STANACH ZJEDNOCZONYCH
PÓŁNOCNEJ AMERYKI

DO 1907 ROKU WŁĄCZNIE

302 STRONY.

CENA 4 KORONY (2 RUBLE).

Głosy prasy:

„Dzieło Hillquita daje nam obraz, jak idee socjalistyczne, zrodzone i rozwijane w Europie, zostawały przewożone do Ameryki i tam... upowszechniały się, uwarstwawiały... Przekład polski... starannie wykonany“. („Naprzód“, Nr. 253, 1908 r.).

„Książka Hillquita w literaturze europejskiej uchodzi za najlepszą w zakresie objętego przez nią przedmiotu. Tłumacz nietylko ją dobrze przetłumaczył, ale dodał jeszcze... „Uzupełnienia“, obejmujące wypadki od 1904 do 1907 roku... Bardzo ciekawe szczegóły zawiera część I. książki, dająca nam historję gmin socjalistycznych w Ameryce Północnej...“ („Książka“, Nr. 9, 1908 r.).

„Książka wysoce doniosła... Oryginalnemi i wyjątkowemi są fakty dziejowe, z którymi nas... zaznajamia... Hillquit... z niezwykłą pracowitością przeorał dzieje myśli socjalistycznej i jej przejawów na amerykańskiej ziemi od przeszło stu lat i ułożył je w historję przejrzystą a barwną...“ („Przedświt“, Nr. 4, 1908 r.).
